

Casey Watson tak jak Cathy Glass
opisuje najtragiczniejsze dzieciństwo swoich podopiecznych

BESTSELLER 2012
W WIELKIEJ BRYTANII

o Krzyk o ratunek

Szokująca,
trzymająca
w napięciu
jak mistrzowski
thriller historia
okrutnie
skrzywdzonej
pięknej
dwunastolatki

CASEY WATSON

Skrybka



o Krzyk ratunek

CASEY WATSON

Przekład
AGNIESZKA KABALA



*Mojej wspaniałej,
wspierającej rodzinie*

Prolog

8.15 rano, środa, 15 października

Transkrypcja rozmowy telefonicznej z dyspozytornią służb ratunkowych, Centrum Szybkiego Reagowania [miasta XXX].

Dyspozytor numeru 999: Policyjne Centrum Szybkiego Reagowania. W czym mogę pomóc?

Dziewczynka: Chodzi o moją mamę. Chyba nie żyje.

Dyspozytor: Możesz mi podać imię i adres, kochanie?

Dziewczynka: Tak, jestem Sophia, mieszkam przy [adres podany].

Dyspozytor: W porządku, kochanie. A ile masz lat?

Sophia: Prawie jedenaście.

Dyspozytor: Dziękuję, Sophio. Teraz posłuchaj, policjanci już jadą do twojego domu, więc nie rozłączaj się i rozmawiaj ze mną, dopóki do ciebie nie dotrą, okej? Potem musisz ich wpuścić. Dobrze, kochanie? Zrozumiałaś?

Sophia: Tak, dobrze. Ale ona nie żyje. Chyba... Na pewno. [Pauza] Spadła ze schodów, tak myślę, i widzę krew. Jest strasznie zimna.

Dyspozytor: Okej, kochanie, rozumiem. Rozmawiaj ze mną, dobrze? Nie rozłączaj się. Patrol będzie u ciebie za minutę czy dwie, dobrze? Czy ktoś z tobą jest?

Sophia: Tak. Moja przyjaciółka Caitlyn. Nocowała u mnie. Nie wiem, co robić. O, zaraz, Caitlyn poszła do drzwi. To chyba policja. Tak, już są.

Dyspozytor: Są? No dobrze, skarbie. Idź z nimi porozmawiać, świetnie się spisałaś. Możesz mi dać któregoś z nich do słuchawki, żebym...

[Połączenie zostaje przerwane]

Rozdział 1

Czasami chyba oplać się zaufać instynktowi. Mój, jak u wielu kobiet, zwykle działa świetnie — szczególnie ten cichy głosik, który odzywa się od czasu do czasu i mówi ci, że coś jest nie tak, że coś nie jest tym, czym się wydaje. Znacie to uczucie mrowienia na karku, prawda?

Poczułam to natychmiast, kiedy skontaktował się ze mną John Fulshaw. Był początek stycznia, jeden z tych koszmarnie ponurych, lodowatych dni, kiedy to — choć była już druga po południu — człowiek ma wrażenie, że tak naprawdę wcale nie zrobiło się jasno. Stałam przy oknie i patrzyłam na ulicę, rozmyślając, jak ponuro wyglądają człapiący nią ludzie. Wszyscy ubrani na czarno, buro, brązowo, zgarbieni, ze wzrokiem wbitym w ziemię, z podniesionymi kołnierzami, osłaniający szyje, dłonie i twarze przed gryzącym zimowym chłodem. Uwielbiam grudzień, ale serdecznie nienawidzę stycznia.

— Co tam, mamó?! — powiedział mój dwudziestoletni syn Kieron, który był ze mną w salonie razem z naszym psem Bobem, i pomagał mi ściągać resztki świątecznych dekoracji. Mówię „powiedział”, ale tak naprawdę musiał niezłe podnieść głos, by przekrzyczeć kanał muzyczny ryczący w telewizorze; Kieron i jego siostra uparli się włączyć te wrzaski.

— Oj, nie zaczynaj znowu — wtrąciła się Riley, moja córka, dwa lata starsza od Kierona. Wpadła do nas, żeby pomóc. Pokręciła głową i przewróciła oczami, widząc moją smętną minę. — Święta nie mogą być co dzień — dodała, wykrzywiając się do mnie. — Nawet jeśli tak twierdzi piosenka, okej?

Odwzajemniłam jej się podobnym grymasem, ale chyba oboje mieli rację. I trzeba mi było o tym przypominać. Często. Od zawsze uwielbiałam wszystko co świejące i błyszczące i nienawidziłam całej reszty zimowych, ponurych dni i barw. A styczeń w tym roku sprawiał wrażenie wyjątkowo bezbarwnego. Opuściły nas nie tylko święta, ale i Justin, dwunastoletni chłopiec, którym opiekowaliśmy się przez cały zeszły rok i którego odejście pozostawiło ogromną wyrwę w naszym życiu. Owszem, ciągle nas odwiedzał i obiecywał, że nie przestanie, ale to nie było to samo. Jak mogłoby być? Mimo wszystkich wyzwania, jakie niosło ze sobą mieszkanie z nim — a było ich niemało — autentycznie brakowało mi jego obecności. Teraz potrzebowałam nowego wyzwania. Czegoś, co wytrąciłoby mnie z poświęconej chandry i tchnęło we mnie chęć do życia.

I kiedy zadzwonił telefon, wyglądało na to, że John ma dla mnie właśnie coś takiego. John był naszym prowadzącym w agencji opieki zastępczej, dla której pracowaliśmy. Szkolił też mnie i mojego męża Mike'a do tej pracy. To John umieścił u nas Justina, a kiedy Justin nas opuścił dwa tygodnie przed świętami, to John ostrzegł nas, żebyśmy podładowali akumulatory, bo niedługo trafi się kolejne dziecko, które będzie potrzebować naszej pomocy.

To podładowanie akumulatorów, odbywające się w prawdziwie naszym watsonowskim stylu, wiązało się oczywiście z całym mnóstwem przyjęć i choinkowych lampek, a w tym roku — jako że Riley i jej partner David jesienią obdarzyli nas pierwszym wnukiem, Levim — z dodatkową porcją radości i puchatych przytulaneł. Może to po prostu kontrast sprawiał, że styczeń wydawał mi się tak ponury i brzydki, dumiałam, idąc odebrać telefon.

Ale nie dzwonił John; dzwonił Mike, z pracy. John zadzwonił do niego, bo nie udało mu się dodzwonić do mnie.

— To pewnie przez dzieciaki i ich hałas — wyjaśniłam. — Oboje pomagają mi zdejmować dekoracje i koniecznie muszą mieć przy tym MTV rozkręcone na cały regulator. — Zamknęłam za sobą drzwi salonu, żeby cokolwiek słyszeć. — Więc co tam nowego?

— John ma jakieś dziecko, o którym chce z nami porozmawiać. Ale oczywiście nie mogłam z nim długo mówić, bo pracuję. — Uśmiechnęłam się do siebie. Mike zawsze obsesyjnie trzymał się zasad. Był kierownikiem magazynu i miał własne biuro, ale nawet by mu do głowy nie przyszło wykorzystywać czas pracy na prywatne telefony.

— Super! Ale co powiedział? Mówił coś więcej? — Moja chandra zniknęła nagle tak jak świąteczne dekoracje. — Powiedział o nim coś więcej? A może o niej?

— O niej — przyznał Mike. — Owszem, to dziewczynka. Ale właściwie wiem tylko tyle, bo tak jak powiedziałem, kochanie...

— Nie martw się — przerwałam mu. — Wracaj sobie do pracy. Sama do niego zadzwonię. Dziewczynka! Super!

Odkładając słuchawkę, słyszałam, jak Mike śmieje się do siebie.

Parę minut później rozmawiałam już przez telefon z Johnem. Dałam sobie czas tylko na ukradkowego papierosa w oranżerii (oczywiście miałam zakaz kopcenia w pozostałej części domu, szczególnie teraz, kiedy bywał u nas nasz mały wnuk). Ogród nagle wydał mi się całkiem inny niż jeszcze przed chwilą. Zapomniałam o zimnie, zauważyłam za to, jak ładnie wygląda jabłonka polukrowana szronem. Dokończyłam papierosa — naprawdę muszę niedługo rzucić, powiedziałam sobie — i wróciłam do środka, by poszukać numeru Johna.

Bardzo się ucieszył, że oddzwoniłam.

— Tak, to dziewczynka — potwierdził — i to bardzo dziewczynska dziewczynka, więc pomyślałem, że przypadnie ci do gustu.

— Już mi się podoba — odparłam. — No ale dobrze. Jaka jest jej sytuacja? Skąd jest, z jakiego środowiska i jakie ma problemy?

Miałam nadzieję na szczegółowe informacje, bo Justin, nasz ostatni podopieczny, przyszedł do nas z bardzo skąpym dossier i w bolesny sposób przekonaliśmy się, że wiedza to potężna broń. W jego przypadku byliśmy zupełnie bezbronni. Ale John szybko mnie uspokoił.

— Właśnie w tym rzecz — powiedział. — Z tą małą nie będziecie musieli przerabiać programu. Będzie u was tylko tymczasowo.

To wydało mi się dziwne. Nasza specjalistyczna opieka zastępcza miała polegać na wprowadzaniu konkretnego, opartego na punktacji programu modyfikacji behawioralnej, który miał pomagać dzieciom w powrocie do „głównego nurtu” opieki. Byliśmy przeszkoleni do takiej właśnie pracy.

— Ach tak? — westchnęłam. — Jak to?

— Bo ona już ma stałą opiekunkę.

— Rozumiem. Ale?

— Ale ta opiekunka przeżyła jakieś psychiczne załamanie i potrzebuje kilku tygodni urlopu zdrowotnego.

— O rety — powiedziałam. — Czy to miało związek z dziewczynką?

— Nie, nie — odparł szybko. — A przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Ona chce tę małą, Sophie, z powrotem, kiedy już wyzdrowieje.

— Więc wszystko z nią w porządku...

— Na to wygląda, chociaż powiedziano mi, że jest na coś chora. Ale nie powiem ci na co, bo sam nie wiem. Poznałem Sophie, ale poproszono mnie, żebym nie poruszał przy niej żadnych kwestii medycznych, więc nie mogłem wypytać o konkrety. Jutro dowiem się więcej i jeszcze do ciebie zadzwonię, okej? Może mógłbym wpaść i pogadać z tobą i Mikiem w piątek.

Jakoś w tym momencie włączył mi się szósty zmysł. Przeczucie, że John czegoś mi nie mówi. Próbowalam o tym zapomnieć, bo nie potrafiłam tego nazwać po imieniu. Ale to dręczące przeczucie nie chciało mnie opuścić.

I nie bez powodu.

— Kolejne dziecko? Już? — zdziwił się Kieron, kiedy wróciłam do salonu, by im powiedzieć. W ramionach trzymałam Leviego, który tymczasem zdążył się obudzić. Riley wzięła go ode mnie i zaczęła do niego gruchać. — To nie za szybko? — spytał Kieron. — No wiesz, po Justinie?

Kiedy twoje dzieci są dorosłe, łatwo zapomnieć, że wszystko, co robisz, wciąż ma na nie wpływ. Po odejściu Justina byłam dość zdołowana i teraz wzruszyły mnie ich zatroskane miny. Spojrzeli na siebie.

— Kieron ma trochę racji — dołączyła się Riley. — Na pewno jesteś gotowa?

— Z całą pewnością — odparłam i mówiłam to z przekonaniem. — Przecież zdycham z nudów, nie? — Była to prawda. Zanim Mike i ja zajęliśmy się opieką zastępczą, prowadziłam oddział dla trudnych dzieci w wielkiej szkole państwowej. To nie było dla mnie normalne, tak tłuc

się beczynn timer po domu, nawet jeśli wliczyć w to moje babcine obowiązki. Ale nagle coś mnie zastanowiło. Może nie patrzyłam na to wszystko trzeźwo. — Ale co z wami? Jeśli wy nie jesteście gotowi, zawsze mogę poprosić, żeby John to przelożył.

— Mamo, nie bądź niemądra — powiedział Kieron, którego najwyraźniej uspokoił mój zdecydowany ton. — Fajnie będzie mieć tu kolejnego dzieciaka. I nawet lepiej, że to dziewczynka. Nie będę musiał się z nią bić o konsolę i futbolowe gry.

— I będziemy mogły robić razem mnóstwo babskich rzeczy — zawtórowała mu Riley. — Bawić się z małym, chodzić na ciuchy, robić sobie makijaż i włosy... ile ona ma lat?

— Dwanaście — rzekłam. — I zabawne, że o tym mówisz. John Fulshaw wspomniał, że to bardzo dziewczynska dziewczynka.

— Więc będzie zachwycona sypialnią Justina — skwitował Kieron ze śmiechem.

— Czy to nie lekka przesada urządzać cały pokój na nowo? — spytał Mike. Wrócił już z pracy i jechaliśmy właśnie do frytkarni. Planowałam coś ugotować, ale przez porządki w domu i wieści o przydziale nowego dziecka byłam zbyt rozkojarzona. A poza tym miałam ochotę na rybę z frytkami.

— Oj, to nie będzie dużo pracy — zapewniłam go. — I Riley na pewno mi pomoże.

— Nie byłoby żadnej pracy, gdybyś nie przesadziła tak bardzo za pierwszym razem — wypomniał mi. Cały Mike. Był o wiele rozsądniejszy ode mnie, mocno stąpał po ziemi. Wszystko zawsze musiał mieć przemyślane. Byliśmy małżeństwem od piętnastu lat i straciłam już rachubę, ile razy sadzał mnie i mówił: „No dobrze, przemyślmy to jeszcze”. I miał rację. Rzeczywiście trochę za bardzo się postarałam dla Justina i motywy piłkarskie wykorzystałam do oporu: zielona wykładzina, futbolowe fryzy i tapeta, futbolowy zegar. Nawet regał i komodę pomalowałam w piłki.

— Na pewno pomoże — przyznał Mike — ale posłuchaj, kochanie, jesteś pewna na sto procent, że jesteś gotowa?

On też! Czy naprawdę zachowywałam się ostatnio jak wariatka? Bo patrzył na mnie takim samym wzrokiem jak dzieciaki. Owszem, byłam przygnębiona, ale jak mogłam nie być? Utrata Justina bardzo mnie przybiła, ale ostrzeżono nas, że mamy się tego spodziewać. Musiałam przejść proces żałoby, ni mniej, ni więcej. I nic w tym dziwnego, kiedy związek z dzieckiem jest pełen tak silnych emocji. Ale miałam to już za sobą i chciałam ruszać dalej. Justin miał pozostać częścią naszego życia, ale na co dzień potrzebowałam nowego wyzwania.

— Jestem gotowa! — odpowiedziałam Mike'owi. — I natychmiast zacznę urządzać pokój. A ty pamiętaj, żeby wziąć sobie wolne w piątek, okej? Naprawdę, kochanie, jestem bardziej niż gotowa.

I bardzo dobrze, bo wyglądało na to, że sprawy pójną szybko.

— To smutna historia — powiedział nam John w piątek rano. Zjawił się punktualnie o jedenastej, tak jak obiecał, uzbrojony w teczkę pełną papierów. Przypomniałam sobie jego wizytę, kiedy poinformował nas o przydziale pierwszego dziecka; jak obłąkańczo biegałam wtedy po domu, sprząając i pucując. Tyle wody upłynęło od tamtego dnia. John był teraz bardziej przyjacielem niż przelożonym. Obeszło się bez szału sprząwania; wystarczyły trzy duże kubki kawy, kiedy siedliśmy przy kuchennym stole, by omówić fakty.

— Sophia trafiła pod opiekę zastępczą jakieś półtora roku temu — ciągnął. — Wcześniej mieszkała z matką, która wychowywała ją sama. Nie ma rodzeństwa. Wpadka z jednorazowej przygody, o ile wiem. W każdym razie nic mi nie wiadomo o ojcu. No i zdarzyła się tragedia. Jej matka, Grace Johnson, miała problemy psychiczne i niemal zabiła się, spadając ze schodów, kiedy Sophia miała jedenaście lat. Uważa się, że była to próba samobójcza.

— Samobójstwo? — spytał Mike. — Ciężka sprawa.

John skinął głową.

— Zdaje się, że tam była jakaś trudna sytuacja rodzinna. Dodatkowym obciążeniem była choroba Sophii. Ale o tym zaraz wam powiem więcej. — Zajrzał w dokumenty, szukając

kluczowych informacji. — A, no właśnie — powiedział. — Matka nie zginęła. Zapadła w śpiączkę, z której się nie wybudziła. Trwały stan wegetatywny i lekarze nie spodziewają się, że z niego wyjdzie. Bardzo smutna sprawa.

Oboje pokiwaliliśmy głowami.

— Mam tu informacje — ciągnął John — że Sophia zamieszkała z wujkiem i jego rodziną. Byli jej formalną rodziną zastępczą. Ale po roku, kiedy żona wujka zaszła w ciążę, uznali, że nie mogą jej dłużej mieć u siebie. Fatalna historia. W tym momencie do akcji wkroczyła inna agencja i mała trafiła do obecnej opiekunki, Jean. Ale, jak wiecie, Jean jest chora, no i mamy, co mamy.

Wyprostował się na krześle.

— Boże — westchnęłam. — Co te dzieci muszą czasem przeżywać. I oczywiście chcemy pomóc Sophii, prawda, kochanie? — zwróciłam się do Mike'a.

Kiwnął głową.

— Oczywiście. Ale powiedz mi, John. Wspomniałeś coś o chorobie. Co jej jest?

John znów pochylił się nad stołem.

— Właśnie to musimy omówić. Słyszeliście kiedykolwiek o czymś takim jak choroba Addisona?

Pokręciliśmy głowami.

— Nie — powiedziałam. — Pierwsze słyszę.

— Tak też sądziłem. Ja też nie słyszałem, aż do teraz. To rzadkie schorzenie, które niszczy nadnercza. A jeszcze rzadziej zostaje zdiagnozowane u kogoś tak młodego. Ale to jest pod kontrolą, Sophia musi codziennie brać tabletki uzupełniające hormony, których nie wytwarza jej organizm... kortyzol i, zaraz, niech sprawdzę, tak, coś o nazwie aldosteron, więc jeśli o to chodzi, nie powinniście mieć kłopotu. Problem zaczyna się wtedy, kiedy dziewczynka jest w stresie albo pod presją...

— Co w tym momencie jest bardzo prawdopodobne, zgadza się? — zapytał Mike.

John kiwnął głową.

— Słuszna uwaga. Ale ode mnie się nie dowiecie, na czym ten problem może polegać. Opieka społeczna zorganizuje wam obojgu szybkie szkolenie u jej lekarza i wyspecjalizowanej pielęgniarki.

— Okej — powiedziałam. — To brzmi rozsądnie. Lepiej wiedzieć, co robimy. Ale tak ogólnie, jak ona się czuje? Z tego, co mówisz, przeżyła piekielny okres.

— Szczerze mówiąc, nie wiem — odparł John. — W jej aktach nie ma wiele więcej.

Gdzie ja to już słyszałam, pomyślałam smętnie. Kiedy wzięliśmy Justina, to zdanie stało się niemal naszą mantrą. John dostrzegł moją minę i spojrzał na mnie przepraszająco.

— Przykro mi — mruknął. — Po prostu ona dość krótko jest pod instytucjonalną opieką, a kiedy dziecko jest u członków rodziny, ci zwykle niezbyt rygorystycznie prowadzą dokumentację. Oczywiście zobaczę, co jeszcze uda się wygrzebać, ale tymczasem, co byście powiedzieli, żeby trafiła do was w tę środę?

— To szybko — stwierdził Mike. — Jak zmieścimy w tym czasie wizytę zapoznawczą? Nie chcielibyśmy się deklarować, póki jej nie poznamy. Ona z pewnością też.

— Wiem — odparł John. Nie potrafił ukryć nadziei w oczach. — Liczyłem, że uda się to załatwić w poniedziałek. Widzicie, Jean w środę idzie do szpitala na badania, więc bardzo by nam skomplikowało sprawy, gdyby...

— Dobrze — zgodziłam się. — Może być poniedziałek. Biedna mała. Ale jedno pytanie, John.

Skinął głową.

— Tak?

— Dlaczego my? Ja i Mike? Wydaje mi się, że to dość typowa i krótkoterminowa sprawa. Dlaczego wybrałeś nas, a nie jakiegoś zwykłego opiekuna? Chodzi o tę jej chorobę?

John pokręcił głową.

— No tak, po części — przyznał. — Ale głównie dlatego, że z tego, co wiem, ona bywa czasem trudna. To nic poważnego, a wiecie już z doświadczenia, że nie mówię takich rzeczy o, tak

sobie. Podobno jest trochę niezdyscyplinowana. I wszyscy mają wrażenie... ale to zostaje między nami, okej? Że od kiedy jest z Jean, w jej życiu ogólnie trochę brak dyscypliny, a dodając do tego chorobę Addisona... no cóż, sami rozumiecie, jak łatwo dopuścić do tego, by dziecko z tego rodzaju problemem zaczęło manipulować otoczeniem.

— Rozumiem — powiedziałam. — Więc trzeba jej wytyczyć granice?

— Trafiałaś w sedno. Właśnie dlatego to sprawa w sam raz dla was. Nie ma co się bawić w punkty, bo jak mówię, to tymczasowa historia, ale zróbcie to, co oboje potraficie tak doskonale. I niech wam sodówka nie uderzy do głowy, bo nie powinienem wam tego mówić, ale to mój szef zasugerował, żebym umieścił Sopię u was. Powiedział: „Jeśli ktokolwiek zdoła ją wyprowadzić na ludzi, to rodzina Watsonów. Bo popatrz, jak sobie poradzili z Justinem”.

— To miło — odezwał się Mike, choć poznałam po jego tonie, że wie, że John próbuje nam słodzić.

— W takim razie dobrze, że od razu zajęłam się urządzeniem jej sypialni — dodałam. — Kochanie, może zabierz Johna na górę i pokaż mu pokój, a ja nastawię czajnik.

Poszli na górę podziwiać moje artystyczne wysiłki, a ja zostałam w kuchni z pełną głową. Biedne dziecko. Co za tragiczna historia. Straciła mamę, jedyną osobę, jaką miała na świecie, a do tego musiała sobie radzić z własną poważną chorobą. Byłam ciekawa, czy w ogóle odwiedza matkę w szpitalu; kiedy John i Mike wrócili na dół, zapytałam o to.

— Tak, odwiedza — odparł John. — Mniej więcej co sześć tygodni, przez godzinę. Oczywiście nic dobrego nie wynosi z tych odwiedzin. Podobno po każdej wizycie jest mocno wytrącona z równowagi i dlatego nie jeździ tam częściej.

— Biedna mała — powiedziałam. — To musi być okropne.

— No cóż, takie jest życie, Casey — stwierdził ze smutkiem. — Ale, ale, świetnie się spisałaś z pokojem. Sypialnia dla księżniczki! A, i bądźcie przygotowani, bo ona naprawdę jest małą księżniczką! Ma niezłą świtę, bo tak chyba można nazwać jej zespół. Więc przygotujcie dużo filiżanek...

Kiedy John poszedł, Mike i ja wróciliśmy do salonu, usiedliśmy i zaczęliśmy omawiać to, co nas czeka. Zupełnie bezcelowe zajęcie, choć w najbliższych miesiącach mieliśmy tak siedzieć i rozmawiać jeszcze nie raz. Nie da się zgadnąć, co niesie przyszłość, szczególnie w takiej pracy, jak nasza.

— No widzisz — rzekłam. — Warto było poświęcić trochę czasu na urządzenie pokoju, co? Bądź przygotowany na wszystko, oto moje motto!

Powiedziałam to żartem, ale co ja mogłam wiedzieć? Te moje złe przeczucia nie brały się z niczego. Bo nic nie mogło przygotować nas na Sopię.

Rozdział 2

Nadszedł poniedziałkowy ranek, a razem z nim świeży śnieg. Na którego widok głośno jęknęłam, bo właśnie skończyłam mozolne polerowanie drewnianych podłóg, a teraz znów miały zostać zdeptane przez przemoczone obuwie.

— Myślisz, że mogę poprosić wszystkich o zdjęcie butów? — spytałam Mike'a.

Pokręcił głową.

— Lepiej nie, kochanie. Jak już sobie pójdą, wystarczy przelecieć podłogę mopem.

— Przelecieć mopem! — oburzyłam się. — Jasne! Froterowałam te cholerne podłogi przez cały ranek! Ręcznie! Powinieneś kiedyś spróbować. To...

— Hej — rzucił ostro. — Uspokój się! Przestań się ciskać, podłódze nic nie będzie. Podobnie jak reszcie domu! — Jego spojrzenie trochę zmiękło. — Posłuchaj, pomogę ci potem ścierać, okej? I teraz też staram się pomóc, więc nie wyzywaj się na mnie.

Cały wściekły wyszedł z oranżerii, a mnie się zrobiło trochę głupio. Chciałam tylko zrobić dobre wrażenie, jak zawsze. A dom bez skazy wydawał się niezłym sposobem. Tej obsesji winna była moja matka. W czasach mojego dzieciństwa była taka sama, jak ja teraz. Byliśmy katolikami. Proboszcz i zakonnice wiecznie wpadali do naszego domu, często bez uprzedzenia. Żyła w wiecznej panice, że mogą ją nakryć na nieporządku, więc na wszelki wypadek codziennie pucowała dom od góry do dołu.

Ale nie miałam czasu dumać nad strasznym losem, jaki czeka moje drewniane podłogi, bo właśnie kiedy przeprowadzałam ich ostatnią, dokładną inspekcję, zobaczyłam samochód — nie, trzy samochody — zajeżdżające przed dom.

— Mike! — syknęłam. — Wracaj tutaj! Już są. Boże, więcej ich mamusia nie miała?

Mike dołączył do mnie przy oknie salonu i wyjrzał.

— O, do licha, niezła banda — przyznał.

W pierwszym samochodzie, który poznaliśmy, siedział oczywiście John Fulshaw. Drugim przyjechały dziewczynka — zapewne Sophia — i dwie kobiety, a trzecim jeszcze jedna kobieta i jakiś facet.

Przeszliśmy pod drzwi, żeby im otworzyć; podmuch zimnego powietrza owionął mi nogi. Dzień był naprawdę lodowaty.

Ale uśmiech dziewczynki był ciepły.

— Ty pewnie jesteś Sophia — powiedziała, szczerząc się do niej i wyciągając rękę. Uścisnęła ją natychmiast, bardzo przyjaźnie. Wprowadziłam ją głębiej do domu, razem z całą resztą, gdzie kierowanie ruchem przejął Mike i zagonił wszystkich do jadalni. Przy takich okazjach dobrze jest mieć stół, przy którym wszyscy mogą usiąść, a kuchenny był za mały.

Ale i w jadalni mieliśmy za mało krzeseł. Skrzywiłam się, kiedy zdałam sobie sprawę, że trzeba będzie donieść krzesła z oranżerii — a nie pomyślałam, żeby je umyć.

Zbeształam się w duchu. To nie miało znaczenia, że krzesła nie były nieskazitelnie czyste. Tu chodziło o los Sophii, a nie o to, na czym ci ludzie posadzą tyłki!

Spojrzałam na nią, by znów się uśmiechnąć, ale była pogrążona w szeptanej rozmowie z jedną z kobiet, z którymi przyjechała samochodem. Jej rozmówczyni wydawała się dziwnie nerwowa od samego początku. Zastanawiałam się, czy to jej opiekunka społeczna, ale kobieta nagle wybuchnęła płaczem, chwyciła Sophię w objęcia i mocno uściskała.

Zerknąwszy najpierw na mnie — a z pewnością miałam osłupiałą minę — jedna z kobiet podeszła i rozdzieliła je.

— No już — powiedziała do nich z łagodną wymówką. — Jean, obiecałaś, że nie będziesz tego robić. No, puść Sophię, i może zaczniemy spotkanie. Nie zdążyliśmy się nawet przedstawić!

Ach, więc to opiekunka Sophii, pomyślałam. Ta, która podobno jest chora. To by wyjaśniało jej nerwowość i dziwne zachowanie. Ale mimo wszystko sięgnęłam pod stołem po dłoń Mike'a i uścisnęłam ją. Coś mi tu mocno nie grało.

Podczas prezentacji przyjrzałam się Sophii uważniej. Szczerze mówiąc, trudno mi było

oderwać od niej oczy. Miała ledwie dwanaście lat, ale była wyjątkowo dobrze rozwiniętą dziewczynką. Ze swoim wzrostem — miała około metra siedemdziesięciu, przy moim metrze pięćdziesiąt w kapeluszu — z łatwością mogła uchodzić za szesnastolatkę, albo i starszą dziewczynę. Była też mocno opalona, tak bardzo, że wyglądała, jakby właśnie wróciła z Morza Śródziemnego. A z pewnością nie wróciła, więc czy to był samoopalacz? To by się zgadzało — była wystrojona jak na imprezę i z całą pewnością wiedziała, że ma zabójczą figurę. Duże piersi podkreśliła obcisłym, wydekoltowanym topem, do tego miała ciasne dzinsy i buty na obcasach. Siedziała też odchyłona na krześle, bardzo opanowana, z dziwnym uśmiechem na twarzy, jakby wszystkie te formalności zupełnie jej nie obchodziły. W sumie robiła dość piorunujące pierwsze wrażenie.

Linda Samson, pracownica opieki społecznej nadzorująca zespół, zaczęła od podania faktów, które przedstawił nam już John: że Jean chwilowo nie jest w stanie zajmować się Sophią, przez co dziewczynka potrzebuje tymczasowego domu.

W tej chwili Sophia pochyliła się do przodu i — ku osłupieniu mojemu i Mike'a — powiedziała:

— Lindo, czy z łaski swojej możesz wyraźnie zaznaczyć, że to Jean prosiła o ten urlop i że to Jean sobie nie radzi? Bo jestem pewna — w tej chwili jej wzrok padł na Jean — że prawdziwe matki nie porzucają swoich dzieci, kiedy tylko się rozchorują.

Byłam w szoku. A Jean znów się rozplakała. Twarz Lindy poczerwieniała.

— Sophio, skarbie — odezwała się błagalnym głosem. — Wyjaśnialiśmy ci to wszystko. Przecież wiesz, co się dzieje. Proszę cię, nie pogarszaj sprawy.

W trakcie tej przemowy płacz Jean przybrał na sile. Czy ona w ogóle była w odpowiednim stanie, by tu być? Najwyraźniej nie, bo w następnej chwili zadała niewypowiedziane przeze mnie pytanie.

— Po co ja tu przyjechałam? — wyszlochała. — Wiedziałam, że nie powinnam! Och, to dla mnie za wiele. Sophio, proszę cię, kochanie, nie rób tego!

Dosłownie wryło mnie w ziemię, i widziałam, że Mike też osłupiał. Patrzył na Johna błagalnym wzrokiem. Czy John coś powie, czy on powinien?

— Okej, kochani — odezwał się wreszcie John, o kilka sekund wyprzedzając Mike'a. — Spróbujmy się wszyscy trochę uspokoić, dobrze? Sophio? — Odczekał, aż będzie miał jej pełną uwagę. — Może urządzimy sobie wycieczkę po domu. Zobaczysz swój pokój i resztę. Nie masz nic przeciwko temu, Casey?

Kiwnęłam głową.

— A, John, Bob siedzi w pokoju Kierona. Może Sophia chciałaby poznać i jego.

To był pies Kierona, kudłaty i uroczy kundelek, którego mój syn i jego dziewczyna, Lauren, przygarnęli w zeszłym roku ze schroniska. Patrzyłam, jak Sophia i John wychodzą z jadalni i niemal poczułam wiaterek, kiedy wszyscy odetchnęli. Sytuacja była dziwaczna i wiedziałam, że Mike też to wyczuwa. Jakby wszyscy chodzili na rękach, żeby nie zdenerwować tej dwunastolatki w ciele dorosłej kobiety.

— Ehm, czegoś tu nie rozumiem — przyznałam, kiedy miałam już pewność, że tamci dwoje są poza zasięgiem słuchu. — Myślałam, że wszystko zostało już ustalone. — Pochyliłam się do przodu. — Dobrze się pani czuje, Jean?

Jean żałośnie pokiwała głową, choć nic nie powiedziała. Odezwała się za to Sam Davies, opiekunka społeczna Sophii.

— Bo zostało — potwierdziła. — Po prostu dla Jean i Sophii sytuacja jest jeszcze dość świeża. To pierwsze dziecko pod opieką Jean, i jest zrozumiałe, że mocno przeżywa fakt, że musi ją oddać tak szybko. Oczywiście sprawę pogarsza to, że Sophia czuje się odrzucona, choć zapewniamy ją, że to nie tak. Z pewnością wszyscy rozumiemy, co przeżyła. — Wszyscy pokiwali głowami. — Ona naprawdę jest całkiem sama na świecie. Jej jedyną rodziną jest wujek, jak zapewne państwo wiecie, a on bardzo jasno dał do zrozumienia, że jej nie chce. O ile wiemy, spakował ją i odesłał, kiedy tylko jego żona zaszła w ciążę. To bardzo trudne przeżycie dla dziecka, które ma za sobą tak wiele...

— I dlatego naszym zdaniem jest tak ważne, by Sophia miała wokół siebie solidny zespół — dodała Linda. Prawda, pomyślałam, ale to wyglądało raczej jak świta wielbicieli. — Jack? — ciągnęła Linda. — Zechcesz wyjaśnić swoją rolę?

Jack Boyd był drobnym, jowialnym Irlandczykiem. Jego praca, jak wyjaśnił, polegała na służeniu Sophii za „przyjaciela”: zabieraniu ją raz w tygodniu na jakieś wyjście, na przykład na kręgle czy do kina. Powiedział, że jeśli tylko zechcemy, będzie dalej odgrywał tę rolę, by zapewnić dziewczynie jakąś ciągłość. Sophia miała jego numer komórkowy i często do niego dzwoniła, szczególnie kiedy było jej smutno. Mike, który do tej pory milczał i słuchał, teraz wreszcie się wtrącił. I poruszył temat, o którym w całym tym zamieszaniu ja całkiem zapomniałam.

— Sophia cierpi na chorobę Addisona — zwrócił się do Jean. — Może nam pani coś o tym powiedzieć? Oczywiście musimy odwiedzić lekarza, by dowiedzieć się, jak o nią dbać, ale czy może pani choć z grubsza naświetlić trudności, jakie się z tym wiążą?

Jean zrobiła lekko zdezorientowaną minę.

— Och, zespół medyczny z pewnością powie wam wszystko, co musicie państwo wiedzieć — odparła. — Trzeba tylko wypatrywać oznak stresu, bo to jest niebezpieczne. Robi się wtedy szorstka i drażliwa. Wtedy wiem, że coś jest nie tak, bo normalnie jest przekochana.

Słyszając to, reszta zespołu uśmiechnęła się pobłaźliwie i znów odniosłam wrażenie, że ta grupka ludzi chodzi wokół Sophii na paluszkach, nawet kiedy nie ma jej w pomieszczeniu!

Ale nagle się w nim znalazła — ona i John wrócili w tej chwili do jadalni — i natychmiast podeszła od tyłu do krzesła Jacka i poczochnęła mu włosy. Gest był zupełnie niewiarygodny i raczej nie na miejscu. Jack szarpnął się do przodu, najwyraźniej nie spodziewając się tego, i powiedział:

— Oj, przestań, ty mała łobuziaro! — Spojrzał na nas, siedzących naprzeciw niego, i dodał: — Ta mała wiecznie mnie napastuje. Muszę mieć przy niej oczy dookoła głowy.

— To dlatego, że uwielbiam twój akcent, Jack — odparła Sophia, siadając. Zwróciła się do mnie. — Irlandczycy są tacy słodcy, prawda, Casey? — spytała. Teraz już śmiała się na głos, a wszyscy mieli zażenowane miny.

Uśmiechnęłam się do niej.

— W naszym domu poznasz więcej Irlandczyków. Moi bracia ożenili się z siostrami Irlandkami, z samego Belfastu. Często ich odwiedzamy. Oni zresztą też często przyjeżdżają z dziećmiakami.

Sophia przestała się śmiać. Nagle.

— Oj, to chyba nie to samo, nie sądzisz? Przecież to kobiety.

— Sophio — przerwał jej John, zanim zdążyłam zamknąć otwarte usta. — Chciałabyś o coś spytać Mike’a i Casey, zanim skończymy? — napięcie w jadalni było niemal namacalne.

— Raczej nie — odpowiedziała uprzejmie. — Pokój jest śliczny. Naprawdę śliczny. A wasz pies jest kochany... Och, już wiem! Ile macie lat? Nie lubię starych ludzi. Mike, ty wyglądasz dość młodo. Ty jesteś starsza, Casey?

Zdumiała mnie bezczelność tej dziewczyny, ale jeszcze bardziej zdumiał mnie fakt, że parę osób z jej zespołu autentycznie zachichotało. To się dopiero nazywa profesjonalizm. O tak.

— Wiesz co, Sophio? — powiedział Mike przyjaznym tonem. — Tak na przyszłość, niegrzecznie jest pytać dorosłych o wiek. Ale skoro musisz wiedzieć, Casey jest młodsza ode mnie.

— No dobrze — odezwała się Linda, której wyraźnie spieszyło się już do wyjścia; sama Sophia nawet nie otworzyła ust. — Jeśli to już wszystko, to chyba będziemy się zbierać. Państwo na pewno będziecie mieli więcej pytań, ale bądźcie spokojni, ktoś z nas zawsze będzie pod ręką, by na nie odpowiedzieć. Nasze numery telefonów będą w dokumentach, które przywieziemy w środę rano, i zostawię też państwu adres doktora Wyatta, lekarza Sophii. Jesteście z nim państwo umówieni w środę o pierwszej, więc będzie mnóstwo czasu na...

— A właśnie — powiedział Mike. — Gdzie ten doktor urzęduje?

Linda podała mu kartkę z adresem.

— Tutaj. To jest...

— Okręg Lake! — wykrzyknął zdumiony Mike. — Cumbria? Przecież to trzysta kilometrów stąd!

— Wystarczy u niego bywać raz na miesiąc — odparła pospiesznie Linda. — Jeśli nie będzie komplikacji...

— Mam nadzieję! — wypalił Mike. — To sześć godzin jazdy w obie strony! Byłoby miło, gdyby ktoś poinformował nas o tym wcześniej!

Sophia, która miała właśnie wyjść z jadalni, odwróciła się.

— Ojej, jak mi przykro — powiedziała, i było oczywiste, że korzysta z okazji, by się odgryźć. — Tatuś nie lubi jeździć?

Sam wepchnęła jej kurtkę w rękę.

— Przestań się wygłupiać — rzuciła ostro. Po raz pierwszy ktoś zwrócił jej uwagę.

Widziałam, że Mike jest wściekły, więc chwyciłam go za rękę i uściśniłam ją w nadziei, że go uspokoję. Czego mogliśmy oczekiwać, jeśli ta mała potrafiła go rozżłościć tak skutecznie i tak szybko? Niczego dobrego, pomyślałam. Niczego dobrego.

Odprowadziliśmy ich — wszystkich z wyjątkiem Johna — z przylepionymi uśmiechami na twarzach. Co myśmy na siebie brali? Przejrzyj tę maskę, powtarzałam sobie. Przejrzyj to złe zachowanie i dostrzeż zranione dziecko. Więc spojrzałam, ale Bóg mi świadkiem, było ciężko.

— Niezła ekipa, co? — rzucił John kilka minut później, przerywając ciszę, która niemal nas połknęła. Przenieśliśmy się do kuchni i Mike zabrał się do mycia filiżanek, ze złością dzwoniąc naczyniami. Podłoga w przedpokoju nagle zupełnie przestała mnie obchodzić.

— Kiedy ją poznałem, sprawiała zupełnie inne wrażenie — dodał bez przekonania John. — Zupełnie inne. Jakby była kimś innym... — Urwał bezradnie.

— Do licha ciężkiego, John! — powiedziałam. — To było coś przedziwnego. Jakby oni wszyscy bali się jej jak ognia i nie chcieli jej denerwować. Ulegali wszystkim jej kaprysom, chodzili wokół niej na paluszkach... Czy ona zmienia się w wilkołaka, kiedy się rozżłości? To o to chodzi?

John wysunął sobie kuchenne krzesło i usiadł na nim ze znużeniem.

— Nigdy nie widziałem czegoś takiego — przyznał. — Do tej pory kontaktowałem się z tym zespołem wyłącznie telefonicznie i wszyscy wydawali się naprawdę pozbierani. Przepraszam — powiedział. — Masz rację. To wszystko zapowiada się na trudne zadanie. Szczerze mówiąc, zgodziłem się wziąć tę sprawę tylko dlatego, że to ma być tymczasowo. I na pewno nie potrwa długo, bo jak widzieliście, Jean bardzo chce ją zatrzymać na stałe.

— A jest na to dość silna? — spytał Mike. — Bo ja tego jakoś nie widzę. Ale mam nadzieję, że jest. — Zmarszczył brwi. — Bo, chociaż mówię to bardzo niechętnie, wyczuwam kłopoty. Wydaje mi się, że w tej dziewczynie jest coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka.

John oczywiście kajał się bez końca. Przepraszał za to, że nie zdołał dowiedzieć się więcej o przeszłości Sophii i jej chorobie. Za to, że nie wiedział, że do lekarza jest tak daleko. Za to, że nie miał pojęcia, co się może stać, jeśli Sophia „trochę się zestresuje”. I obiecał, że zrobi, co w jego mocy, by dowiedzieć się więcej — bo wiedza to podstawa.

Zapewniliśmy go, że nie mamy mu tego za złe osobiście — bo przecież to nie jego wina, prawda? Zgodziliśmy się wszyscy, że będzie to trudne wyzwanie, a przecież my jesteśmy właśnie od trudnych wyzwań. A mimo to, kiedy Mike i ja machaliśmy Johnowi od progu, nie mogłam odpędzić myśli, że są wyzwania i wyzwania, a to może nam nie przypaść do gustu.

— Wiesz co, kochanie? — powiedziałam do Mike'a, wyciągając rękę, by go objąć. — Naprawdę nie mogłam się doczekać nowego dziecka, ale teraz już nie wiem, czy tak mi się spieszy.

Przyciągnął mnie do siebie.

— Wiem, skarbie. To wszystko wygląda trochę zniechęcająco. Ale przecież za to nam płacą. Musimy po prostu starać się jak najlepiej, nie? Zobaczymy, jak to będzie. I pamiętaj, co ta mała musiała znieść w życiu. Pewnie jest wściekła na cały świat.

Mike oczywiście miał rację. Oboje wiedzieliśmy, że zachowanie to tylko powierzchwnia i że to zaledwie dwunastoletnie dziecko, które nie ma mamy — nie ma właściwie żadnej rodziny. Jeśli dodać do tego nieuleczalną i być może zagrażającą życiu chorobę, trudno się było dziwić, że jest pełna gniewu i wymagająca. Westchnęłam, bo teraz dotarło do mnie w całej pełni, jak niewdzięczne

może być to zadanie. I to nie tylko dlatego, że Sophia była trudnym dzieckiem. Przeczuwałam — nie, ja to wiedziałam — że wszelkie nasze wysiłki, zmierzające do wytyczenia jej granic, których tak bardzo potrzebowała, prawdopodobnie będą niweczone przez ekipę „profesjonalistów”, którzy pobłażali jej na każdym kroku, a robiąc to, zmieniali ją w potwora. Czy oni nie widzieli, że nie pomagają jej się rozwijać? Że tylko umacniają jej przekonanie, że wszystko jej wolno, jej fatalne maniery i nierealne oczekiwania? To nie była recepta na szczęśliwe dorosłe życie.

Miałam nadzieję tylko na jedno: że zdołamy cokolwiek zmienić. Nawet jeśli na pierwszy rzut oka wydawało się, że będzie to ciężka harówka.

— Teren czysty! — powiedziała Riley przez telefon dwadzieścia minut później. — Możesz przyjść z Levim i poprawić mi humor?

Moja córka jest naprawdę kochana i wiedziałam, że spotkanie z nią i moim ślicznym wnukiem rozwieje wszystkie czarne myśli. Zabrałam się do przygotowania lunchu dla naszej trójki — Riley, Mike’a i mnie. Potem Mike musiał pędzić z powrotem do pracy.

— To jak, była okropna? — spytała Riley, kiedy tylko się zjawiała. — Przez telefon wydawałaś się mocno zdołowana.

Bo byłam. Jak powiedziałam Mike’owi jeszcze przed przyjściem Riley, było mi teraz głupio, że tak się wczułam w urządzenie tej cholernej sypialni. Bo też obie z Riley przeszłyśmy siebie. W oknie wisiały różowe, trzepoczące motylki, dwuwarstwowe zasłony w dwóch odcieniach różu, ze srebrnymi cekinami, do tego dopasowana kolorystycznie pościel i puchate, różowe poduszki. Samo łóżko też uległo transformacji dzięki brokatowemu, różowemu baldachimowi, który spływał z sufitu na poduszki. Ściany zdobiła cała armia motylków i wrózek, a pomalowany w piłki regał na książki, który tak mnie martwił, lśnił teraz bielą i stał wśród grzybów (pomysł Riley — ozdoby ogrodowe), na których siedziało jeszcze więcej wrózek... To naprawdę był pokój dla księżniczki. Problem w tym, że mieliśmy do czynienia nie z księżniczką, a raczej z udzielną księżną.

Jak powiedział Mike, uprzyjemnienie jej przeprowadzki należało do naszych obowiązków. Ale teraz patrzył na mnie ponuro, jakby czytał mi w myślach.

— Pieprzyć pokój, Casey — powiedział. — To nasze najmniejsze zmartwienie.

Miło było mieć w domu Riley; od razu się odprężyłam.

— No dobra — stwierdziłam — pójdę wygrzebać jakieś zabawki dla Leviego. Mike, kochanie, może ty opowiesz wszystko Riley?

Poszłam do schowka pod schodami, wiedząc, że Mike będzie się trzymał faktów i nie da się ponieść emocjom, jak ja. Nie chciałam pokazać, że za bardzo się tym przejmuję, bo wiedziałam, że dzieciaki będą się jeszcze bardziej martwić, czy słusznie postępujemy.

Zabawne, pomyślałam, wyjmując pudło i zdejmując pokrywę, jak to człowiek ma w życiu różne oczekiwania, choć nie popierają ich żadne dowody. Nazbierałam całe mnóstwo tych zabawek, kiedy tylko zaczęliśmy rozmawiać o podjęciu się opieki zastępczej, spodziewając się, nie wiedzieć czemu, że będziemy mieć w domu mnóstwo małych dzieci. Naiwne myślenie — przecież to starsze dzieci potrzebowały naszej specjalistycznej pomocy. Te, które przeżyły już niejedno, te wypaczone. A mimo to, dumalam, wyciągając śpiewającą świnkę dla Leviego, może zabawkowa wróżka wiedziała, że niedługo będę mieć pierwszego wnuka. To była miła myśl po tak dołującym poranku.

Kiedy wróciłam do kuchni, Mike i Riley, dzięki Bogu, śmiali się w najlepsze.

— Wygląda na to, że dostaniecie jakąś zmanierowaną pannicę! — powiedziała Riley, wtórując na głos moim własnym myślom.

— Widzę, że tata cię wtajemniczył? — spytałam.

— Owszem — potwierdziła. — Ale nie martw się, mamu. Szybko ją doprowadzicie do porządku. W tym domu nie ma równych i równiejszych!

Skinęłam głową.

— Ale martwię się o Kieroną — wyznałam. Mój syn cierpi na łagodną postać zespołu Aspergera, przez co jest trochę nadwrażliwy w różnych dziwnych momentach. Nie dostrzega w nikim zła, nie rozumie przebiegłości czy wyrachowania, a podejrzewałam, że jako młody, wysoki

przystojniak może stać się celem uwagi Sophii. — Myślę, że ona będzie dla niego trudna do przełknięcia — powiedziałam. — Wydaje mi się, że trochę przesadza z kontaktem fizycznym. Widziałeś, jak zachowywała się z Jackiem, prawda, Mike? To mała flirtująca.

— Trochę przesadza?! Jack był potwornie zażenowany — przyznał Mike. — Więc będziemy musieli przygotować na to Kieron. No wiesz, zapowiedzieć mu jasno, że musi zachować dystans.

— I ustalić pewne twarde zasady. Nawet jeśli nie rozpoczniemy z nią programu. Ona potrzebuje wytycznych bardziej odpowiednich dla dziewczyny w jej wieku.

W ciągu kolejnych dwudziestu czterech godzin określiliśmy te zasady, jak również ostrzeżliśmy Kieron, że Sophia jest niepodobna do większości dwunastolatek i że bieganie po domu w bokserkach może być złym pomysłem. Skontaktowałam się ze swoją starą szkołą — tą, w której pracowałam, zanim zajęłam się opieką zastępczą — i zaklepałam w niej miejsce dla Sophii, żeby mogła zacząć chodzić na lekcje od następnego poniedziałku. Posiedziałam też trochę w Internecie, by dowiedzieć się czegoś o chorobie Addisona. Wyglądało na to, że jest tak, jak nam mówiono — była nieuleczalna i na całe życie, ale chyba dość prosta do opanowania za pomocą tabletek. Jedyną niepokojącą sprawą był występujący u ludzi z tą chorobą tak zwany „przełom nadnerczowy”, kiedy to poziom hormonów spadał tak nisko, że stanowił zagrożenie życia, jeśli natychmiast nie podało się zastrzyku. Brzmiało to dość groźnie i zapisałam sobie w pamięci, że muszę dokładniej wypytać o to lekarza. W końcu zadzwoniłam do Johna Fulshawa, by i jego o tym poinformować, i zdumiała mnie jego reakcja.

— Och, Casey, nawet nie wiesz, jaki jestem wam wdzięczny. Po wczorajszym ranku naprawdę sądziłem, że zadzwonicie, by zawiadomić mnie o zmianie zdania.

— Ależ skąd, John — odparłam. — Spróbujemy. Będzie inaczej, na pewno, ale jakoś sobie poradzimy.

Kiedy wszystko było już załatwione i kiedy Mike poszedł już do pracy, a Kieron na uczelnię (robił fakultet z muzyki i multimedii i był nim zachwycony), potruchałam do oranżerii na papierosa. Muszę przestać, skarciłam się w duchu, jak za każdym razem, ale jakoś nie byłam w stanie. Paliłam niewiele, ale awaryjna paczka, którą trzymałam na lodówce, dosłownie ratowała mi życie w chwilach wielkiego stresu. A teraz jestem zestresowana, pomyślałam, otwierając drzwi na patio i zapalając fajkę.

Gdybym wiedziała, o ile bardziej stresujące stanie się wkrótce moje życie, pewnie od razu zapisałabym się na przeszczep płuc.

Rozdział 3

Kiedy obudziłam się w środę rano, czułam się dość pewna siebie. Nie bardzo wiedziałam dlaczego, ale z całą pewnością się z tego cieszyłam. Spojrzałam na budzik — było tuż przed siódmą. Postanowiłam, że skoczę na dół, wezmę sobie poranną gazetę i kawę i wrócę do łóżka na pół godzinki. Mike wyszedł już do pracy — musiał zajrzeć do magazynu na jakąś godzinę. Miał wrócić koło dziewiątej, by razem ze mną powitać Sophię i jej siostrę, zanim wyruszymy w długą podróż do doktora od Addisona.

Zasługujesz na to, powiedziałam sobie, wślizgując się z powrotem pod przytulną, jeszcze ciepłą kołdrę. Więc ciesz się tym. Przed tobą nie lada wyzwanie...

O ósmej trzydzieści byłam już na dole, wykąpana i ubrana, z włosami (które są czarne i kręcone) związanymi w kucyk. Bywają dni, że nic innego nie da się z nimi zrobić. To był jeden z tych dni. Typowe, pomyślałam, jeszcze raz nastawiając czajnik. Ale to nieważne. Wiedziałam, że w legginsach i ciepłym, workowatym swetrze wyglądam na spokojną i wyluzowaną, ale niestety moja pewność siebie spłynęła do kanału razem z żelam pod prysznic, kiedy w głowie zaczęły mi się kłębić myśli o nadchodzącym dniu. Długa jazda, wykład na temat choroby Addisona, znów długa jazda, i wreszcie nowa rzeczywistość, w której Sophia stanie się częścią naszego domu i życia.

Spojrzałam na zegarek. W sam raz dość czasu na ukradkowego papierosa i kawkę w oranżerii, zanim zjawią się Mike i reszta. Pałac papierosa w drzwiach, drżałam z zimna i żalowałam, że nie włączyłam ogrzewania godzinę wcześniej. Ciekawe, kto też zjawi się tym razem. Przecież chyba nie przyjedzie cała ta ekipa, która była tu w poniedziałek? Zgasiłam papierosa i wróciłam do salonu, żeby wyjrzeć przez okno.

Owszem. Wyglądało na to, że cała. Pod domem zdążyły już zaparkować te same trzy samochody. Ale kiedy przyjrzałam się uważniej, stwierdziłam, że przyjechało nimi mniej osób. A w każdym razie mniej z nich wysiadło: John Fulshaw z jednego, Linda Samson z drugiego i Sam Davies z trzeciego. Sama Sophia stała już przy mojej furcie i dyrygowała całą operacją.

Była wystrojona jak z żurnala — futrzana kurtka i czapka, tapeta na twarzy — i przytrzymała furtkę, by jej świta mogła przejść. A ja stałam w oknie i z otwartymi ustami patrzyłam na ten obrazek. Nie mieściło mi się w głowie, ile bagaży wypluwały bagażniki aut. Zaczęłam liczyć: cztery wielkie walizy, przynajmniej ze sześć kartonowych pudeł i coś, co wyglądało na sztapel obrazów. Dosłownie mnie zatkało.

Gdzie to się miało wszystko pomieścić, do licha? A co ważniejsze, dlaczego zabrała to wszystko ze sobą, skoro miała u nas być tylko chwilowo?

Jeszcze bardziej niewiarygodne (a dobrze słyszałam przez okno) było to, że ta dwunastolatka wyszcze kiwała rozkazy pod adresem dorosłych — a oni jej słuchali.

— Ostrożnie z tymi obrazami! — wypaliła do Johna, kiedy ją mijał. — Jeśli je uszkodzisz, będziesz musiał zapłacić! — Po czym klasnęła w dłonie (to zaczynało przypominać jakąś ślapstickową komedię) i powiedziała: — No, ciach, ciach! Nie mam całego dnia!

W tej chwili Sophia odwróciła się i dostrzegła mnie, gapiącą się przez okno. Uśmiechnęła się i pomachała do mnie, po czym, jeśli mnie wzrok nie mylił, pstryknęła palcami, żeby przywołać mnie do drzwi. Na co ja, jak w jakimś transie, który kierował najwyraźniej jej pozostałymi poddanymi, o mało nie potknęłam się o stolik do kawy, pędząc do przedpokoju.

— Cześć, skarbie — powiedziałam, otwierając drzwi, kiedy Sophia podeszła akurat chodnikiem od frontu. — Rety, masz dużo bagażu. Mogę ci w czymś pomóc?

— Cześć — odparła, przemaszerowując mi przed nosem. — Nie, dzięki. Możesz im tylko powiedzieć, żeby zabrali wszystko do mojego pokoju. Ja nie noszę bagaży — dokończyła słodkim głosem.

Im? Wreszcie oprzytomniałam, przynajmniej po części.

— O nie, nie ma mowy — zapewniłam, zwracając się również do dorosłych, którzy zaczynali się schodzić do domu, częściowo zasłonięci tobołami. — Na razie zostawimy wszystko w przedpokoju. Możemy to zabrać do pokoju później. — My, ja i ty, moja droga, powiedziałam sobie

twardo w duchu.

Nie stało się nic strasznego. Żadnego wybuchu. Żadnego focha. Sophia po prostu wzruszyła ramionami i przeszła do salonu, mamrocząc coś pod nosem o „niekompetencji idiotów”. A ja zostałam w holu, znów z opadniętą szczęką. To było absolutnie niewiarygodne.

Ale też na tyle absurdalne, że zabawne, szczególnie kiedy zobaczyłam Johna szamoczącego się z dwiema różowymi walizkami, które na wpół wciągnął, na wpół wrzucił do przedpokoju. Musiałam przygryźć wargę, żeby się nie roześmiać, a jego piorunujący wzrok tylko pogorszył sprawę. Posłał mi spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

— Nic nie mów — mruknął pod nosem. — Okej? Po prostu nic nie mów.

Nareszcie wszyscy zebraliśmy się w salonie. Zaprosiłam gości, by usiedli, i poszłam przygotować coś ciepłego do picia. Przechabawna mina Johna bardzo poprawiła mi humor i wyciągając kubki z szafki, śmiałam się pod nosem.

— Co cię tak bawi? — spytał jakiś głos. Sophia przysła za mną do kuchni.

— Och, nic — rzuciłam, ucieszona, że dziewczyna poczuła się na tyle swobodnie, by tu do mnie dołączyć. — Tylko zabawnie było patrzeć, jak John szarpie się z twoimi walizkami. Wszystko dobrze, skarbie? — Spojrzałam na nią. — Dobrze się czujesz?

Na jej twarz wypłynęła mina, którą mogłam określić tylko jako protekcyjną.

— Bez przesady — rzekła z irytacją. — Nie musisz tak na mnie patrzeć. Jeszcze nie umieram!

— Wiem — odparłam spokojnie, choć przez lekko ściśnięte zęby. — Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Chciałam tylko wiedzieć, czy wszystko w porządku. Po całym tym zamieszaniu z przeprowadzką.

Odrobinę jakby złagodziła minę, ale nie spuściła z tonu.

— Hmf — mruknęła pod nosem. — Tak, czuję się dobrze.

To powiedziawszy, odwróciła się i przeszła z powrotem do salonu, znów zostawiając mnie z uchylonymi ustami. Dobra, dość tego, zdecydowałam w tej chwili. Koniec z miłą Casey. Musiałam pokazać temu dziecku, kto tu rządzi, i uciąć to płasanie wokół niej na paluszkach. Nie wynikało z tego nic dobrego dla dziewczyny. Takie traktowanie sprawiało, że była nieprzyjemna w kontakcie, a to nie mogło jej pomóc w życiu. Wiedziałam też, że przez to mnie będzie trudniej jej pomóc. Przygotowałam napoje i zabrałam tacę do salonu, gdzie troje dorosłych usiłowało prowadzić towarzyską pogawędkę w obecności Sophii.

— No, już jestem — powiedziałam wesoło. — Proszę bardzo. Częstujcie się ciastkami.

Sophia spojrzała na Sam tak znacząco, że bardziej się już nie dało.

— Sophia nie lubi, kiedy je się przy niej ciastka — wyjaśniła nerwowo Sam. — To przez chorobę Addisona. Musi bardzo się pilnować ze słodyczami, bo przez sterydy, które przyjmuje, ma potężny apetyt, i gdyby sobie pozwoliła... — Spojrzała na Sophię, jakby szukała u niej pomocy. W końcu wymieniła spojrzenie z Lindą. — No, oczywiście nie byłoby dobrze, gdyby przytyła.

Wzięłam talerz z ciastkami i podsunęłam go wyłącznie dorosłym, równie ostentacyjnie. Dziewczyna potrzebowała się nauczyć dyscypliny, koniec, kropka.

— Przykro mi — stwierdziłam. — Widzę, że muszę się jeszcze dużo nauczyć.

— Owszem, musisz — oznajmiła Sophia, zakładając ręce na piersi.

— Ależ, Sophio... — zaczęła Sam, tak nerwowo, jakby w ogóle bała się odezwać. Jezu, co się działo z tymi ludźmi? — Chodź, skarbie — dodała, zrywając się z kanapy i obejmując Sophię, jakby ta stała tu zalana łzami, a nie pewna siebie i uśmiechnięta. — Pokażesz mi swój pokój? Mogłabym pomóc ci zacząć się urządzać, zanieść parę rzeczy na górę. A ich tu zostawimy z nudną papierkową robotą, co?

Miałam ochotę trzasnąć tę kobietę w ucho. Opiekunka społeczna Sophii nie tylko mnie dyskredytowała — co już samo w sobie było fatalne — ale też bagatelizowała niegrzeczne zachowanie dziewczyny. Co nie miało nic wspólnego z profesjonalizmem.

Kiedy tylko wyszły, odwróciłam się do Lindy, opiekunki nadzorującej, która w tej chwili niczego nie nadzorowała.

— Wie pani — powiedziałam — uleganie każdemu jej kaprysowi na pewno jej nie pomoże.

Ona potrzebuje granic, minimum dyscypliny...

— Zgadza się — wtrącił John. Widział, jaka jestem wściekła i bardzo chciał mnie poprzeć. Dotarło do mnie, że jeszcze nie jest za późno, żebyśmy zmienili zdanie, i on o tym wiedział. Ale na pewno nie było to jego motywacją. Naprawdę starał się coś wskórać. — Ona owinęła sobie wszystkich wokół palca.

Nie zdziwiło mnie, że Linda natychmiast zaczęła jej bronić.

— Wiem, że tak to wygląda — odrzekła. — Ale proszę was, spróbujcie państwo przejrzeć tę maskę. Ona czuje się zagubiona, porzucona i samotna. I uspokoi się, obiecuję. Dajcie jej parę dni. Wszystko będzie dobrze. Naprawdę.

Ale jej ton zaprzeczał słowom. Wcale nie była przekonana, że będzie dobrze. Pomyślałam, że nie będę miała wielkiego wsparcia ze strony tego zespołu. Znów — tak jak przy poprzednim dziecku — będziemy zdani na siebie i będziemy mogli liczyć tylko na Johna. Czy to ma być norma w przypadku naszej specjalistycznej, „wycynowej” opieki zastępczej? Czy Mike i ja będziemy uważani za tak kompetentnych, że będą nam zwałać na głowę wszystko, ślepo wierząc, że damy radę?

Ale zanim zdążyłam powiedzieć coś, czego bym żałowała, do domu wszedł Mike, który wreszcie wrócił z pracy.

— Dzień dobry wszystkim! — rzucił wesoło. — Wszystko dobrze? — Nasza trójka była chyba jednomyślna. Koniec tematu. Wszyscy pochyliliśmy się nad stołem i zabraliśmy się do papierów.

Dopiero kiedy John i Linda kończyli formalności, a ja pozbierałam kubki, mogłam zamienić słowo z Mikiem na osobności.

— Co tam, kochanie? — spytał, kiedy byliśmy już w kuchni. — Atmosferę można kroić nożem!

— Oj, to samo, co ostatnio. Nasza zmanierowana pannica znów pokazała pazurki. I wygląda na to, że nikt z jej „zespołu” nie ma odwagi się jej postawić. Trochę się rozżłościłam, i tyle. Nie ma się czym przejmować. Mała się przekona, że od dzisiaj wszystko będzie inaczej. I najwyższy czas, bo ta banda chyba chce stworzyć potwora.

Ale po powrocie do salonu musiałam zrewidować swoje poglądy. Sophia i Sam zeszły już na dół; dziewczynka była wyraźnie i szczerze zrozpaczona, kiedy ścisnęła obie kobiety na pożegnanie. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Przecież to była zdesperowana dwunastolatka, próbująca jakoś się odnaleźć w przerażającej sytuacji życiowej. Może Linda miała rację, a ja byłam w błędzie. Musiałam się nauczyć, że mój nos do ludzkich charakterów nie jest być może tak nieomyślny, jak sądziłam. Nie miałam też pojęcia, jaką emocjonalną cenę płaci ta mała za swoją nieuleczalną chorobę. Sophia być może też miała rację — naprawdę musiałam się dziś po południu dużo nauczyć. A skoro o tym mowa...

— Popatrzcie, która godzina — powiedziałam. — Musimy się zbierać.

— No tak — odparła Sam, wyplątując się z objęć Sophii. — Chyba nie powinniśmy zajmować wam więcej czasu. Sophio, zadzwonię do ciebie za dzień czy dwa, okej? A za jakiś tydzień wpadnę sprawdzić, jak ci się tu mieszka.

Kiedy wszyscy wychodzili już za drzwi, podeszłam bliżej do Sophii i odruchowo objęłam ją w tali. Pomyślałam, że potrzeba jej trochę czułości. Fizycznego kontaktu. Nawet jeśli jej zachowanie często sugerowało coś wręcz odwrotnego, dziecko w jej wnętrzu przede wszystkim potrzebowało miłości.

Pomachałyśmy odjeżdżającym na pożegnanie. Sophia wolną ręką otarła mokre policzki i nagle zwróciła się do mnie.

— Gdzie jest twój syn? Mówiłaś, zdaje się, że masz nastoletniego syna?

Jej głos brzmiał już całkiem inaczej. Nagle stał się tak wesoły i słoneczny, jak dzień był ponury i zimny.

— Kieron? — spytałam zdumiona. — Tak. Jest dzisiaj na uczelni. Poznasz go wieczorem. Kiedy wrócimy od twojego lekarza...

— Okej — odparła pogodnie. — No to się zbieramy, tak? Jak sama mówisz, to długa droga. Komu w drogę, temu czas!

To były bardzo, bardzo długie trzy godziny. Całą jazdę do szpitala wszyscy w samochodzie — Mike, ja i Sophia — spędzili pogrążeni we własnych myślach. Na początku kilka razy próbowałam nawiązać rozmowę z Sophią. Wszystkie te próby były łagodnie, ale zdecydowanie niweczone przez jej brak zainteresowania i lakoniczne odpowiedzi. Potem włączyłam stację radiową, która, moim zdaniem, mogła jej się spodobać, ale i ta uprzejmość została ostentacyjnie odrzucona. Sophia po prostu wyjęła z kieszeni odtwarzacz MP3 i podłączyła się do niego.

— No to masz za swoje — szepnął Mike.

Ona ma dwanaście lat, powtarzałam sobie w duchu, sama ze swoimi niepokojami (oczywiście nie mogłam porozmawiać z Mikiem, bo Sophia siedziała pół metra od nas). Ona ma dwanaście lat. Przypomnij sobie, jak to było, Casey. Właśnie takie są dwunastolatki, nawet dwunastolatki z najbardziej kochających rodzin i z najlepszą przeszłością. A na dodatek jest u progu dojrzewania... nie, pomyłka. Przynajmniej fizycznie była już mocno zaawansowana. Może więc niepotrzebnie dorabiałam temu nieistniejące znaczenia. Pomijając wszystko, była rozpieszczona i ewidentnie wykorzystywała swoją chorobę, by manipulować dorosłymi. Potrzebowała po prostu pokierowania na właściwą drogę, wsparcia i zdrowej dawki dyscypliny. Stwierdziłam, że to będzie dla niej najlepsza pomoc. A że w zasadzie była sierotą, bardzo tej pomocy potrzebowała.

Ale nie mogły mnie nie zastanawiać te ekstremalne huśtawki nastrojów: w jednej chwili arogancka i bezczelna, w następnej wesoła jak szczygieł, a w jeszcze następnej zdołowana. Jaki nastrój będzie na tapecie, kiedy zajedziemy do szpitala? Zaczynało do mnie docierać, że dziewczyna jest nieprzewidywalna.

Wesoła jak szczygieł, okazało się na miejscu. Nadąsana maska zniknęła razem ze słuchawkami iPod'a, a zastąpiła ją najśłodsza i najbardziej przyjazna mina świata.

— Za mną — zarządziła, ale sympatycznym tonem. — Znam ten budynek jak własną kieszeń! Casey — zwróciła się do mnie — będziesz zachwycona moim lekarzem. Nazywa się doktor Wyatt i jest po prostu boski. — Była tak podekscytowana, że niemal piszczała.

— No to prowadź, kochana — powiedział Mike, kiedy szybkim krokiem podążaliśmy za nią.

Nie zamierzaliśmy galopować korytarzem, jak Sophia; staraliśmy się nie tracić jej z oczu, ale ledwie za nią nadążaliśmy, więc kiedy dotarliśmy do recepcji właściwej przychodni, czarowała już recepcjonistkę.

— A, zapewne państwo Watsonowie — rzekła młoda kobieta. — Ja jestem Wendy. Znamy się z Sophie kopę lat, prawda, kotku? Proszę siadać. Doktor Wyatt zaraz będzie.

Usiedliśmy na skórzanej sofie, którą nam wskazano, i zostawiliśmy naszą młodą podopieczną wesoło gawędzącą z recepcjonistką. Ale nie czekaliśmy długo. Jakieś pół minuty później zza drzwi wyłonił się mężczyzna i huknął:

— Sophie! — Jakby witał się z drogą przyjaciółką, która zaginęła na morzu i nagle się odnalazła. Zauważyłam, że i on, tak jak Wendy, nie nazwał jej Sophią. Najwyraźniej wszyscy byli bardzo zżyci. Bardzo bardzo.

Reakcja Sophii była równie entuzjastyczna.

— Och, tak się cieszę, że pana widzę! — krzyknęła i skoczyła na niego, i to z takim impetem, iż bałam się, że go przewróci albo, co gorsza, uwiesi mu się na szyi i oplecie go nogami. Na szczęście nie stało się ani jedno, ani drugie; zdumiało mnie jednak, że doktor przyjął to jak najzwyczajszą rzecz.

— Ja też się cieszę! — odezwał się, kiedy wreszcie go puściła. — Jestem Steve Wyatt — przedstawił się, podchodząc do nas, by uścisnąć nam dłonie. — Pediatra endokrynolog. Bardzo miło mi państwa poznać.

Mike i ja zaczęliśmy wstawać, ale doktor machnął ręką, byśmy zostali na miejscu.

— Nie, nie. Możecie państwo jeszcze posiedzieć — wyjaśnił. — Sophia woli rozmawiać ze

mną prywatnie. Tylko ja i pielęgniarka, oczywiście jeśli państwo się zgodzicie?

Zapewne poznał po naszych minach, że wydało nam się to nietypowe — ostatecznie występowaliśmy *in loco parentis*.

— Wiem, że to trochę dziwne — dodał już mniej pewnym tonem — ale tak życzy sobie Sophia, a my musimy spełniać jej życzenia. Ale to potrwa najwyżej piętnaście minut, a potem oczywiście państwo możecie wejść, żebyśmy mogli omówić postępowanie i tak dalej. W porządku?

— No cóż, jeśli tak musi być... — odparł Mike. — Co ty na to, Sophio?

— To prawda, że wolę rozmawiać z doktorem prywatnie — potwierdziła, kiwając głową. Po czym oboje odwrócili się i weszli do gabinetu.

— Dziwna sprawa — powiedziałam do Mike'a, kiedy już byliśmy sami. — Powinniśmy byli nalegać, żeby tam z nią wejść. Nie sądzisz? To nie w porządku, że nie jesteśmy tam z nią. Dziwne to wszystko.

Mike wzruszył ramionami.

— A co w tym nowego? To dziecko całe jest dziwne. Dlaczego teraz miałoby być inaczej? Z pewnością nie jest typową nastolatką.

— Ale po co ta cała „prywatność”? W co takiego on jest wtajemniczony, czego nie wolno wiedzieć nam? Oczywiście rozumiem prawo pacjenta do tajemnicy lekarskiej. Ale ona jest dzieckiem. Pod naszą opieką. I naszym zadaniem jest opiekować się nią. Więc jeśli są jakieś ważne sprawy, które powinniśmy wiedzieć i o których nikt nam nie mówi...

Mike ścisnął moje kolano.

— Nie gorączkuj się tak, kochanie. Zaraz tam wejdziemy. I możemy o wszystko zapytać. Może uda nam się zamienić słowo sam na sam z doktorem. A na razie potrzebuję kawy. Tu jest tak gorąco, że zrobiłem się senny... Ty też chcesz?

— A czy niedźwiedzie mieszkają w lesie? — spytałam go, szczerząc zęby w uśmiechu.

Kiedy Mike poszedł na poszukiwania automatu z kawą, ja zaczęłam przerzucać strony czasopisma, które ze sobą przywiozłam. Ale zaledwie dwie minuty później drzwi gabinetu lekarza otworzyły się i wybiegła z nich zestresowana pielęgniarka z torebką w garści. Oszlupiałam, widząc, jak wraca pół minuty później, tym razem z butelką wody i paczką orzeszków. Biedactwo, pomyślałam. Tyle się mówi o oszczędnościach w służbie zdrowia. Skrócili im przerwy obiadowe do kilku sekund, czy co? Chwilę później pojawił się Mike z naszą kawą i już miałam się z nim podzielić swoim dowcipnym spostrzeżeniem, kiedy powiedział:

— Widziałaś to? — Ruchem głowy wskazał drzwi gabinetu doktora Wyatta. — To było dla Sophii. Podobno miała jakiś atak. Jakieś splątanie, tak to nazwała ta kobieta. I potrzebowała natychmiastowej dawki protein.

— O Boże — rzuciłam spanikowana. — Powinniśmy tam wejść?

Mike pokręcił głową.

— Nie. Spytałam ją przy automacie. Ale obiecała, że nas przyprowadzi, jak tylko opanują sytuację.

Wzięłam od niego kawę.

— Nie wiem, jak ciebie — stwierdziłam — ale mnie ta cała choroba Addisona trochę przeraża. Najwyraźniej to poważna choroba, a my nic o niej nie wiemy. Nic. Jak, na litość boską, mamy sobie poradzić, kiedy zostaniemy z nią sami? — I nie mówiłam tego, tylko żeby gadać. Naprawdę, jak sobie poradzimy? Nie byłam przekonana, że godzinka z doktorem Wyattem wiele nam pomoże. To najwyraźniej było coś, co mogło przyjść w każdej chwili i zagrozić jej życiu, i po raz trzeci w ciągu trzech dni powtórzyłam sobie tę samą mantrę: że niepotrzebnie się tak przejmuję, że to tylko na chwilę, że ona nie będzie u nas długo... ale to straszne, pomyślałam, przepełniona poczuciem winy, pragnąc pozbyć się dziecka, które jest u nas od pięciu minut!

Mike, który zawsze potrafił mi czytać w myślach — no, prawie zawsze — objął mnie ramieniem, by dodać mi otuchy.

— Przestań się martwić, kochanie, hm? Pomyśl logicznie. Nie oddaliby jej pod naszą opiekę, gdyby nie uważali, że sobie poradzimy, prawda? Posłuchajmy najpierw, co powie doktor, a potem się zobaczy, okej? I pamiętaj, co mówią o kobietach i herbacie ekspresowej...

Roześmiałam się. Miał rację i sama często to sobie udowadniałam. Nigdy nie wiesz, jaka jesteś mocna, póki nie zanurzą cię we wrzątku. A podjęcie się opieki zastępczej udowodniło mi przede wszystkim, że jestem o wiele silniejsza i dzielniejsza, niż kiedykolwiek sądziłam.

Popijałam więc kawę, czekając na wezwanie, i próbowałam myśleć pozytywnie. Wtedy jeszcze nie wiedziałam — choć bardzo szybko miałam się przekonać — jak bardzo gorący będzie ten wrzątek...

Rozdział 4

Choroba Addisona rzeczywiście była przerażającym schorzeniem. Mimo wesołego, rzeczowego tonu doktora Wyatta nie słuchaliśmy tego z lekkim sercem.

Nasza lekcja niezbędnik nie była długa, ale trudna, więc byłam wdzięczna, że doktor w jej trakcie podsuwał nam różne ulotki i broszury, które mogliśmy zabrać ze sobą i na spokojnie przetrwać później. Dostaliśmy też duże pudło leków; znajdowały się w nim między innymi przybory do sterydowego zastrzyku, o którym czytałam i który tak mnie przerażał. Nienawidziłam zastrzyków i wszystkiego, co się z nimi wiązało.

Ale rzeczywistość tego schorzenia dotarła do mnie od razu. W skrócie chodziło o to, że nadnercza Sophii w ogóle nie funkcjonowały, co miało wpływ na przeróżne procesy życiowe. Dwa niezbędne do życia hormony — kortyzol i aldosteron — musiały być uzupełniane tabletkami łykanymi kilka razy dziennie, i choć zwykle wystarczało to, by mieć chorobę pod kontrolą, różne czynniki mogły mieć wpływ na wielkość dawki, w tym sposób jedzenia, ogólny stan zdrowia i poziom stresu. Gdyby nie łykała tych hormonów w tabletkach, umarłaby — po prostu. Musiała więc zawsze pamiętać o swoich lekach — obowiązek uciążliwy dla każdego, a co dopiero dla dziecka — a kiedy wzięło się pod uwagę niełatwą sytuację życiową tego konkretnego dziecka... cóż, taka świadomość działała na człowieka trzeźwiąco.

Od strony praktycznej wszystko sprowadzało się do dyscypliny. Sophia musiała jadać regularnie i przestrzegać diety, która choć zasadniczo niezbyt restrykcyjna, nie pozwalała na przypadkowe przekąski, które dzieci w jej wieku zwykle lubiły podjadać. Tak jak powiedziała Jean, przez leki dziewczynka mogła łatwo przytyć, co sprawiłoby, że jej choroba byłaby jeszcze trudniejsza do opanowania, a na dodatek miałyby negatywne efekty psychologiczne.

Najgorszym scenariuszem, jak powiedział nam doktor, byłby tak zwany „przełom nadnerczowy”. Kryzys taki, który mógł być wywołany na przykład gorączką czy innym stresem dla ciała, stanowił zagrożenie życia. Właśnie na takie okazje był zastrzyk, który dostaliśmy. Mogłam tylko mieć nadzieję, że nie będziemy musieli go użyć.

To było mnóstwo informacji jak na jedno posiedzenie, ale musieliśmy je jakoś ogarnąć, bo jako opiekunowie Sophii, choćby na krótko, musieliśmy mieć odpowiednią wiedzę i umieć wdroić ją w działanie.

Sophia z początku siedziała z nami. Kiedy zostaliśmy zaproszeni do gabinetu, ujraliśmy doktora Wyatta za ogromnym biurkiem i Sopię siedzącą na taborecie z boku biurka. Po jakimś czasie zaproponował, by dziewczyna wyszła na spacer z pielęgniarką. Ostatecznie, powiedział, uśmiechając się do niej i do nas, sama była już poniekąd ekspertem od Addisona i nie musiała wysłuchiwać nudnych wykładów.

Skorzystaliśmy z okazji, by zapytać, dlaczego tak nalegała, żeby rozmawiać z nim sam na sam. Czy nie było to trochę dziwaczne?

— Wiem, że tak to wygląda, pani Watson — przyznał. — Ale niestety mam związane ręce. Sophia nie życzy sobie ujawniać pewnych części swojej kartoteki, a ja, obawiam się, muszę to uszanować. Mogę tylko powiedzieć, że te sprawy nie mają wpływu na jej stan ani w niczym nie utrudniają państwu sprawowania opieki nad nią.

Tym sposobem nie dowiedzieliśmy się niczego.

— Teraz najważniejsze — ciągnął doktor Wyatt — jest oczywiście to, byście państwo wyczulili się na objawy niedoboru sterydów. Ból i zawroty głowy, mdłości, wymioty, miękkie kolana, splątanie. Wic polega na tym, by za wszelką cenę unikać pełnoobjawowego przełomu. Zawsze lepiej przesadzić z ostrożnością niż żałować. Chwilowe zwiększenie dawki sterydów nie wyrządzi jej żadnej krzywdy, choć na dłuższą metę byłoby niebezpieczne. Ale to wszystko jest w literaturze — dokończył wesoło. — I możecie państwo dzwonić w razie jakichkolwiek wątpliwości. A, jeszcze jedno. — Ruchem głowy wskazał drzwi. — Trzeba się też wystrzegać zbyt niskiego poziomu cukru. To jeszcze jeden powszechny problem u chorych na Addisona, ale łatwo się z nim uporać. Tak jak przed chwilą, dajcie jej państwo małą paczkę orzeszków czy coś w tym rodzaju. Niektórzy moi pacjenci polecają też jajecznicę. Chodzi o zastrzyk protein. I przekonacie się, że

Sophię dopada czasem łaknienie soli. Jeszcze jedno... — znów urwał.

— Co takiego? — spytał Mike.

— Na pewno powiedziano już państwu, że Sophii zdarzało się udawać objawy przełomu nadnerczowego i niedoboru cukru. Prawdę mówiąc, przed chwilą najprawdopodobniej też to zrobiła. Dla efektu.

Postarałam się to przełknąć na spokojnie.

— Ale dlaczego? — spytałam.

— To dwunastoletnia dziewczynka — odparł doktor. — Która musi bez przerwy łykać pigułki i rozsądnie się odżywiać. To z pewnością irytujące. Szczególnie kiedy rówieśnicy mogą wcinać, co im się podoba. Ale kiedy powie, że jej niedobrze albo że kręci jej się w głowie... No cóż, nauczyła się, że to pewny sposób zwrócenia na siebie uwagi.

— To jak mamy poznać, czy udaje czy nie?

Doktor Wyatt pokręcił głową.

— Proszę się nadmiernie nie przejmować — powiedział. — To tylko kwestia przestrzegania rutyny. Jeśli od początku dopilnujecie państwo, żeby brała leki przy was, dacie jej zdrowy lunch do szkoły i dobrze zbilansowany wieczorny posiłek, to nie ma powodu, żeby pojawiły się jakieś problemy. A, i oczywiście wprowadźcie w temat szkołę. Przy odrobinie szczęścia wśród personelu będzie ktoś, kto miał już do czynienia z tą chorobą. Ale jeśli nie, w co wątpię, to po prostu będą musieli być czujni. — Jego ton brzmiał uspokajająco, ale ja nie czułam się uspokojona. Nie miałam pojęcia, że jej choroba do tego stopnia może być narzędziem manipulacji i jak uważnie będziemy musieli obserwować Sophię.

— A ten cały przełom naprawdę może być groźny dla życia? — spytałam.

Skinął głową.

— To się zdarza niezwykle rzadko — wyjaśnił — ale owszem, potencjalnie może być zabójczy. Sztuka polega na zapobieganiu temu stanowi, zanim w ogóle zacznie grozić. Zapobieganie zawsze jest lepsze niż leczenie.

Pomyślałam ponuro o umyśle przeciętnego nastolatka. Wiedza, że coś może być groźne, na dłuższą metę nigdy nie powstrzymała armii dzieciaków przed paleniem, narkotykami i upijaniem się w trupa. Za to zrobią wszystko, żeby ściągnąć na siebie uwagę. Doktor Wyatt jakby czytał mi w myślach.

— Problem z Sophią polega na tym — powiedział cicho — że ona nienawidzi swojej choroby i chce udowodnić, że to ona ją kontroluje, a nie na odwrót.

— A może po prostu jest manipulatką — zasugerował Mike — i lubi kontrolować wszystkich dookoła.

Doktor Wyatt znów kiwnął głową. Wyglądał na lekko zaskoczonego komentarzem Mike'a, ale miałam wrażenie, że go rozumie.

— To prawda, że niektórym młodym ludziom cierpiącym na przewlekłe choroby zdarza się manipulować otoczeniem — zgodził się. Spojrzał na zegarek. Minęło już sporo czasu, a na niego czekali kolejni pacjenci. — Ale obawiam się, że musimy polegać na tym, co mówi Sophia. Nie ma innego sposobu określenia jej samopoczucia — dokończył. — Koniecznie państwo zadzwońcie — polecił, wstając — w razie dalszych pytań albo jeśli będziecie potrzebować pomocy. Od tego jesteśmy...

W drodze powrotnej znów wszyscy byliśmy milczący, pogrążeni we własnych myślach. Ja pracowicie porządkowałam wszystko, co miałam w głowie. Te nowe wytyczne były skomplikowane. Oczywiście spodziewałam się, że każde dziecko będzie inne; przy pierwszym, Justinie, którego ogromne problemy psychologiczne manifestowały się między innymi dziwnym podejściem do jedzenia, musiałam umieścić menu na ścianie i uzupełniać je systematycznie, podając szczegółowe informacje na temat przyszłych posiłków. Nie tylko, co będziemy jeść, ale i kiedy, niemal co do minuty. Jeśli tego nie zrobiłam, Justin robił się bardzo niespokojny i trudny, szczególnie w pierwszych tygodniach pobytu u nas. Stan rzeczy uległ poprawie, ale nawet po paru miesiącach każde odstępstwo od rutyny powodowało spiecia. Szybko przekonałam się, że

spontaniczne decyzje o zamówieniu czegoś na wynos zamiast zaplanowanego obiadu nie wchodziły w grę.

Ale te nowe porządki to było zupełnie coś innego. To była medyczna, skomplikowana i bardzo stresująca sprawa. Musiałam obserwować codzienne łykanie pigułek, pilnować, czy Sophia ma zapas leków, regularnie zamawiać nowe recepty i zbierać je, i cały czas trzymać pod ręką dwa zestawy kryzysowe — jeden w domu, drugi w szkole. W sumie nie było tego wszystkiego wiele, ale nie o to chodziło; przytłaczał mnie ogrom odpowiedzialności. Naprawdę aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak poważna może być tego typu przewlekła choroba.

Westchnęłam ciężko. Do diabła z długoterminowym ryzykiem dla zdrowia — byłam zestresowana i bardzo potrzebowałam papierosa.

Odwróciłam się do Mike'a.

— Możemy się zatrzymać na następnej stacji? — spytałam. — Muszę kupić parę drobiazgów.

— I zapalić? — dorzucił z uśmiechem. — Oczywiście, że możemy, kochanie.

Zatrzymaliśmy się więc na następnej stacji — jakąś godzinę drogi od domu — i wysiedliśmy wszyscy. Po tak długim czasie w samochodzie dobrze było rozprostować nogi, ale Sophia, kiedy już to zrobiła, natychmiast wsiadła z powrotem.

— Ja chyba nie muszę tam wchodzić, co? — spytała. — Jestem zmęczona. To chyba przez to gorąco w samochodzie. No i stres podróży.

— To ty idź, kochanie — powiedział do mnie Mike. — Ja tu zostanę z Sophią. Kup swoje drobiazgi. Do zobaczenia za chwilę.

Kupiłam chleb i mleko, których potrzebowałam do domu, i przeszłam za róg budynku do strefy dla palaczy. Pomyślałam, że muszę porządnie przestudiować tę chorobę. Nie czułam się dobrze ze świadomością, że nie wiem wszystkiego, co można wiedzieć. Jeśli miałam dbać o Sophię jak należy, to musiałam umieć rozpoznać, kiedy mydli mi oczy.

Zgasiałam papierosa i wróciłam do samochodu; reszta jazdy minęła nam bez przygód. Sophia rzeczywiście zasnęła i nie obudziła się aż do końca podróży.

Na szczęście dla wszystkich zainteresowanych reszta dnia upłynęła całkiem miło. Kiedy zajechaliśmy na miejsce, Kieron był już w domu po zajęciach i ich pierwsze spotkanie było bardzo udane. Odniosłam wrażenie, że Sophia natychmiast go polubiła, i kolację zjedliśmy w równie swobodnej atmosferze, jak zawsze. Sophia była roześmiana, rozmowna i ogólnie bardzo miła.

Ale wciąż było to coś — to niejasne, niespokojne przeczucie, którego nie potrafiłam się pozbyć. Owszem, byłam dość poruszona rewelacją doktora, że Sophii zdarzało się udawać objawy, ale nie wstrząsnęło to mną aż tak. Przecież niemal cały zeszły rok miałam pod dachem o wiele bardziej wymagające i cierpiące dziecko. Miałam też lata doświadczenia w pracy z trudnymi dziećmi; delikatne wydobywanie z nich, co nimi kieruje, miałam niemal we krwi. Ale to dziecko było w jakiś sposób inne. Bardziej nieodgadnione. A ta jej kameleonowa zmienność autentycznie mnie przerażała.

Budząc się powoli i dziwnie spokojnie w czwartek rano, pomyślałam: oto kolejny dzień, kolejna szansa, by lepiej poznać Sophię, kolejna okazja, by choć trochę naprawić świat. Ale mój spokój nie trwał długo. Do licha, dodałam, widząc budzik przy łóżku. Dziewiąta, a ja dopiero się obudziłam!

Muszę się wziąć w garść, dumałam ponuro, odrzucając kołdrę i stwierdzając, że Mike znowu zapomniał włączyć ogrzewanie. Ale może to i dobrze, bo zimno szybciej wygoniło mnie z łóżka. O tej porze w przyszłym tygodniu będziemy już mieli nowy semestr szkolny. Musiałam się otrząsnąć z tego poświętecznego rozleniwienia, i to szybko.

Opatuliłam się szlafrokiem i popędziłam na dół, spodziewając się widoku mojej podopiecznej, znudzonej i samotnej w kuchni. Albo, co gorsza, czekającej, by łyknąć tabletki — miała to robić na moich oczach i wiedziała o tym — i lecącej na łeb, na szyję w otchłań choroby, kiedy ja smacznie sobie spałam.

Ale niepotrzebnie się niepokoiłam. Szybka inspekcja pomieszczeń potwierdziła, że nie ma jej na dole, a kolejna, na górze — bo przecież musiałam być teraz superczujna — że Sophia śpi w najlepsze.

Miałam więc chwilę na relaks w oranżerii, we własnym towarzystwie, z gazetą, papierosem czy dwoma i plikiem ulotek na temat choroby Addisona. Zatrzymawszy się w kuchni tylko po to, by pstryknąć włącznik ogrzewania i złapać kubek kawy, otworzyłam sobie tylne drzwi i wyszłam do oranżerii.

Ale nie posiedziałam tam nawet dwóch minut, kiedy na dół przytruchtał Bob, z kosmiczną prędkością wymachując ogonkiem, a zaraz za nim dały się słyszeć kroki, zapewne Kierona, jak zakładałam. Bob sypiał na jego łóżku, więc wszystko mi się zgadzało. Ale nagle ktoś się odezwał, i to nie był Kieron. To była Sophia.

— Rany, ale tu zimno — stwierdziła, całkiem trafnie. Ja też niezłe zmarzłam. Ostatecznie mieliśmy styczeń. I to była oranżeria.

— Zaraz będzie cieplej — pocieszyłam, odwracając się, by przywitać się z nią jak należy. — Właśnie włączyłam ogrzewanie, więc...

W tej chwili urwałam i zagapiłam się na nią, bo dosłownie zapomniałam języka w gębie. Zeszła na dół w czymś, co zwykle nazywa się „piżamką lalczki”. Ale ja nie ubrałabym w coś takiego nawet lalki, a co dopiero dziecka. Jej nocna koszula była nie dość, że bardzo krótka i zwiewna, uszyta ze szkarłatnego nylonu, to jeszcze bardzo, bardzo przezroczysta.

— Boże święty! — powiedziałam w końcu. — Nic dziwnego, że ci zimno w czymś takim! Nie masz niczego bardziej odpowiedniego?

— O co ci chodzi? — spytała niewinnie, spoglądając w dół, na powiewną szmatkę. — To nocna koszula. Wszystkie moje nocne koszule są takie.

— Więc trzeba będzie ci kupić nowe. Masz chociaż szlafrok?

Pokręciła głową.

— Nie noszę szlafroków. A poza tym co jest złego w mojej nocnej koszuli? Jean pozwala mi takie nosić.

Odłożyłam plik ulotek i wstałam, by wrócić do kuchni. Od samego patrzenia na nią robiło mi się zimno.

— Skarbie — rzekłam. — Pomijając już fakt, że się tutaj zaziębisz, to w domu Jean nie ma mężczyzn, prawda? A tutaj... — Natychmiast pomyślałam o tym, jak świetny kontakt złapała z Kieronem i jak on może zareagować na taki widok. Nie wiedziałby, gdzie podziać oczy. Spaliłby się ze wstydu. — Tutaj to po prostu nieodpowiednie, kochanie, okej? Chociaż muszę powiedzieć... — Nie mogłam się nie powstrzymać przed wyrażeniem na głos swojej opinii. Przecież to dziecko miało dwanaście lat. — Dziwi mnie, że Jean w ogóle pozwalała ci nosić taką nocną bieliznę, niezależnie od okoliczności.

Sophia odęła usta.

— Ale pozwalała.

Pomyślałam, że w tej chwili lepiej będzie sobie odpuścić. Temat Jean z pewnością był dla niej drażliwy.

— Zobaczymy, co znajdziemy na zakupach.

— Jedziemy na zakupy?

— Tak — odparłam, przechodząc do kuchni. — Jeszcze dzisiaj przed południem. Z moją córką Riley. I moim wnuczkiem, małym Levim. Zakochasz się w nim — zapewniłam ją. — Jest cudny.

— Dziecko? — Natychmiast się rozpromieniła. — Och, uwielbiam dzieci! Ile ma lat? Pogaduchy o dzieciach, pomyślałam. Nigdy nie zawodzą.

Wiedziałam, że skoro sama myśl o Levim przywołała na twarz Sophii taki uśmiech, to kiedy go zobaczy na własne oczy, będzie pisać z zachwytem.

Oczywiście nie jestem obiektywna, ale mój mały wnuczek był naprawdę uroczy. Urodził się zeszłego października i właśnie zaczynał rozpoznawać twarze, i zachwycał wszystkich

szerokim, bezzębnym uśmiechem. Był to lekki szok, że Riley tak szybko zaczęła powiększać rodzinę (dla niej samej, zdaje się, też), ale ona i jej partner David byli razem już od dwóch lat i stanowili naprawdę trwałą parę. Okazali się też cudownie wyluzowanymi rodzicami z wrodzonym talentem do tego zajęcia; Riley była po prostu stworzona na mamę.

A ja na babcię, chociaż Mike i ja potrzebowaliśmy trochę czasu, by przywyknąć do myśli, że zostaliśmy dziadkami w młodym wieku czterdziestu i czterdziestu jeden lat. Sami czuliśmy się jeszcze nowożeńcami!

Levi nie mógł się też pojawić w lepszym momencie — urodził się tuż przed naszym rozstaniem z Justinem, które było bardzo ciężkim przeżyciem, oględnie mówiąc.

Uśmiechając się, usmażyłam nam obu jajecznicę, a Sophia wzięła swoje tabletki. Rano miała do łyknięcia dwa różne leki, a potem, w ciągu dnia, jeszcze dwa razy musiała powtarzać dawkę jednego z nich. Uśmiechnęłam się do niej, patrząc, jak starannie zamyka buteleczki. Pomyślałam, że miło będzie mieć w rodzinie kolejne dziecko. Jakiegokolwiek trudy czekały mnie w najbliższej przyszłości, byłam pewna, że im podołam. Bo pod wszystkimi tymi dziwactwami widocznymi na zewnątrz kryło się po prostu dziecko, potrzebujące odrobiny stabilizacji i miłości.

— A Mike w drodze z pracy wpadnie do budowlanego i kupi parę haczyków — obiecałam, kiedy zabrała się do swoich jajek — żeby móc powiesić twoje obrazy.

Sophia lekko się skrzywiła.

— Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego Jean kupiła mi te wszystkie płótna — powiedziała. — Któregoś dnia na zakupach pokazałam jej jedno, które mi się podobało, a ona nagle zaczęła mi kupować całą kolekcję.

I ja, i Mike też zastanawialiśmy się nad tymi obrazami. Było dla nas trochę dziwne, że dwunastolatka ma własną kolekcję sztuki. I choć były to reprodukcje, a nie oryginały, była to kolekcja sztuki — co do tego nie było wątpliwości. Wszystkie obrazy były tego samego autora i z pewnością miały jakąś wartość artystyczną. Zastanawiałam się nawet, czy nie pochodzą z domu jej matki, ale okazało się, że nie. Sophia zobaczyła ten pierwszy, kiedy były na wycieczce w Londynie, i Jean natychmiast jej go kupiła.

— A resztę zamówiła wysyłkowo — wyjaśniła Sophia. — Zdaje się, że kobieta, która je namalowała, sama je nam wysłała.

— No cóż, to chyba miło ze strony Jean, że zrobiła to dla ciebie, prawda? — stwierdziłam.

— Pewnie tak — przyznała Sophia. — Ale z Jean łatwo szło. Mogłam od niej wyciągnąć praktycznie wszystko, co chciałam.

I znów jej słowa wprawiły mnie w osłupienie. Komentarz absolutnie nie na miejscu, szczególnie skierowany do dorosłej osoby! Wyobrażałam sobie, że dzieci na placu zabaw mogły mówić sobie takie rzeczy, ale tutaj? Mnie? Kolejnej opiekunce? Mimo wszystko się uśmiechnęłam.

— Tak? — powiedziałam. — Hm. Ze mną nie pójdzie ci tak łatwo. Niestety, ja za bardzo szanuję pieniądze!

To jej nie zbiło z tropu. Wręcz przeciwnie.

— Ach tak — mruknęła, przełykając ostatni kawałek tosta. — Tylko widzisz, tak się składa, że ja wiem, ile zasiłku dostają opiekunowie na dzieci, i to chyba normalne, że wydajecie je na nas, zgadza się?

Zdumiewające. Po prostu zdumiewające.

— Hm — powiedziałam znów. — Nie wiem, co słyszałaś, i szczerze mówiąc, jestem zdziwiona, że ktokolwiek w ogóle z tobą o tym rozmawiał, ale uwierz mi, zasiłek to nie jest kieszonkowe do wydania na wszelkie zachcianki dziecka. On jest po to, żeby o ciebie zadbać, Sophio. To pieniądze na twoje utrzymanie i na rzeczy takie jak spędzanie wolnego czasu poza domem. A skoro o tym mowa, to lepiej się zbierajmy. Riley będzie tu z Levim lada chwila.

Sophia wstała i zaniósła swój talerz do zlewu, zupełnie nieprzejęta moimi słowami.

— No już, pędź na górę i ubieraj się, okej? A, i nie zapomnij posłać łóżka! — zawołałam za nią.

Boże drogi, pomyślałam, zalewając gorącą wodą naczynia po śniadaniu. Ta dziewczyna naprawdę umiała pociągać za sznurki. Wyglądało na to, że owinęła sobie Jean wokół palca i

zupełnie się nie przejmowała, kto o tym wie. Mieszkanie z nami będzie dla niej ciężkim doświadczeniem życiowym, pomyślałam cierpko.

A jeszcze cięższym dla mnie, jak miało się okazać.

Rozdział 5

Lewi zaczynał poznawać ludzi wokół siebie i cudownie było zobaczyć szeroki uśmiech, jakim mnie obdarzył, kiedy rzuciłam się do wózka i wzięłam go na ręce. Wnuki powinny być refundowane w ramach publicznego ubezpieczenia.

— Jak tam mój mały mężczyzna? — spytałam go. — Taki sam śliczny jak zawsze? Chcesz kawy, skarbie? — To ostatnie pytanie było do Riley, oczywiście. — Sophia jest na górze i szykuje się do wyjścia, mamy jeszcze czas.

Riley skinęła głową, więc poszłam włączyć czajnik. Kiwnęła głową w stronę korytarza.

— I jak idzie? — szepnęła. — Jaka ona jest?

Odrobinę uniosłam brwi.

— Zobaczysz! — odszepnęłam.

Jak na zawołanie Sophia zbiegła po schodach, klapiąc kapciami, i weszła do kuchni, uśmiechnęta, ale dziwnie nieśmiała przy Riley, co było dla niej dość nietypowe (o ile mogłam stwierdzić po tych paru dniach znajomości). Interesujące. Riley ma bardzo wyrazistą osobowość, ale z pewnością nie należy do osób, które onieśmielają innych. Chyba że tego chce. Prawdę mówiąc, jeśli chodzi o naszą karierę opiekunów zastępczych, była wręcz darem niebios. Naprawdę obchodziło ją to, co robimy, i chciała pomagać, jak tylko mogła. Sama już mówiła o podjęciu się opieki zastępczej, kiedy tylko Levi podrośnie. Teraz uśmiechnęła się szeroko.

— Cześć. Więc ty jesteś Sophie — powiedziała wesoło. — Miło cię poznać!

— Sophia — poprawiła ją Sophia. — Mam na imię Sophia. Nie Sophie, okej? Tak dla jasności. — W jej oczach pojawił się nagły błysk gniewu.

Riley lekko skinęła głową, ale poza tym nie zareagowała. Choć wiedziałam, że i ona dostrzegła ten błysk.

— Oj, bardzo przepraszam — odparła uprzejmie. — Widocznie źle usłyszałam. A ten mały gość to mój Levi. Chcesz go potrzymać na rękach?

Gniew zniknął równie nagle, jak się pojawił. Sophia, zgodnie z tym, co mówiła wcześniej, chyba rzeczywiście lubiła dzieci. Wyciągnęła ręce, a gdy podałam jej Leviego, zaczęła nad nim gruchać:

— No proszę! Ależ jesteś słodki! Och, a jakie masz śliczne czarne loczki! — Spojrzała na Riley. — To na pewno po tobie i twojej mamie!

Była to prawda. Wszyscy troje mieliśmy gęste, krucze loki.

— Poczekaj, aż usłyszysz, jak wrzeszczy — roześmiała się Riley. — To też ma po mamie!

— Ej, no przestań! — skarciłam ją żartobliwie. — Ale bierzmy się do tej kawy. Czas leci i musimy się w końcu wybrać z domu.

— Casey — powiedziała Sophia — mogę odłożyć małego? Muszę się jeszcze przygotować.

— Ach tak — potwierdziłam. — Myślałam, że już jesteś gotowa.

— Ehm, nie całkiem — odparła, już w progu kuchni. — Muszę zrobić włosy.

— Jak dla mnie, była wystarczająco gotowa — powiedziała Riley, kiedy Sophia wbiegła już na górę.

— Jak dla mnie też — przyznałam zdziwiona. — Ale niech jej będzie.

— No więc, jak się sprawy mają? — spytała Riley. — Jak wam idzie? Wygląda na całkiem miłą.

— Bo jest. A przynajmniej chwilami. Ale pod tą powierzchnią kłębi się o wiele więcej, to oczywiste. Ostatnie dwa lata były dla niej dość ciężkie. — Opowiedziałam Riley o incydencie z nocną koszulą i o tym, co się stało w szpitalu. — Prawdę mówiąc, jeszcze jej nie rozgryzłam. Przeskakuje z nastroju w nastrój bez żadnego ostrzeżenia. Ale, jak mówię, kiedy się pomyśli o jej przeszłości... przecież nie może się obejść bez kłopotów, prawda? Ale ty chyba jej się spodobałaś.

Riley kiwnęła głową.

— A przynajmniej Levi. Ale... — Zniżyła głos. — Zauważyłam, że mi się przyglądała, kiedy myślała, że nie widzę. I to dość dziwnie. Tak jakoś taksująco.

— Wiem, co masz na myśli — przytaknęłam. — Ja też to wyczułam. Zupełnie jakby przez

większość czasu miała na twarzy maskę. I dopiero kiedy na chwilę zapomni się pilnować, dostrzegasz to, co się dzieje pod spodem. Na pewno zbudowała bardzo potężny mur, żeby się chronić... — Podałam Riley kawę. — Ale ja go sforsuję.

— No — zaczęła Riley — jeśli komukolwiek ma się to udać, to na pewno tobie, mammo!

— Naprawdę doceniam twoją wiarę we mnie — odparłam cierpko.

A skoro już mowa o maskach, Sophia wróciła po dobrych piętnastu minutach i na jej widok nam obu opadły szczęki. Zmieniła się przez ten czas nie do poznania. Zniknęły absolutnie odpowiednie na zakupy spodnie dresowe i bluza z kapturem, zniknęły też schludne, ładnie wyszczotkowane włosy. Z dresu przebrała się w obcisłe džinsy i ciasny, czarny top na ramiączkach, a włosy zakręciła w tak sztywne loki, że wyglądały jak druty. Ale najbardziej uderzająca była twarz. Sophia pokryła ją makijażem — dosłownie ją otynkowała. Ciemny podkład, ciemna szminka, gruba warstwa cienia do powiek i tuszu — wyglądała raczej jak osiemnastolatka wybierająca się do nocnego klubu, a nie dwunastolatka w drodze na zakupy.

Riley pierwsza odzyskała głos.

— Rany, wyglądasz bardzo efektownie! — stwierdziła dyplomatycznie. — Ale na dworze jest strasznie zimno. Zaziębisz się! Może jednak wróć na górę i włóż na to coś cieplejszego?

— Mam kurtkę — odparła Sophia. — Nic mi nie będzie.

— Skarbie, czy to nie za mocny makijaż? — dodałam łagodnie. — No wiesz, w nowej szkole nie pozwolą ci się malować tak mocno.

— Nie szkodzi — rzuciła wesoło. — Po prostu lubię czasem zadbać o wygląd. —

Odwróciła się do Riley i uśmiechnęła słodko. — Ty się nie malujesz, Riley?

Jeśli to miała być szpila, to była dość ostra. Ale Riley nawet nie drgnęła.

— W ciągu dnia niewiele — odrzekła łagodnie. — Maluję się na wyjścia, ale kiedy jest jasno, w ciągu dnia, wolę wyglądać naturalnie. Mogę ci pokazać parę sztuczek, jeśli będziesz chciała.

Kochana dziewczyna, pomyślałam. Robiła to samo, co ja. Starła się pamiętać, że to nie jest partnerka do dyskusji — to była tylko mała dziewczynka w ciężkiej sytuacji życiowej. A że miała własne zdanie na każdy temat, to już inna historia.

— Dzięki — odpowiedziała. — Ale mnie się podoba tak, jak jest.

Co słysząc, obie z Riley uznałyśmy, że najlepiej będzie uciąć wszelkie dalsze dyskusje na temat makijażu Sophii.

— Chodźcie — powiedziałam, niemal jednocześnie z Riley. — Ruszmy się na te nasze babskie zakupy.

Dwadzieścia minut później byliśmy już w mieście i zaatakowałyśmy sklepy. Każdemu patrzącemu z zewnątrz pewnie wydawałyśmy się zupełnie normalną rodziną. Ale ja nie mogłam się pozbyć tego uczucia, które prześladowało mnie od przybycia Sophii pod nasz dach: że ciągle muszę być czujna, że muszę się pilnować, cały czas mieć na nią oko. Nie chodziło mi o fizyczne zagrożenie — była za duża, żeby mi zwać i wpakować się w jakieś tarapaty — ale o nieokreślony niepokój, jakby była niewiadomą, którą bez przerwy trzeba kontrolować. To chyba przez jej uśmiech. Nigdy nie sięgał oczu. Jakby był namalowany, jakby dało się go zetrzeć w ułamku sekundy.

Ale wyznaczyłam sobie misję i zamierzałam ją wypełnić do końca.

— Co powiesz na tę? — zasugerowałam, kiedy byliśmy już w sklepie z bielizną do spania i pokazałam jej entą piżamę.

Sophia obojętnie wzruszyła ramionami.

— Może być.

Przygryzłam wargę. Wy tłumaczyłam sobie w duchu, że w sumie niewiele się różni od całego mnóstwa dziewcząt w jej wieku. W końcu sama wybrałam jej piżamę, a do tego polarowy szlafrok w komplecie z kapciami.

— Rozchmurz się — rzuciła Riley, kiedy wychodziłyśmy ze sklepu. — Dostałam taki sam szlafrok i kapcie od mamy pod choinkę i są naprawdę ciepłutkie...

— A, czyli Casey lubi przebierać młode dziewczyny za starszki, co?

Ten komentarz chyba nie był przeznaczony dla moich uszu, ale go usłyszałam. Riley naskoczyła na nią.

— Sophia! Mogłabyś okazać chociaż cień wdzięczności!

— A skoro nie chciałaś mi pomóc przy wybieraniu, czego się spodziewałaś? — dodałam spokojnie. — Poza tym, jak powiedziała Riley, odrobina wdzięczności naprawdę byłaby na miejscu.

Powtarzałam sobie, że ona właśnie tego potrzebuje, że trzeba trochę ukrócić to jej niegrzeczne zachowanie, jak to zawsze robiłam z własnymi dziećmi, kiedy nagle zorientowałam się, że Sophia lada moment wybuchnie płaczem. To było niewiarygodne. W jednej chwili beczelna, w następnej zdruzgotana. To dlatego wszyscy tak wokół niej tańczyli? Bo zdyscyplinowanie jej groziło wybuchem płaczu? Westchnęłam w duchu. Takie postępowanie nie mogło przynieść nic dobrego. Jeśli wszyscy się jej bali, jak ktokolwiek mógł jej pomóc?

Przestałam się dąsać i zagarnęłam ją w objęcia.

— Strasznie cię przepraszam, Casey — wyszlochała. — Nie chciałam być nieuprzejma. Dziękuję za pizamę.

— Już dobrze, skarbie — szepnęłam kojąco.

— Ale ja tak strasznie tęsknię za Jean. Tak mi ciężko...

— Wiem — powiedziałam. — Wiem. No dobrze. Pewnie potrzebujesz uzupełnić przybory toaletowe, co? Pójdziemy teraz na prawdziwe dziewczynskie zakupy?

Spojrzałam na Riley i zauważyłam jej sceptyczną minę. Ale dałam jej znak, że ma nic nie mówić, chociaż doskonale wiedziałam, co ma ochotę powiedzieć. To początki, pomyślałam. To dopiero początki.

Następna godzina minęła nam dość przyjemnie, ale już wkrótce miałyśmy ujrzeć kolejną przemianę.

— Co wy na to, żebyśmy zjadły lunch w tej nowej organicznej kafejce? — zasugerowałam. Sprawdziłam ją przed świętami i odniosłam wrażenie, że są wyjątkowo *baby-friendly*.

— Obiecałam Davidowi, że się z nim spotkam — zaczęła Riley. David prowadzi własną firmę, jest zawodowym sztukatorem, i tamtego dnia pracował akurat niedaleko. — Ale chyba mogę mu powiedzieć, żeby przyszedł tutaj do nas, prawda?

Sophia nadstawiła uszu.

— David? — spytała. — To twój chłopak? Jaki jest?

Bardzo w guście Sophii, jak się okazało; lunch błyskawicznie zamienił się w jakiś koszmar. O ile na widok swojego endokrynologa okazywała trochę przesadny entuzjazm, o tyle teraz była dosłownie urzeczona. Piła każde słowo Davida, co chwila rzucała grzywą włosów i chichotała radośnie w zasadzie ze wszystkiego, co powiedział. Gdyby to nie było takie żenujące, byłoby komiczne, kiedy tak siedziała z podbródkiem opartym na pięściach i wpatrywała się w niego z uwielbieniem.

Ale Riley nie była szczególnie ubawiona.

— Łokcie, Sophia — skarciła ją. — To jest restauracja. — Czym sprowokowała nie tylko piorunujące spojrzenie pod swoim adresem, ale też chichot przeznaczony dla Davida i spojrzenie w niebo.

— O rany! Zawsze jest taka marudna? — zamruczała Sophia.

Teraz już i ja zaczynałam się czuć nieswojo.

— Wiesz co — zasugerowałam Riley, ignorując komentarz Sophii — może ty odprowadź Davida, a my z Levim pójdziemy na targ? — Miałam parę rzeczy do kupienia, a Riley powinna nas znaleźć bez trudu. I może dzięki temu nie dostałaby wylewu ze złości.

Ale kiedy tylko zostałyśmy same z małym, Sophia zwróciła się do mnie, zupełnie nieświadoma niezręczności całej sytuacji.

— Och, Casey, on jest świetnie zbudowany — oznajmiła, a ja stanęłam jak wryta. — Mówiłaś, że ile ma lat?

— Nie mówiłam — wytknęłam jej. — Ale tak czy inaczej, o wiele za dużo dla ciebie, młoda damo. I jest zajęty — dodałam z naciskiem.

Sophia znów zachichotała, ale bez protestów popchnęła wózek z Levim, kiedy ruszyliśmy na targ. A po drodze gawędziła ze mną wesoło, choć w trakcie rozmowy wspomniała, że pchanie wózka to świetna sprawa, bo wtedy jest się „magnesem na facetów”.

Zbyłam tę uwagę śmiechem, ale martwiłam się już nie na żarty. Ściągała na siebie męską uwagę nie dlatego, że była młodą dziewczyną pchającą wózek. Ściągała ją sposobem, w jaki kręciła biodrami i wyginała ciało. Ta dziewczynka była rozbudzona seksualnie — i to w niepokojącym stopniu. Co zapaliło mi w mózgu czerwoną lampkę. Co takiego ją spotkało? O czym nie wiedzieliśmy?

Oczywiście powiedziano nam, że w jakimś momencie mamy się tego spodziewać, ale w piątek dostaliśmy list z opieki społecznej, że następna wizyta Sophii u mamy ma mieć miejsce już za tydzień, w niedzielę.

Moje rozmyślania na temat powodów takiego, a nie innego zachowania Sophii wobec mężczyzn zeszyły na dalszy plan w obliczu tego nowego zmartwienia. Nie wiedziałam dlaczego — miałam w życiu do czynienia z niejednym nieszczęściem — ale byłam pełna złych przeczuć. Ton listu też mnie raczej nie uspokajał; było jasne, że cała ta impreza będzie dla Sophii emocjonalnie wyczerpująca i będziemy musieli wyjątkowo czujnie pilnować, by brała leki, bo jej poziom stresu może być szczególnie wysoki. Ostrzegano nas, że być może będziemy musieli zwiększyć jej dawkę hydrokortyzonu, bo stres może uszczuplić jego rezerwy. Dano nam też do zrozumienia, że ta wizyta może być ciężkim widokiem i dla nas. Mówiąc krótko: mieliśmy się przygotować na najgorsze.

Do tego wszystkiego, moim zdaniem, był to fatalny moment. Powiedziano nam już wcześniej, że te wizyty nie były częste, więc po co wyznaczono jedną z nich właśnie teraz, kiedy w życiu Sophii panowało takie zamieszanie? Była u nas zaledwie od dwóch tygodni! Zebrałam resztę poczty i weszłam do kuchni. Słyszałam, że Sophia idzie na dół w towarzystwie Boba. Przynajmniej z naszym kundlem się zaprzyjaźniła. Co bardzo mnie cieszyło — zwierzaki potrafią genialnie koić skołatane dusze. I robią to w tak nieskomplikowany sposób. Dokładnie tego było jej trzeba.

— Wszystko w porządku, skarbie? — spytałam, kiedy oboje weszli do kuchni.

Stwierdziłam z przyjemnością, że Sophia ma na sobie nową piżamę i szlafrok.

— Tak, w porządku — odparła z uśmiechem. — I dzień taki ładny, prawda?

— Miło zobaczyć trochę słońca — zgodziłam się z nią. — Chociaż jest piekielnie zimno. Czekaaj, wypuszczę Boba i zaraz przygotuję ci jakieś śniadanie.

— Ja to zrobię — zaproponowała. — Do ogrodu przez oranżerię, tak? Mogę nawet postać i go popilnować.

— Nie zapomnij łyknąć tabletek.

— Nie zapomnę! — obiecała wesoło.

— To ja nam zrobię porządne angielskie śniadanie, co ty na to? Mam bekon, pieczarki, jajka...

— Super — powiedziała, wyjmując sobie leki z lodówki. — Ale dla mnie bez pieczarek, poproszę. Pieczarki są fuj!

Proszę, proszę, pomyślałam radośnie, kiedy wyszła za Bobem do oranżerii. Czyżbym wreszcie dostrzegła prawdziwą Sophię pod maską? Dziewczynkę, którą kiedyś musiała być?

I jeszcze będzie, dodałam w duchu z nadzieją, jeśli otrzyma właściwą pomoc i wsparcie. Biedne dziecko. Nikt z nas nie mógł wyprostować jej życia — przynajmniej jeśli chodziło o mamę. Ale mogliśmy przynajmniej postarać się, by to życie stało się znośniejsze, dać jej narzędzia, dzięki którym będzie łatwiej radziła sobie ze swoimi demonami. Myśl o jej matce przypominała mi, że będę musiała przekłuć ten balon radości. Ale jeszcze nie teraz. Postanowiłam, że wybiorę bardziej odpowiedni moment. Zrobię to później.

To „później” przyszło w porze lunchu, bo całe przedpołudnie upłynęło nam w tej samej radosnej atmosferze i uznałam, że Sophia jest w odpowiednim nastroju. Długo bawiła się z Bobem w ogrodzie, mimo piekielnego zimna. A kiedy już ogarnęłam dom, powiedziałam jej, że przygotowuję

na lunch coś, co szczególnie lubi. Wydawała się szczerze uradowana moją propozycją.

Która nie spadła tak z sufitu — nie jestem jasnowiedzką. Jako że nasze zadanie polegało na opiece nad trudnymi dziećmi, eliminowanie wszelkich zbędnych punktów zapalnych było szczególnie istotne. Różnorakie zaburzenia żywienia były dość powszechne wśród dzieci pod opieką instytucjonalną (w czym nie było nic dziwnego, biorąc pod uwagę ich niepewną sytuację życiową, a często konieczność rywalizowania ze starszymi i większymi dziećmi w domach dziecka). Najlepszym przykładem był nasz ostatni podopieczny, Justin, i jego przedziwny stosunek do jedzenia. Mając to wszystko na względzie, opracowaliśmy z Mikiem kwestionariusz, który dzieci mogły wypełnić przed wprowadzeniem się do nas i wymienić w nim wszystko, co dla nich istotne. Duża część dotyczyła ulubionych potraw, ale było tam też miejsce na ulubione kolory, programy telewizyjne, istotne dla nich hobby i tak dalej. To wszystko pomogło sprawić, że proces przenosin był odrobinę mniej stresujący. To stąd wiedziałam, że Sophia lubi tosty z serem i fasolką.

— Och, cudownie! — powiedziała na widok potrawy, kiedy dołączyła do mnie przy stole. — Zrobiłaś je dokładnie tak, jak lubię. Dzięki, Casey.

— Nie ma za co — odparłam. — Sama nie mogę się doczekać, żeby spróbować. Nigdy nie jadłam jednocześnie sera i fasolki na tostach.

— O, na pewno ci posmakuje — zapewniła mnie. — To jest boskie. Serio, boskie. Może to był odpowiedni moment.

— A tak przy okazji — rzuciłam lekkim tonem. — Dostałam dzisiaj list z opieki społecznej. Zaplanowali ci odwiedziny u mamy w niedzielę za tydzień.

Upłynęła pełna minuta, zanim Sophia odpowiedziała. Po prostu jadła dalej, mechanicznie pakując widelec do ust. W końcu uniosła głowę.

— I co?

— I nic — odrzekłam, zachowując ten sam lekki ton. — Po prostu pomyślałam, że ci powiem. Wszystko w porządku, skarbie?

— Tak, w porządku — odparła, odkładając nóż i widelec. — Ale właściwie nie jestem głodna. Mogę pójść na górę i dokończyć rozpakowywanie? Muszę jeszcze uporządkować parę rzeczy.

— Tak, tak, kochanie — powiedziałam szybko. — Oczywiście, że możesz. Przecież rano jadłyśmy potężne śniadanie. To pewnie nie był zbyt dobry pomysł, żeby... no wiesz...

Ale przestałam mówić, bo jej już nie było. Usiadłam, nie wiedząc, co myśleć. Poszło dobrze czy źle? Przynajmniej się nie wściekła, nie było po niej widać żadnych szczególnych emocji. A że przycichła i chciała pobyć sama — cóż, to było chyba normalne. Ostatecznie jak dziecko powinno sobie radzić z faktem, że jego mama praktycznie nie żyje, a jednak wciąż jest żywa, przykuta do szpitalnego łóżka? Najbliższą analogią, jaka przyszła mi do głowy, był ktoś bliski z chorobą Alzheimera — wciąż przy tobie, a jednak nieobecny. A w każdym razie niezdolny do komunikacji. Ale taki problem miewali raczej dorośli ze starymi rodzicami. A to było dziecko. Cóż za nietypowa, ponura sytuacja.

Wstałam i posprzątałam ze stołu. Postanowiłam, że przez chwilę zostawię ją z własnymi myślami. Wiedziała, gdzie mnie szukać, gdyby chciała o tym porozmawiać. Ale wątpiłam, by chciała — przecież знаła mnie ledwie od paru dni. Tymczasem poszłam zadzwonić do Johna Fulshawa, żeby był na bieżąco. Sophia siedziała u siebie — od czasu do czasu słyszałam trzaskanie zamykanych szuflad — w zasadzie przez całe popołudnie. Krzątając się na dole, pomyślałam, że muszę ostrzec Kieron i Mike'a, że może być trochę wytrącona z równowagi.

A do jakiego stopnia, mieliśmy się wkrótce przekonać. Upiekłam kawał szynki na podwieczorek i uprzedziłam chłopaków, że przy lunchu przekazałam Sophii nowinę i teraz może być trochę smutna i zgaszona. Ale kiedy z tupotem zbiegła na dół — z pewnością słysząc głos Kieron — była wesoła jak szczygieł.

— Cześć, Kieron — powiedziała, jakby byli starymi przyjaciółmi. — Fajnie było na uczelni? Ja od przyszłego tygodnia idę do szkoły. Rany. Ale może będziesz mi pomagać w lekcjach!

Mike posłał mi spojrzenie, jakby chciał spytać: „Zgaszona?”, a Kieron z emfazą pokręcił

głową.

— Wierz mi, nie chcesz, żebym ci pomagał — zapewnił. — Tylko ci namieszam w głowie. W szkole byłem do niczego.

— Żartowałam! — odpowiedziała. — Tak się składa, że jestem dość bystra. Mam to po matce! — I roześmiała się jak wariatka.

Zapadło niezręczne milczenie, zdziwione brwi powędrowały do góry, więc przekierowałam rozmowę na mniej ryzykowne tematy, krojąc mięso i nakładając porcje na talerze. Byłam dość zdenerwowana. To dziecko było naprawdę nieprzewidywalne.

A już z pewnością żadne z nas nie mogło przewidzieć tego, co się stanie za chwilę.

Rozdział 6

Z talerzami w garści przeszliśmy wszyscy do jadalni i usiedliśmy. Mike natychmiast podjął zadanie podtrzymania niezobowiązującej rozmowy tam, gdzie ja przerwałam w kuchni.

— Ta szynka jest pyszna, kochanie — powiedział. — Marynowałaś ją w miodzie?

— Tak — odparłam. — Natarłam ją, zanim...

— Ostrzegałam tę dziwkę.

Jak jeden mąż spojrzeliśmy na Sophię, bo to ona wypowiedziała ostatnie zdanie, i chyba żadne z nas nie było pewne, czy dobrze ją usłyszało. To naprawdę padło z jej ust? Chyba niemożliwe, co? Przecież jadła z uśmiechem podwieczerek.

— No więc, ehm, tak... — podjęłam urwany wątek, nie chcąc wierzyć własnym uszom. — Natarłam ją miodem przed włożeniem do piekarnika. Najpierw obgotowałam, a potem...

— Bardzo kocham mamusię, jest taka cudowna — westchnęła tym razem Sophia. A więc nie przesłyszałam się. Mówiła do siebie.

— To miło — stwierdziłam łagodnie. — Ona ciebie na pewno też kocha. — Mike i Kieron siedzieli ze spuszczoneymi głowami, aż nazbyt skwapliwie zostawiając mnie z tym samą. Sophia też jakby mnie nie dostrzegała.

— Ślicznie wygląda, dziwka — powiedziała. — Leży sobie wygodnie. Opatulona w łóżeczku.

I znowu to słowo. Dziwka. Pochyliłam się w jej stronę.

— Sophio, skarbie — zapytałam cicho. — O czym ty mówisz?

I znów jakby mnie nie usłyszała.

— Powinna była zdechnąć, pieprzona dziwka. Ale sama wybrała własny los. — Jej głos był hipnotyzujący. Cichy, równy i spokojny. Niemal śpiewny, jakby usypiała marudzące dziecko.

Mike odłożył sztućce.

— Sophia! — rzucił ostro. To jakby ją otrzeźwiło. Spojrzała na Mike'a ze zdziwioną miną. — Nie wiem, o czym mówisz — rzekł do niej stanowczo. — Ale w tym domu nie wyrażamy się w ten sposób, rozumiesz? Dość, okej? A teraz kończ podwieczerek.

Wrócił do jedzenia, ale Sophia wciąż patrzyła na niego osłupiała.

— Jak się nie wyrażamy? — spytała. — Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Kieron niemal dławił się już jedzeniem.

— No, przestań — krzyknął. — Jezu! Przecież dobrze wiesz, co powiedziałaś!

— W porządku, Kieron — wtrąciłam się. — Zostawmy to na razie, okej? Napracowałam się przy tym podwieczorku, a zaraz wszystko będzie zimne. — Posłałam mu spojrzenie mówiące „daj spokój” i na szczęście mnie usłuchał. W milczeniu skończyliśmy posiłek, mimo że straciliśmy cały apetyt. Tylko Sophia spałaszowała swoją porcję do końca.

Kiedy już wstała od stołu i poszła do siebie, my zebraliśmy się w kuchni, by obgadać ten incydent przy zmywaniu.

— Mamo, ona mnie przeraża — wyznał Kieron. — Autentycznie się jej boję.

Mike i ja wymieniliśmy spojrzenia. Dobrze rozumieliśmy, o czym mówi.

— I co teraz? — spytał Mike. — Z tą dziewczyną jest coś nie tak, a oni nie raczyli nam o tym powiedzieć.

— Napiszę mail do Johna — postanowiłam. — Opiszę mu to. I wszystko, co się działo. A kopię prześlę do jej opiekunki społecznej. I odnotuję to w dzienniku. Właściwie zabiorę się do tego od razu. — Prowadziłam szczegółowe, codzienne zapiski na temat dzieci przebywających pod naszą opieką. Już podczas szkolenia uświadomiono nam, jak ważne jest notowanie wszystkich wydarzeń. Te notatki stanowiły zbiór informacji, które mogły być wykorzystane w przyszłości. Wielka szkoda, że niektóre instytucje zajmujące się opieką nad dziećmi były mniej skrupulatne w takich kwestiach, pomyślałam kwaśno.

— Dobry plan — zgodził się Mike.

— I miejmy nadzieję, że ją przeniosą — dodał Kieron. — Bo jest dziwna. Normalnie spodziewałem się, że głowa jej się zacznie obracać! Gadała jak coś z *Egzorcysty*!

— Oj, przestań, Kieron — powiedziałam. — Nie było aż tak źle. Będziemy się martwić, jeśli zaczniesz wygłaszać kazania po łacinie i pluć zielonym śluzem! — Ta uwaga była nieprofesjonalna i nie na miejscu, ale te słowa po prostu same wyszły mi z ust. Oboje z Mikiem roześmialiśmy się, ale było to tylko rozładowanie napięcia, nic więcej, bo sytuacja naprawdę nie była śmieszna. Sądzę, że wszyscy byliśmy lekko wystraszeni. Wzięłam się w garść. — Kotku, to tylko dziecko. Dziecko z ogromnymi problemami emocjonalnymi. A problemy emocjonalne mogą się przejawiać na różne sposoby.

— Wiem — odparł Kieron. — Ale ona i tak mnie przeraża. Tato, możesz mi założyć zamek w drzwiach?

— Nie martw się, synu — uspokoił go Mike. — Jakoś to wszystko rozwiążemy. Jak powiedziała mama, to tylko dziecko. Nie ma się kogo bać. Okej?

— No właśnie — przytaknęłam mu. — Nie dramatyzujmy, okej?

Ale mimo wszystko byłam w kropce. Byłam pewna prawie na sto procent, że Sophia nie była świadoma, że wypowiadała te słowa na głos. A jeśli tak... to przecież ktoś z opieki społecznej musiał wiedzieć coś więcej, niż nam powiedziano. Owszem, ulotki o jej chorobie wspominały o objawie „splątania”, ale mimo wszystko to się jakoś nie trzymało kupy. Tego wieczoru poszłam do łóżka pogrążona w myślach, zdeterminowana, że dowiem się, co jest grane. I wyglądało na to, że nie ja jedna gryzłam się tym w nieskończoność. Po godzinie wściekłego wiercenia się i kręcenia Mike wreszcie trącił mnie łokciem.

— Śpisz, kochanie? — spytał.

Skrzywiłam się.

— A jak myślisz?

Odwrociłam się i zobaczyłam, że gapi się w sufit.

— Wiesz co, kochanie — powiedział. — Mam wrażenie, że ta mała bardzo wstrząsnęła Kieronem. Wiem, że obróciliśmy to wszystko w żart, ale widziałas go, kiedy oglądaliśmy telewizję? — Mike przekręcił się, by na mnie spojrzeć. — Znowu obgryzał skórki na palcach.

Zauważyłam, chociaż nic nie powiedziałam. Mike miał rację. To był znak. Kieron nie cierpiał zmian i trudno było mu znosić wszelkie stresy i zamieszanie. Ze swoim aspergerem potrafił się zdenerwować i zrobić niespokojny, nawet kiedy ktoś ruszył jeden z jego starannie skatalogowanych filmów na DVD. My wszyscy oczywiście wiedzieliśmy o tym, bo był taki całe życie, więc po prostu nauczyliśmy się z tym funkcjonować. Kieron nie był chłopcem, któremu można było urządzić przyjęcie niespodziankę. Potrzebował rutyny i porządku, i absolutnie żadnych niespodzianek. Świetnie przystosował się do obecności Justina i nawet się z nim zżył, ale z Sophią była zupełnie inna sprawa. A obgryzanie skórek na palcach było wyraźnym znakiem, że jej obecność stresowała go o wiele bardziej, niż to okazywał.

Nie niepokoiło mnie samo obgryzanie — nasz lekarz powiedział nam, że to dość powszechna sprawa przy zespole Aspergera — ale oczywiście martwiłam się o samopoczucie swojego syna. Nie mogliśmy na dłuższą metę zajmować się opieką zastępczą, jeśli miałoby to mieć negatywny wpływ na nasze dzieci.

— Wiem — odpowiedziałam Mike'owi. — Zauważyłam to. Miejmy nadzieję, że Sophia uspokoi się trochę po odwiedzinach u mamy. Może to ta perspektywa, może to sprowokowało u niej jakąś dziwną reakcję... Musimy po prostu trzymać kciuki. Ale od rana zaczynam się bawić w Sherlocka Holmesa. I jeśli dowiem się, że coś przed nami ukrywają...

— Chyba masz na myśli poniedziałek — rzekł Mike. — Musimy przetrwać jeszcze cały cholerny weekend...

Ale, ku naszej wielkiej uldze, sobota zaczęła się dobrze i płynęła sobie całkiem miło, bez żadnych incydentów. Prawdę mówiąc, lepiej niż miło, bo wpadła do nas Riley i bardzo się starała poznać Sophię lepiej; raczyła ją opowieściami o nowej szkole (bo i ona, i Kieron chodzili do niej) i zdała jej skrócony raport na temat najfajniejszych i najgorszych nauczycieli. Kieron już wcześniej zadzwonił do siostry i powiedział jej o mamrotaniu przy podwieczorku, więc Riley wiedziała, jakich tematów unikać.

Po lekkim lunchu we trzy pojechaliśmy do miasta; znów padał śnieg, więc Leviego

zostawiłyśmy pod opieką chłopaków. W sobotnie popołudnia Kieron grał zwykle w piłkę, a Mike mu kibicował, ale że mecz został odwołany ze względu na pogodę, zadowolili się oglądaniem meczu w telewizji — Mike stwierdził, że musi jak najwcześniej wprowadzić wnuka w piłkarski świat.

Ale chyba powinnam była zdawać sobie sprawę, że ten spokój i porządek nie potrważą długo. Sophia była u nas już od czterech dni — choć mieliśmy wrażenie, że o wiele dłużej — i każdy z tych dni wiązał się z jakimś małym dramatem.

Kiedy wróciłyśmy, obładowane torbami z mundurkiem i szkolnymi przyborami Sophii, okazało się, że futbolowe plany chłopaków wcinają się również w mój wieczór. Po obiedzie (przygotowałam porządny gulasz z kluskami, który został pożarty w jednej chwili) Kieron wyjaśnił mi, że koniecznie, ale to koniecznie muszą obejrzeć skrót meczu Liverpoolu, jako że wcześniej nie mogli oglądać dwóch meczów jednocześnie.

— A jeśli ja chciałam coś oglądać? — wytknęłam mu. — Zdaje się, że to ja byłam poza domem całe popołudnie, nie wspominając już o ugotowaniu wam tego wykwintnego obiadu...

Mike się roześmiał.

— Mówiłem mu to, kochanie, naprawdę. I oczywiście pilot należy się tobie. A obiad był niesamowity. Najlepszy gulasz świata. — Puścił oczko do Kierona.

— Oj, no dobra — odpowiedziałam. — Widzę, że macie przewagę liczebną. Zresztą mam wielką stertę prasowania. No, chyba że... Sophia, ty chciałaś może coś oglądać? Bo jeśli tak, to mamy pata. — Wyszczrzyłam się do Mike'a.

Sophia pokręciła głową. Właśnie skończyła wycierać talerz do czysta ostatnią kromką chleba. Pomyślałam, że cokolwiek by się działo, będę w stanie przynajmniej dobrze ją karmić.

— Nie, spoko — odparła wesoło. — Muszę uporządkować swoje nowe szkolne rzeczy. A potem i tak chciałam pooglądać film na DVD. Co nie znaczy oczywiście, że nie lubię piłki nożnej — dodała, spoglądając zalotnie na Kierona. — Ci wszyscy mężczyźni biegający w spodenkach, no wiecie.

Pokręciłam głową z dezaprobatą, zabierając się do sprzątnięcia ze stołu.

— Jesteś o wiele za młoda, żeby myśleć o mężczyznach w spodenkach, moja panno! A teraz pomóż mi z tymi naczyniami, zanim znikniesz u siebie.

— My się tym zajmiemy, mam — zaofiarował się Kieron. — Przecież ty gotowałaś...

Ale odmówiłam. Już dawno przekonałam się, że dziecko najlepiej i w najbardziej naturalny sposób poznaje się przy tych drobnych okazjach, kiedy zasadniczo robi się coś innego. Obie z Sophią przeszłyśmy do kuchni.

— Jesteś podobna do mamy? — spytałam ją, kiedy zabrałyśmy się już do zmywania. Opowiadała o programach, które oglądały z matką w telewizji, kiedy była młodsza, więc uznałam to za dobrą sposobność, by trochę pociągnąć temat.

— Chyba tak — odparła, wzruszając ramionami. — Trochę. Obie mamy jasne włosy i niebieskie oczy, ale ja jestem wyższa. Ludzie często brali nas za siostry.

Podaliśmy jej talerz do wytarcia.

— Twojej mamie pewnie się to bardzo podobało — powiedziałam. — Ja zawsze jestem zachwycona, kiedy ludzie biorą mnie i Riley za siostry.

— Tyle że ja jestem ładniejsza od niej. I chyba jednak nie jesteśmy zbyt podobne. — Przez chwilę wycierała talerz. — Ale ona i tak miała więcej chłopaków ode mnie.

Wmurowało mnie w ziemię. Cóż za dziwaczna uwaga w ustach dwunastolatki.

— Ależ ty jesteś bardzo młoda, kochanie — stwierdziłam. — To trochę za wcześnie na chłopaków, nie sądzisz? Będziesz miała na nich mnóstwo czasu, kiedy dorośniesz.

Odwróciła się i spojrzała na mnie ze śmiertelnie poważną miną.

— Przecież jestem dorosła. Mam piersi i wszystko, nie? — Temu z pewnością nie mogłam zaprzeczyć. Była wyjątkowo dobrze rozwinięta jak na swój wiek. Przynajmniej fizycznie. Uśmiechnęłam się do niej.

— Rzecz w tym, skarbie, że nie chodzi tylko o rozwój ciała — wyjaśniłam łagodnie. — To, że rozwijasz się fizycznie, nie oznacza jeszcze, że twój umysł i emocje dotrzymują kroku ciału.

Czasami to trudne, kiedy wygląda się na więcej lat, niż się ma — zauważyłam, że ta uwaga sprawiła jej przyjemność — bo ludzie spodziewają się, że będziesz dojrzała, niż możesz być... i niż powinnaś być. Jak mówię, na chłopaków będziesz miała mnóstwo czasu za parę lat.

Ale choć pobiegła do swojego pokoju z uśmiechem, z pozoru usatysfakcjonowana moimi wyjaśnieniami, mnie zaczął dręczyć niepokój. Była dzieckiem w ciele kobiety. Biorąc pod uwagę jej sytuację życiową, chorobę, tragiczny status sieroty, no cóż, była podatna na wszelkiego rodzaju zagrożenia. A jej prowokacyjne zachowanie wobec mężczyzn było bardzo alarmujące. W jaki sposób stała się taka w tak młodym wieku?

Od zawsze nienawidziłam prasowania. W przeciwieństwie do wszystkich innych domowych obowiązków (a balansuję na granicy obsesyjnej pedanterii) prasowanie zwykle odsuwałam w czasie. Nim się do niego zabrałam, sterta ciuchów zwykle była już istną piramidą, i dzisiejszy wieczór nie był wyjątkiem. Mimo to prasowanie — kiedy już się do niego wzięłam — dawało mi trochę prywatnego czasu na rozmyślanie. Robiłam to w oranżerii, zagubiona we własnym małym świecie, słuchając swojej ulubionej stacji radiowej ze starymi przebojami, pocieszając się faktem, że mogę sobie przynajmniej zrobić przerwę na ukradkową fajkę i nikt z rodziny nie będzie mi truł. A truli, niemal bez przerwy, wpytując, kiedy wreszcie rzucę palenie. Mike rzucił dwa lata wcześniej i był teraz jednym z tych neofickich eks-palaczy. Szczerze mówiąc, ja też byłam, przez jakiś czas. Ale zawsze jakoś trafiała się stresowa sytuacja, która zaprzętała mi głowę, i wracałam do punktu wyjścia. Paliałam dalej. Wiedziałam, że muszę rzucić. Ale jeszcze nie teraz. Nie w tej chwili, kiedy miałam tyle na głowie.

Właśnie dopaliłam papierosa i wróciłam do mniej więcej szóstej koszuli Mike'a, kiedy Kieron wetknął głowę za drzwi. Prasowałam już od godziny i straciłam poczucie czasu.

— Cześć. Wszystko dobrze, skarbie? — spytałam go.

— Niezupełnie — odparł. — Chyba musisz przyjść i coś zrobić z Sophią. Tato za chwilę dostanie szału.

Odstawiłam żelazko.

— Dlaczego? O czym ty mówisz? Gdzie ona jest?

— W salonie, ubrana jak dziwka, mamo, serio. I dosłownie klei się do taty. Totalna zenada!

Wysłałam zza deski do prasowania i potruchtalam za Kieronem do domu. Usłyszałam głos Mike'a, jeszcze zanim dotarliśmy na miejsce.

— Posłuchaj, już ci powiedziałem i nie będę powtarzał. Wracaj na swoje miejsce. Chcę siedzieć sam. A po drodze — w tej chwili oboje weszliśmy już do pokoju — może skocz do siebie, zdejmij te idiotyczne ciuchy i ubierz się w tę piżamę, którą kupiła ci Casey!

Gapiałam się na nich z otwartymi ustami, bo nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Sophia właśnie wstawiała — na mój widok — ale jeszcze przed momentem siedziała na poręczy kanapy, tuż przy Mike'u, znów z zakręconymi włosami i twarzą oblepioną makijażem: mocno czerwona szminka, niebieski cień do powiek, tusz do rzęs. Ale najbardziej przyciągało wzrok to, co miała na sobie. Krótka, półprzejrzysta i zwiewna, czerwono-czarna nocna koszulka, wykończona czerwoną satyną, a na to czerwony satynowy szlafrok, oczywiście niezawiązany. Kieron nie przesadzał. Naprawdę wyglądała jak dziwka.

— Mogę wiedzieć, co ty sobie wyobrażasz, młoda damo? — spytałam ją.

— Boże! — prychnęła. — Wszyscy jesteście tacy sztywni. Ja się tylko wygłupiałam... — Spojrzała na Kierona. — Och, żałuj, że nie widzisz swojej miny! Ja się tylko wygłupiam — powtórzyła słodko.

— Ruchy, Sophio — warknął Mike. — Słyszałaś Casey. Już! Do siebie! I nie pokazuj się, dopóki nie włożysz czegoś, co się nadaje do oglądania.

— Jezu! — powiedziała, nim wściekłym krokiem wyszła z pokoju. — Co was wszystkich ugryzło?

Od dawna nie widziałam tak wzburzonego Mike'a. Chodził po pokoju, przeczesywał włosy palcami. Ta scena najwyraźniej bardzo go poruszyła, a ja nie wiedziałam, co powiedzieć.

— Będziesz musiała coś z tym zrobić, Case — rzucił cicho.

— To wariatka, mamó — rzucił Kieron, siadając na kanapie. On też był wytrącony z równowagi. — Autentycznie, wariatka. Kto robi takie rzeczy?

— A właściwie co? — spytałam. — Co robiła?

— Przystawiała się do taty — odparł Kieron. — I to na całego.

— Do cholery, próbowała mnie nawet połaskotać pod brodą! — dodał Mike. — Naprawdę musimy z tym coś zrobić — dodał. — I to szybko. To jest potencjalnie niebezpieczna sytuacja. Musimy się przed tym zabezpieczyć.

Oczywiście miał rację. Omawialiśmy takie rzeczy na szkoleniu. Dzieci z problemami mogły przejawiać różne nieodpowiednie zachowania, w tym również seksualne. I było to potencjalne pole minowe dla opiekunów, bo takie dzieci potrafiły też wysuwać najróżniejsze oskarżenia. Mike miał rację. Musieliśmy to zdusić w zarodku. Ale kiedy docierała do nas cała powaga sytuacji, niemal przestraszył nas nagły wybuch śmiechu Kierona.

— Przepraszam, mamó — powiedział, nie mogąc powstrzymać chichotu; szczerze mówiąc, wyglądał, jakby miał się zmoczyć w majtki, gdyby śmiał się dalej. — Ale to było przezabawne! Żałuj, że nie widziałas taty, był czerwony jak burak! Myślałem, że lada chwila wybuchnie płaczem!

— To nie jest śmieszne, Kieron! — warknął Mike, ale nagle sztywne maska zsunęła mu się z twarzy i on też zaczął się histerycznie śmiać. Co sprowokowało i mnie. Zwyczajnie nie mogłam się nie przyłączyć. Ale choć się śmiałam, nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. To nie było zabawne. Więc dlaczego wszyscy byliśmy w takiej hysterii? Czy ta dziewczyna doprowadzi nas wszystkich do obłędu?

W końcu się opanowaliśmy, a Sophia, na całe szczęście, więcej się nie pokazała. Kiedy poszłam na górę, żeby do niej zajrzeć i spytać, czy wzięła leki, znów była potulna i dziecinna.

Mimo to wiedziałam, że rano trzeba będzie usiąść i wyraźnie ustalić podstawowe zasady; postanowiłam też, że kiedy Sophia będzie w szkole, wejdę do pokoju i skonfiskuję jej wszystkie sztuki nieodpowiedniej nocnej bielizny. Dostanie je z powrotem, kiedy wróci do Jean, i ani chwili wcześniej.

Co kazało mi pomyśleć o załamaniu nerwowym Jean. Czyżby elementy układanki wskakiwały na miejsca?

Tak czy inaczej, nie mogłam się doczekać poniedziałku.

Rozdział 7

Obudziłam się w niedzielę z dość niezwykłą myślą. Otóż żałowałam, że nie jest poniedziałek. Gdyby był poniedziałek, mogłabym zejść na dół i zadzwonić do biura Johna Fulshawa. Być może uzyskałabym jakieś wskazówki — nie wspominając już o informacjach — w które mogłabym się uzbroić, zanim stawię czoła Sophii. A tak będę musiała po prostu wstać i wziąć wszystko na klatę, choć tak naprawdę miałam ochotę naciągnąć kołdrę na głowę i zahibernować się na resztę zimy.

Jednak wstałam — bo przecież dzień nie przeżyje się sam — uważając, by nie obudzić Mike'a, który potrzebował się dopiecuszyć. Rzadko zdarzało mu się dłużej pospać, nawet w weekendy; wiecznie ktoś potrzebował go w magazynie, zawsze znalazło się coś, czym trzeba było się zająć. Więc niech stary niedźwiedź sobie pośpi na zdrowie.

Ale kiedy wyszłam na korytarz, przywitały mnie szum prysznic i wesołe śpiewanie Sophii. Pokręciłam głową i zesłam na dół, żeby zaparzyć sobie kawy. To było tak, jakby dziewczyna potrafiła pstryknąć jakimś przełącznikiem i zapomnieć o wszystkim, co działo się wcześniej. Próbowałam wyobrazić sobie siebie w jej skórze — po wszystkim tym, co przeszła, rzuconą przez życie do obcego domu, obcych ludzi, ze świadomością, że najprawdopodobniej czeka ją kolejny psikus losu... a jednak nic nie było w stanie jej zdeprymować.

Mechanizm obronny? Ale może właśnie dobrze by jej zrobiło, gdyby była mniej pewna siebie. Nie poradzi sobie w świecie, dopóki się nie nauczy, że pewne zachowania są nie do przyjęcia, a w szczególności zachowania seksualne. Podrywanie dorosłych mężczyzn było zwyczajnie niebezpieczne. Mogła się wpakować w najróżniejsze groźne sytuacje. Jeśli kiedykolwiek jakieś dziecko potrzebowało przewodnika, to właśnie ona, a miałam wrażenie, że jak do tej pory nikt nie podjął się tego zadania.

Więc niech to będę ja, dumałam, zabierając sobie kawę i papierosy do oranżerii, żeby spokojnie pomyśleć.

Kiedy wróciłam kilka minut później, Sophia była już w kuchni, ubrana, i zaglądała do szafki z płatkami.

— Dzień dobry, Casey! — rzuciła wesoło, z prostolinijnym uśmiechem.

— Dzień dobry — odparłam. — Cieszę się, że tak wcześnie wstałaś, bo musimy sobie porozmawiać, skarbie, prawda?

Skrzywiła się i przewróciła oczami.

— Słuchaj — powiedziała, biorąc pudełko z płatkami, miskę i łyżkę. — Jeśli chodzi o wczorajszy wieczór, to przepraszam, okej? Chciałam się tylko trochę zabawić. Zwyczajnie się nudzę, i tyle.

Siadłam z nią przy kuchennym stole.

— Skarbie, to nie jest okej. I takie zachowanie w obecności dorosłych mężczyzn nigdy nie będzie okej. I sądzę, że ty o tym dobrze wiesz, zgadza się?

— No dobra — powiedziała. — Już mówiłam, że przepraszam. I obiecuję, że więcej tego nie zrobię, jeśli ciebie to denerwuje.

Lekko mnie zatkało. Nie tyle same słowa, co subtelny, ale wyraźny nacisk na słowo „ciebie”.

— Sophio — powiedziałam — nie zdenerwowałaś mnie. Zdenerwowałaś ich. Ubrałaś się tak, że wyglądałaś głupio, a twoje zachowanie sprawiło, że przebywanie z tobą w jednym pomieszczeniu było żenujące. Przecież chyba nie chcesz, żeby Mike i Kieron czuli się źle w twoim towarzystwie?

Zaczerwieniła się mocno pod opalenizną, przez co natychmiast zaczęła przypominać dwunastoletnią dziewczynkę. Pokręciła głową.

— No nie — odparła bardziej potulnym głosem. — Nie chcę. Możesz im obu powiedzieć, że bardzo, bardzo ich przepraszam?

Obiecałam, że to zrobię i że więcej nie będziemy wracać do tej sprawy. Powiedziałam też sobie w duchu, że ta dziewczyna właśnie tego potrzebuje — trzeba wywabić na świat i na nowo

obudzić dziecko, które w niej mieszka. Przedwczesne rozbudzenie seksualne i skłonność do manipulacji szły ze sobą w parze. Musieliśmy odzyskać resztę jej dzieciństwa, wyznaczając jej bezpieczne granice.

I chyba trafiłam, bo reszta dnia upłynęła tak dobrze, że w poniedziałek rano byłam już pewna, że uda nam się poczynić postępy.

Tego ranka miałam zawieźć ją do szkoły, ale zgodziłam się, by począwszy od wtorku, chodziła sama, razem z grupami innych dzieci, które miały nasz dom w drodze na lekcje — mieszkaliśmy przy jednej z głównych tras prowadzących do szkoły. I ucieszyłam się w duchu, że Sophia była chętna to robić. Wyobrażałam sobie, że przez parę dni, jeśli nie dłużej, nie będzie wystarczająco pewna siebie, by zdobyć się na taką samodzielność. Cieszyło mnie też, że tak odpowiedzialnie podchodziła do swoich lekarstw. Łyknęła poranne pigułki przy śniadaniu, starannie spakowała zapas na cały dzień do specjalnej saszetki i schowała do plecaka. Zestaw do zastrzyku w razie zapaści miałam zawieźć do szkoły osobiście.

— Proszę, kochanie — powiedziałam, podając jej spakowany lunch, który dla niej przygotowałam. — W osobnym woreczku masz trochę solonych orzeszków, na wypadek gdybyś się zmęczyła czy miała wuef.

— Dzięki — odparła. — Ale chyba nie wejdiesz ze mną do środka, co? Nie chcę, żeby wszyscy pomyśleli, że jestem dzieckiem.

— Nie, ależ skąd — zapewniłam ją. Biedna mała. Kolejna zmiana szkoły musiała być dla niej trudna. — Zaprowadzę cię tylko do sekretariatu, żeby przedstawić pani Summers, a potem przyrzekam, że zostawię cię samą.

Zresztą nie musiałam siedzieć w szkole zbyt długo. Już wcześniej ucięłam sobie długą pogawędkę telefoniczną z Rachel Summers, wychowawczynią klasy Sophii, i omówiłam z nią wszystko, co szkoła musiała wiedzieć w związku z chorobą Addisona. Nigdy się z nią nie zetknęli, ale wiedziałam, że mogę zaufać personelowi, że dobrze się zaopiekuje Sophią. Nie tylko sprostali wyzwaniu, jakim był Justin, ale też znali mnie osobiście — a w każdym razie wielu z nich — bo zanim zajęłam się opieką zastępczą, pracowałam z nimi kilka ładnych lat. Prowadziłam „oddział” — bo tak nieformalnie nazywała się moja wychowawcza klasa, do której chodzili najtrudniejsi i najbardziej wymagający uczniowie; starałam się docierać do źródła ich problemów wychowawczych i wyprowadzać ich na prostą, by jak najlepiej skorzystali ze swojej edukacji. Na przestrzeni lat miałam pod skrzydłami najróżniejsze przypadki, od zastraszonego chłopca po chuliganów. Wszystkie dzieci, które z jakichś powodów — a zwykle powodem tym były kłopoty domowe — nie potrafiły sobie znaleźć miejsca w świecie. To właśnie ta posada ostatecznie doprowadziła mnie do podjęcia się opieki zastępczej, kiedy zdałam sobie sprawę, że choć kocham pracę w szkole, mogłabym zrobić o wiele więcej w sytuacji jeden na jeden, zajmując się tylko jednym dzieckiem naraz.

Piętnaście minut później podrzuciłam Sophię do szkoły bez żadnych niespodzianek i postanowiłam, że — skoro trafił mi się luksus wolnego dnia — wpadnę do Riley i zobaczę, co u niej słychać. Po kilku ostatnich dniach, tak pełnych wydarzeń, miło będzie porobić coś normalnego, choćby to było wybranie się z córką na zakupy.

I miło będzie dorwać w ręce małego Leviego.

— Wcześniej jak na ciebie, mamó — stwierdziła Riley, sięgając po czajnik, kiedy ja sięgnęłam po wnuka.

— Właśnie odwoziłam Sophię do szkoły, więc pomyślałam, że skorzystam z okazji i zobaczę, jak się miewa moje maleństwo.

— Oj, nie takie znów maleństwo, z tymi oponkami po ciąży — zażartowała. — Ale ciągle jestem twoją małą córeczką, jeśli cię to uszczęśliwia. — Dowcipnisia z tej mojej córki.

Ostatecznie nie pojechałyśmy do miasta, bo Riley uznała, że jest za zimno, więc, jak to się często zdarzało, spędziłam całe przedpołudnie, pomagając jej w praniu, prasowaniu i porządnym sprzątnięciu sypialni i łazienki. Oczywiście nie miałam nic przeciwko temu, zawsze lubiłam pucować i polerować, a tym razem miałam jeszcze bonus w postaci czasu spędzonego z Riley i Levim. Wszystko pięknie, ale tak czy siak, zanim zeszłam na dół, nastąpiła pora lunchu.

Riley robiła sandwicze z tuńczykiem i kawę.

— Mamo — powiedziała, kiedy weszłam do kuchni. — Twój nowy telefon ma ustawiony jakiś alarm czy przypominacz, czy coś? — Wyszczrzyłam się w uśmiechu, słysząc to. Mój „nowy telefon” miał już dwa miesiące, ale ciągle nie miałam jasnego pojęcia, co robią wszystkie przyciski. Stąd docinki rodziny. — Bo ciągle słyszę jakieś pikanie, mniej więcej co pięć minut, i właśnie mi przyszło do głowy, że to może być twoja komórka. To możliwe? Bo jak nie ona, to już nie wiem.

Sięgnęłam po torebkę.

— Owszem, możliwe. Rzeczywiście to robi. Strasznie wkurzająca sprawa. I nie udało mi się wykombinować, jak to wyłączyć. Powinnam poprosić Kierona... — Wyłowiłam telefon z torebki i natychmiast zorientowałam się, w czym problem. To nie był alarm. To było powiadomienie o nieodebranych połączeniach. — O Boże — jęknęłam. — To ze szkoły. I... Jezu, dzwoniли ponad godzinę temu. Mam nadzieję, że nie stało się nic złego.

Riley pokręciła głową, krojąc sandwicze.

— O rety — rzekła. — Jeśli ona już pakuje się w kłopoty, to będziesz z nią miała krzyż pański!

Obie jednocześnie spochmurniałyśmy na wspomnienie Justina. Rzadko kiedy zdarzał się tydzień, żeby nie dzwonił do mnie ze szkoły w sprawie jakiegoś wykroczenia. I niektóre były bardzo poważne. Ale teraz pokręciłam głową.

— Nie to miałam na myśli. Myślałam raczej o jej chorobie.

— Och, no tak.

Wcisnęłam guzik „Oddzwon”.

Z drugiej strony odebrano natychmiast i kiedy wyjaśniłam, kim jestem, zostałam przełączona prosto do Alana Barkera, nauczyciela przełożonego rocznika Sophii.

— Bardzo przepraszam — powiedziałam — nie miałam telefonu przy sobie. Co się stało?

— Nic strasznego — odparł. — Proszę się zaniechać. Tylko wydaje mi się, że Sophia trochę się przeforsowała rano na przerwie. Narzekła, że jej słabo, i szczerze mówiąc, nie wygląda najlepiej.

Zdziwiło mnie to mocno, bo widziałam na własne oczy, że brała rano tabletki.

— O rety — rzekłam. — Mam po nią przyjechać?

— Gdyby pani mogła. Lepiej dmuchać na zimne. Oczywiście to może być tylko trema pierwszego dnia, ale powiedziano mi, że sporo biegała...

— Nie no, oczywiście, nie ma sprawy — odparłam. — Będę za dziesięć minut.

Łapiąc kurtkę i pogryzając w biegu sandwicza, przekazałam Riley, co powiedział pan Barker.

— Trochę to wszystko dziwne — stwierdziłam. — Przecież wzięła leki. Miała ze sobą lunch i przekąski. Boże, mam nadzieję, że nie będziemy mieć przez cały czas takiej nerwówki. Lekarz sugerował coś innego.

Riley miała sceptyczną minę.

— Może to nie to. Może jej po prostu chodzi o trochę współczucia, trochę uwagi. Z tego, co widzieliśmy do tej pory, byłoby to w jej stylu.

— Wiem — odparłam. — Ale nie możemy tak zakładać w przypadku tak poważnej, potencjalnie niebezpiecznej choroby. Tak czy inaczej, muszę lecieć. Dzięki za sandwicza, kochanie.

— Chyba za te dwa kęsy, które zjadłaś!

Riley odprowadziła mnie do drzwi, ale kiedy wyszłam, zawołała mnie jeszcze. Odwróciłam się.

— Uważaj na nią, mamo, okej?

Z była to śmiechem, ale czy moja córka dostrzegła już sprawy, których ja nie widziałam?

Kiedy dotarłam do szkoły, pan Barker i Sophia czekali już na mnie w recepcji. Widziałam, że Sophia chichocze z czegoś, co powiedział przełożony.

Nie znałam dobrze pana Barkera, bo zatrudniono go w szkole tuż przed moim odejściem, ale lubiłam go i wiedziałam, że będzie miał oko na Sophię. Był bardzo dystyngowany, a dzieciaki

przeżywały go „Pies” z powodu nazwiska¹, ale wątpiłam, by dzielił się z nią akurat tym żarciem. Tak czy inaczej, widocznie oderwał jej myśli od choroby. Na moje oko wyglądała jak okaz zdrowia.

— A, pani Watson — powiedział pan Barker. — Bardzo dziękuję, że pani przyjechała. Jak pani widzi, Sophia czuje się już trochę lepiej, prawda, Sophia? Ale oczywiście nie chcieliśmy ryzykować.

— Naturalnie — odrzekłam. — Chodź, kochanie — zwróciłam się do Sophii. — Zawiozę cię do domu, żebyś mogła się zdrzemnąć.

— Mówiłam im, żeby ci nie zwracali głowy — powiedziała do mnie, kiedy szliśmy już przez szkolny parking. — Niepotrzebnie po mnie przyjeżdżałaś. Wcale nie chciałam wracać do domu. Mówiłam im, że za godzinkę będę jak nowa, jeśli tylko pozwolą mi odpocząć.

Poklepałam ją po plecach. Była o tyle wyższa ode mnie, że nie mogłam po przyjacielsku objąć jej ramion.

— Nie przejmuj się, skarbie — pocieszyłam. — Po prostu woleli być ostrożni. Pewnie nie mają dość personelu, żeby cię pilnować jak należy. Jeśli czujesz się dobrze, siedzisz na lekcjach, a jeśli gorzej, jedziesz do domu.

Wzruszyła ramionami z typową dla nastolatki miną „a co mi tam”. Pomyślałam, że Riley mogła mieć rację i że Sophia udawała, że jej słabo, chcąc zwrócić na siebie uwagę — ale nie aż tyle uwagi. W jej dawnej szkole pewnie wiedzieli, jak obchodzić się z nią i jej chorobą, więc może nie sądziła, że zostanie odesłana do domu. Albo wręcz przeciwnie: była bardzo zadowolona, że jedzie do domu, i tylko mówi mi coś innego, żeby mnie udobruchać. Och, to wszystko było takie skomplikowane; nie mogłam jej rozpracować.

Kiedy byliśmy w domu, jej zachowanie znów się zmieniło.

— No chodź, panienko — powiedziałam, powstrzymując ją przed klapnięciem na kanapę z pilotem w dłoni, na całe popołudnie. — Musimy w ciebie wlać trochę wody i wpakować jakąś słoną przekąskę, a potem będziesz musiała na chwilę pójść do łóżka.

Ucieszyło mnie, z jaką łatwością przywołałam w myślach wszystkie te „zasady”, ale też nie wzięłam ich z powietrza — przecież bardzo dokładnie studiowałam wszelkie dostępne informacje. Było jasne, że Sophia sporo biegała i teraz musiała się nawodnić. Potrzebowała też soli. Nie wiedziałam dokładnie dlaczego — tyle naukowych szczegółów! — ale rady były jasne. A potem musiała się wyspać. Ale ona pokręciła głową.

— Nie ma potrzeby — stwierdziła. — Wszystko jest w porządku.

— Najwyraźniej nie jest — upierałam się — bo inaczej nie ściągnęliby mnie do szkoły. No chodź — zachęciłam. — Sio do kuchni, żebyśmy mogła cię nakarmić przed drzemką...

Wycelowała pilota w telewizor, który włączył się z pomrukiem.

— Powiedziłam ci — wycedziła powoli — że nic mi nie jest.

Okej, pomyślałam. Okej. Głęboki wdech.

— Sophio, może i czujesz, że nic ci nie jest, ale ja muszę to wiedzieć na pewno. Więc proszę, wyłącz telewizor i chodź ze mną.

Zanim zdążyłam dokończyć, z głośnym klekotem rzuciła pilot na stół, zerwała się z kanapy i wyłączyła telewizor ręcznie.

— Zadowolona? — spytała mnie jadowitym tonem, przepychając się obok mnie.

Powoli wypuściłam powietrze i poszłam za nią do kuchni.

— Tak, dziękuję. Ale może następnym razem poprosimy nauczycieli, żeby załatwili to wszystko w szkole. Żebyś mogła sobie w niej zostać.

Wyszłam z kuchni z poczuciem, że zostałam nabrana. Byłam też wściekła. Jak można poradzić sobie z czymś takim? Z czymś, co daje takie pole do manipulacji? Przecież nie można powiedzieć „sprawdzam”, jak w pokerze, by się przekonać, czy nie blefuje — mogłaby się poważnie rozchorować. Ale jednocześnie taka władza nad ludźmi nie wpływała na nią dobrze. Zapaliłam papierosa w oranżerii. Jedno było jasne. W najbliższym czasie nie zdołam się pozbyć nałogu. Kiedy trochę się uspokoiłam, postanowiłam udzielić jej dobrodziejstwa wątpliwości. To wszystko mogło się brać ze stresu spowodowanego wizytą u matki, zaplanowaną na weekend.

Musiałam brać na to poprawkę. W tej chwili, jak na zawołanie, w drzwiach oranżerii stała Sophia.

— Przepraszam, Casey — powiedziała, zacinając się. — No wiesz, za to przed chwilą. Robię się trochę drażliwa, kiedy spadnie mi poziom leków.

Poklepałam siedzenie obok siebie. Usiadła.

— Ale ja nie rozumiem — odparłam. — Twój lekarz mówił, że masz dobrze dobraną dawkę.

Pokręciła głową.

— Chyba że się zestresuję. Albo zmęczone się za bardzo.

— Ale przecież wiesz, że nie powinnaś tego robić? Na pewno gdzieś czytałam, że jeśli czeka cię większy wysiłek niż zwykle, musisz wcześniej wziąć dodatkową dawkę sterydów. Zgadza się?

Skinęła głową.

— Ale ja nie wiedziałam, że będę się męczyć. — Zmarszczyła brwi. — A nie mogłam powiedzieć nie, okej? Kiedy wszyscy grają razem, a ty jesteś nowa... nie chciałam wyjść na jakąś nadętą krowę, która się nie przyłączy, okej?

Nie mogłam się nie zgodzić i zrobiło mi się jej żal. To musiało być trudne.

Ścisnęłam jej dłoń.

— Wiem — rzekłam. — Wiem. To jak, pójdziesz się przespać?

Byłam zadowolona z tej naszej rozmowy, a cała reszta była nieistotna. Żadna różnica, czy Sophia obniżyła sobie poziom hormonów przypadkiem czy celowo. Liczyło się to, że ze sobą rozmawialiśmy. Postanowiłam, że rano porozmawiam z personelem szkoły, żeby byli na bieżąco, i że poczytam więcej na temat dodatkowych dawek leków. To była sytuacja do opanowania. Musiałam tylko wiedzieć, jak ją opanować.

W o wiele lepszym nastroju zabrałam się do przygotowania obiadu — steku i frytek z dodatkami i moim własnym, domowym sosem pieprzowym. Jeszcze zanim Mike i Kieron dotarli do domu, uznałyśmy obie z Sophią, że umieramy z głodu i że jeśli chłopaki natychmiast nie zjawią się przy stole, zjemy też ich porcje.

Rodzinny obiad upłynął nam w równie miłej, spokojnej atmosferze. Nie byliśmy może Waltonami, ale czasami ogromną przyjemność sprawiało mi takie rodzinne posiedzenie przy stole i pogawędki o niczym. Niestety, to „nic” nie było zbyt długowieczne.

— Jak ci minął pierwszy dzień w szkole? — spytał Mike Sophię, zabierając się do jedzenia.

— W porządku — odpowiedziała. — Zaprzyjaźniłam się z jedną dziewczyną, Lucy. Chyba jest miła.

— Z pewnością nie będzie ostatnia — wtrącił się Kieron. Ucieszyło mnie to. Bardzo się starał, żeby się dobrze dogadywać z Sophią.

— Raczej będzie — odparła Sophia, po czym uraczyła nas informacją, że reszta dziewczyn już jej nienawidzi.

— Ależ dlaczego? — spytałam.

— Bo podobam się wszystkim chłopakom, oczywiście — odpowiedziała. Otworzyłam usta, by to skomentować, ale zamknęłam je z powrotem. Ona miała dwanaście lat. Dwunastolatkom zdarzały się tego typu stwierdzenia. Szczególnie ładnym, jak Sophia.

— Na pewno będziesz miała więcej koleżanek — nalegał Kieron. — Nie martw się.

— Wcale się nie martwię — odparła. — Ja wcale nie chcę mieć koleżanek.

— A dlaczego to? — spytał Mike.

— Bo nie można im ufać. — Twarz jej spochmurniała. — Moja ostatnia przyjaciółka, Chloe, próbowała mnie przerobić na lesbijkę. I...

— Sophio, skarbie — przerwałam jej. — Porozmawiamy o tym później. To raczej nie jest temat do konwersacji przy obiedzie.

— Ale tak było! — upierała się Sophia, teraz już cała wzburzona, ciskając gromy oczami.

— A moja kochająca mamusia miała to gdzieś! „Och, Sophio, przestań narzekać, ona po prostu jest

miła, przestań jęczeć...” Ta, jasne. Nigdy jej nie obchodziłam!

— Sophia — powiedziałam zszokowana. — Proszę cię, daj teraz spokój. Możemy o tym porozmawiać później. A teraz uspokój się i dokończmy obiad, dobrze?

Zwiesiła głowę i jadła dalej, a nasza rozmowa odżyła z oporami.

— Pyszny stek, kochanie — pochwalił Mike.

— Pochlebstwa zaprowadzą cię na koniec świata — odparłam.

— Uuch, podajcie mi wiaderko, bo mnie mdli — jęknął Kieron. — Błagam.

Sophia też się uśmiechnęła i miałam wrażenie, że chwila napięcia minęła. Zamierzałam dotrzymać obietnicy; z całą pewnością porozmawiamy o tym później. Najwyraźniej była to sprawa, którą bardzo chciała z siebie wyrzucić.

Tę i całe mnóstwo innych.

Rozdział 8

Moja oranżeria to miejsce szczególne, przede wszystkim wieczorami. Zawsze jest tu miło — to moja przystań, moja samotnia z widokiem na ogród — ale wieczorem nabiera szczególnego charakteru. W łagodnym oświetleniu nie widać sterty ogrodowych mebli w kącie; zauważa się tylko dwie sofy przykryte polarowymi narzutami i ozdobione stosami kolorowych poduszek. Po całym dniu z włączonym ogrzewaniem jest tu ciepło i przytulnie — idealne miejsce, by posiedzieć i się zrelaksować.

Kiedy zmywanie było już załatwione, a chłopcy poszli oglądać mecz, zaniósłam do oranżerii swoją kawę i szklankę mleka dla Sophii i postawiłam na małym sosnowym stoliku między sofami. Potem usiadłam i poklepałam miejsce obok siebie.

— No — powiedziałam. — Nareszcie spokój. Chodź, kochanie, siądź sobie i rozprostuj nogi.

Posłusznie usiadła obok i oparła się wygodnie.

— To jest prawda — zaczęła. Było jasne, że nie może się doczekać, by mi o tym opowiedzieć. — Zrobiła ze mnie lesbijkę, Casey. Wiem, że zrobiła.

— To nie zależy od niej — odparłam. — Wyłącznie od ciebie. Czy ty sama uważasz się za lesbijkę? To znaczy, podobają ci się dziewczyny tak samo, jak podobają się chłopcy?

Niewiele matek musi przeprowadzać takie rozmowy z dwunastoletnimi córkami, pomyślałam. Ale ona naprawdę była bardzo dobrze rozwinięta i zdawała sobie z tego sprawę. A ja spotkałam już w życiu wiele dzieci, od których opowieści włos się jeżył niejednemu dorosłemu. Niestety, w takich sprawach dzieci rzadko kłamią.

Sophia spojrzała na mnie.

— Casey, ja wiem, co to jest lesbijka. I nie, oczywiście się nie uważam. To był tylko ten jeden raz, kiedy, no wiesz, zrobiłam to z Chloe.

Musiałam się dobrze zastanowić, zanim znów się odezwałam.

— I to naprawdę o niczym nie świadczy. Wiele dzieciaków w twoim wieku eksperymentuje z koleżankami i kolegami tej samej płci. Ale to nie znaczy, że już na zawsze będą homoseksualne. To jest... no cóż, tak jak powiedziałam, eksperymentowanie.

— Ale Chloe powiedziała, że to ze mnie zrobiło lesbijkę, bo jej pozwoliłam. — Podciągnęła nogi na sofę i siedziała teraz odwrócona w moją stronę. — A kiedy spytałam mamę, bo się naprawdę martwiłam, ona powiedziała tylko: „Oj, przestań truć”. W ogóle nie chciała nic wiedzieć.

Znów zaczęłam się zastanawiać nad tą zalotnością Sophii w stosunku do mężczyzn. Czyżby próbowała coś udowodnić światu? I sobie?

— Hm, może mama próbowała ci powiedzieć, tak jak ja, że to niczego nie oznacza, więc niepotrzebnie się przejmujesz. I masz przed sobą jeszcze całe lata na odkrycie tego, kim jesteś. Myślę, że możesz przestać się tym zadrećcać.

Widząc jej niespokojną minę, z którą wyglądała w tej chwili bardzo dziecinnie, instynktownie objęłam ją ramieniem i przyciągnęłam do siebie. W odpowiedzi zarzuciła mi ręce na szyję i uściskała mnie tak mocno, że o mało mnie nie udusiła.

— Och, Casey — powiedziała, kiedy znów pozwoliła mi oddychać. — Dzięki. Wielkie dzięki, że mnie wysłuchałaś. Moja mama nigdy mnie nie słuchała. Nigdy.

Mogłabym powiedzieć: „Ależ na pewno słuchała”, ale przecież nie wiedziałam, czy to prawda, a nie chciałam wygłaszać frazesów. Przecież i tak nie miały szans odbudować żadnej relacji. Właśnie na tym polegała tragedia. Było też ważne, żeby Sophia przepracowała wszystkie problemy emocjonalne związane z matką. Przecież nie miałam pojęcia, jaką matką była Grace. Więc zaczęłam gdybać:

— Może tylko tak ci się wydawało, bo próbowała ci powiedzieć, że to nic wielkiego. Jak mówię...

— Nie chodzi mi tylko o to. Chodzi o wszystko. Na przykład kiedy jej chłopaki mnie dotykali. Nigdy nie słuchała. Nie chciała słuchać. Des był pierwszy. Przychodził sobie na górę, tak

po prostu, i ścisnął mi piersi. A kiedy powiedziałam o tym mamie, to mnie wyśmiała.

Nienawidziłam go.

Zaczęła mnie ogarniać aż nazbyt znajoma zgroza.

— Mówiłaś o tym komuś innemu?

— Z początku nie. Ale później tak, często. Przy następnym już powiedziałam. Ale nie za pierwszym razem. Nie z Desem.

Przy następnym? O Boże...

— Ale to poważna sprawa, Sophio. Jesteś pewna? To znaczy, jesteś pewna, że robił to z rozmysłem? — Czułam się jak idiotka, w ogóle o to pytając. Ale mówiłyśmy tu o potencjalnym przestępstwie. W głowie wciąż brzmiały mi ostrzeżenia Mike'a.

— Oczywiście, że jestem pewna. Jak można zrobić coś takiego niechcący?

— I twoja mama na to nie zareagowała?

— Mówię ci przecież. Powiedziała tylko, że jestem głupia. Więc postanowiłam, że skoro tak, to zamienię mu życie w piekło. — Jej twarz stwardniała. — Pomyślałam, że skoro ona nie chce się go pozbyć, to ja to zrobię. Zaczęłam bez przerwy jęczeć, jaki jest dla mnie wredny i nie chciałam jeść, kiedy był w domu, aż w końcu przestał z nami jadać. I w kółko się o mnie kłócili, on się wściekał, aż wreszcie go wyrzuciła. I krzyżyk na drogę!

— Ale potem — drażylałam. — Czy po tym wszystkim powiedziałaś jej prawdę?

Jej twarz zmieniła się nie do poznania, na moich oczach.

— Oj, nie, nie musiałam. Bez Desa znów było cudownie. Tylko ja i mama. Jak dwie kumpele. Siedziałyśmy do późna, oglądałyśmy babskie filmy i jadłyśmy popcorn... albo czytałyśmy razem babskie gazetki i nie zawracał nam głowy żaden facet. Było tak cudownie...

W tej chwili wydawała się niemal oderwana od rzeczywistości i zamknięta we własnym małym świecie, a ja zastanawiałam się, czy te wszystkie wyznania były sprowokowane perspektywą odwiedzin u matki. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, jak coś takiego musiało być trudne dla dziecka. Twój jedyny rodzic jest w zasadzie martwy, a mimo to wciąż musisz do niego wracać... patrzeć, jak leży bezwładnie... koszmar. Biedna mała. Zauważyłam, że zaczęła płakać.

Ale nagle jej głos znów się zmienił, wargi ściągnęły się jak u psa.

— Ale, kurwa, to nie potrwało długo. — Czułam, jak jej ciało sztywnieje przy moim. — O nie, ja jej nie wystarczałam. Nigdy nie miała dość. Moja kochana mamusia miała jobla na punkcie facetów. — Spojrzała na mnie ostro. — Wyobrażasz sobie, że chodziła ze Steve'em ledwie tydzień, zanim sprowadziła go do nas?!

— Więc to on zamieszkał z wami po Desie?

Skinęła głową.

— Po tygodniu!

— To był ten „następny”, o którym mówiłaś?

Drgnęłam, kiedy roześmiała się bez ostrzeżenia.

— O tak — powiedziała, wciąż patrząc na mnie, ale mnie nie widząc. — I ostatni. Wiesz, co zrobił ten gnój?

Nie musiałam odpowiadać. Mówiła jak nakręcona, po jej twarzy płynęły łzy, których nawet nie próbowała powstrzymać. Chwyciłam ją za rękę.

— Próbował mnie zgwałcić. Poczekał, aż moja kochana mamusia poszła na wywiadówkę... Na wywiadówkę, uwierzysz? Siedziałam sobie w pokoju, odrabiałam lekcje i słuchałam muzyki, kiedy nagle wszedł. I zaczął: „Co tam, mała? Co porabiasz?” Potem podszedł, żeby mi zajrzeć w zeszyt, i...

Musiała przerwać na moment, bo płakała już na całego. Potężny, zachłystujący szloch. Z trudem łapała oddech. Za jej plecami dostrzegłam Kierona, który właśnie zamierzał otworzyć drzwi od kuchni, więc znów przyciągnęłam ją do siebie i pomachałam do niego, żeby nie wchodził.

— Już dobrze, skarbie — powiedziałam kojąco. — Nie spiesz się. Musisz to wszystko z siebie wyrzucić.

Odsunęła się odrobinę i pociągnęła nosem.

— Już okej... już okej. — Znów siorbnęła nosem, przetarła twarz nadgarstkiem. — Potem

pchnął mnie na łóżko — mówiła dalej, biorąc się trochę w garść. — I ściągnął mi dół od piżamy. A ja wpadłam w szał. Kopałam go, biłam, wrzeszczałam. Próbował zakryć mi usta ręką, ale go ugryzłam, z całej siły. — Na to wspomnienie zrobiła minę pełną obrzydzenia. — A potem odpiął dżinsy, spuścił je i wyciągnął fiuta, i próbował mnie zmusić do seksu. Bałam się śmiertelnie, ale cały czas z nim walczyłam... a jestem silna... — Dzięki Bogu choć za to, pomyślałam. — I chyba wtedy się wystraszył, że robię taki hałas, bo przestał i uderzył mnie w twarz. Nazwał mnie podpuszczalską. Powiedział, że mnie zabije, jeśli komuś o tym pisnę.

— Boże drogi, ależ jestem wściekła! Błagam, powiedz mi, że tym razem powiedziałaś mamie.

Znów pociągnęła nosem i wytarła oczy.

— O tak. — Roześmiała się niemal histerycznie. — O tak, jak tylko wróciła do domu, a on poszedł sobie do pubu. Powiedziała jej wszystko. Ze szczegółami.

— Dobrze, kochanie. To dobrze. I co powiedziała tym razem?

— Powiedziała... — Jej dolna warga zaczęła drżeć. — Powiedziała... Ty mała, kłamliwa pindo! Powiedziała, że zniszczyłam jej już jeden związek i teraz próbuję to zrobić znowu! — Sophia, pobudzona, gwałtownie wyprostowała podwinięte nogi i przesunęła się na brzeg sofy, wykręcona w moją stronę. — Wiesz, co mi powiedziała, Casey? — Pokręciłam głową. — Że uważam się za nie wiadomo co. Że niby co ja sobie myślę, że jej mężczyźni będą woleli mnie? Nazwała mnie zazdrosną suką. Tak, właśnie tak mnie nazwała. — Gniew przesłonił teraz ból. — Tak i powiedziała jeszcze mnóstwo innych, miłych, matczyńskich słów w tym rodzaju.

— Och, skarbie — rzekłam. — Nie mogę w to uwierzyć!

— Ja też nie mogłam, bo była dla mnie taka okropna, ale to prawda. I wtedy zrozumiałam, jaka z niej główniana matka. Ostrzegłam ją. Serio. Powiedziała jej wprost. Albo on, albo ja, powiedziała. Bo ja nie zostanę, jeśli wybierze jego. — Sophia westchnęła ciężko. — Ale wybrała. I tak go wybrała.

Oślupiałam. Choć już tyle lat miałam do czynienia z dysfunkcyjnymi rodzinami, wciąż szokowało mnie, kiedy matka nie stawiała własnego dziecka — własnego potomstwa — na pierwszym miejscu w tego rodzaju sytuacjach. Owszem, były na świecie matki jak matka Justina, które uzależnione od narkotyków, zmuszały dzieci do najróżniejszych czynów, byle tylko zdobyć następną działkę. Ale żeby nazwać własną córkę kłamczuchą, i jeszcze gorzej — zazdrosną suką — to było zupełnie coś innego. I ile lat mogła mieć wtedy Sophia? Jedenaście? Może nawet dziesięć? To się nie mieściło w głowie.

Myśl o Justinie kazała mi pomyśleć o czymś jeszcze. Wiedziałam, że muszę wyjaśnić Sophii, iż ze względu na treść jej zwierzeń będę musiała je udokumentować i powiadomić o nich resztę jej zespołu opiekuńczego.

Wzięłam głęboki wdech.

— Strasznie się cieszę, że udało ci się to wszystko wyrzucić z serca — powiedziałam, tuląc ją i głaszcząc. — Teraz, kiedy o tym powiedziałaś, na pewno poczujesz się o wiele lepiej, hm? — Uśmiechnęła się blado. Opowiedzenie tej historii jakby wyssało z niej całą energię. — Ale na pewno wiesz — ciągnęłam — że teraz muszę to zapisać w dzienniku. Bo to poważna sprawa i ci mężczyźni powinni zapłacić za to, co ci zrobili, prawda?

Ale, ku mojemu zdumieniu, Sophia wybuchnęła śmiechem.

— Kurwa, a jaki to ma sens? — spytała, odsuwając się i patrząc na mnie, jakby uszom nie wierzyła. — Jasne, mów sobie o tym, komu chcesz, ale niby co to zmieni? I niby jak ktokolwiek miałby ich znaleźć? Ja nawet nie znałam imion facetów, których sprowadzała do domu. Tych dwóch ostatnich znałam z imienia, bo słuchałam jej krzyków, kiedy to robili — wypaliła jadownicę. — Proszę, Casey, proszę cię bardzo. Powiedz, komu chcesz. Ale zapewniam cię, że to strata czasu. Nie zapominaj, że to matka jest moim jedynym świadkiem, a ona jest pieprzonym warzywem!

Wpatrywałam się w nią, zapominając na chwilę języka w gębie, ale mózg pracował mi na wysokich obrotach. Fakt, że użyła słowa „świadek”, mówił bardzo wiele.

— Opowiadałaś już komuś o tym, Sophio? Komukolwiek oprócz matki?

Wzruszyła ramionami.

— A po co? Czy ktokolwiek coś zrobi w tej sprawie? I niby co może zrobić? — Wstała z sofy. — Naprawdę, Casey, przestań tak na mnie patrzeć. Było, minęło. Jest po sprawie. A ja muszę już iść do łóżka.

Ruszyła do drzwi do kuchni, ale w progu odwróciła się jeszcze do mnie.

— Nie przejmuj się tym aż tak strasznie — powiedziała. — Już wszystko ze mną dobrze. Jestem już duża. Naprawdę. Branoc.

Siedziałam w oranżerii jeszcze pół godziny, próbując poukładać w głowie to wszystko, co mi powiedziała. Jeśli jej oskarżenia były prawdą — a instynkt podpowiadał mi, że wszystko tutaj pasuje — to nic dziwnego, że miała tyle problemów ze sobą. Między nią i matką najwyraźniej zostało całe mnóstwo niezamkniętych spraw, a przez tragedię, która się wydarzyła, już nigdy nie zostaną zamknięte. Na barki tej młodej dziewczyny spadło przerażająco wielkie psychiczne obciążenie. Do tego dochodziła kwestia usiłowania gwałtu w wykonaniu partnera matki i twierdzenia dziewczynki, że matka jej nie uwierzyła. Widziałam osobiście i czytałam o wielu przypadkach, kiedy matki, bojąc się utraty chłopaka czy męża, pozostawały ślepe na to, co ów chłopak czy mąż robił z dziećmi, niemal na ich oczach. Już samo to było wystarczająco szokujące. Ale by oskarżyć swoją ledwie dojrzewającą córkę o kłamstwo i próby współzawodnictwa o mężczyzn — to było kompletnie pokrecone. Uznałam, że muszę poprosić Johna, żeby poszukał więcej informacji. Może i nieładnie było mówić źle o zmarłych (czy też o osobach w stanie wegetatywnym, w tym przypadku), ale jeśli Sophia miała mieć jakąkolwiek szansę na ułożenie sobie życia, to ktoś musiał ubrudzić sobie ręce i wydobyć prawdę na temat jej matki.

Z tą myślą położyłam się do łóżka. Mike jeszcze nie spał, czytał, więc kiedy rozebrałam się już i skuliłam pod kołdrą, żeby rozgrzać sobie stopy, powtórzyłam mu po cichu wszystko to, co opowiedziała mi Sophia. Mój mąż zwykle jest do rany przyłoż, ale tym razem się wściekł. Szczerze mówiąc, dawno nie widziałam go tak wściekłego.

— Pieprzone bydlaki! — wysyczał.

— Ćśśś, Mike. I nie przeklinaj!

— Przepraszam, kochanie — odparł — ale krew się we mnie gotuje. I mówię ci, ktoś powinien coś z tym zrobić. Nic dziwnego, że dzieci trafiają do ludzi takich jak my i mają tak nachrzanione w głowie! Jakim cudem tego nie ma w jej cholernych aktach?

— Ćśś — powtórzyłam. — Sophia cię usłyszy!

— No i dobrze. Może powinna mnie usłyszeć! Powinna wiedzieć, że ktoś jest po jej stronie. Pieprzone bydlaki!

Nigdy wcześniej nie słyszałam Mike'a tak wkurzonego. I nigdy nie słyszałam, żeby tak przeklinał — a już na pewno nie wtedy, kiedy mogło go usłyszeć któreś z dzieci. Zawsze bardzo pilnował, jak się wyraża.

— Wiem, kochanie. Czuję to samo — zapewniłam, głaszcząc go po ręce i próbując uspokoić. — Ale teraz ma nas po swojej stronie, prawda? Ciebie i mnie, kochanie. My będziemy jej bronić. Obiecuję to i tobie, i jej.

Ale kiedy tak leżałam w łóżku, czekając, aż ogarnie mnie sen, po głowie tłukło mi się jedno z ulubionych powiedzonek mojej mamy: „Nigdy nie składaj obietnic, których nie dasz rady dotrzymać”.

Rozdział 9

Po dramatycznych wydarzeniach weekendu kolejny tydzień okazał się zadziwiająco nieciekawym i absolutnie nie miałam nic przeciwko temu.

Z samego rana w poniedziałek wsiadłam na Johna Fulshawa, ale tak jak przewidzieliśmy z Mikiem, w aktach Sophii nie było żadnej wzmianki na temat oskarżeń o molestowanie.

— Wiesz co, Casey — powiedział John — muszę ci się przyznać, słyszałem to i owo, że dziewczyna ma tendencję do konfabulacji.

— Ale w teczce nie ma nic...

— Może dlatego, że nawet jeśli z jej ust padło takie oskarżenie, nie zostało uznane za prawdziwe, więc nikt go nie odnotował.

— No nie wiem, John — stwierdziłam. — Instynkt podpowiada mi coś wręcz przeciwnego. To wszystko brzmi wiarygodnie. Wiem, że ledwie ją znam, ale przez całe życie miałam do czynienia z dziećmi w jej wieku. Sądzę, że potrafię wyczuć, kiedy dziecko mówi prawdę.

— A ja mam dość rozumu, żeby ufać temu twojemu instynktowi, pani Watson! No dobra, zostaw to mnie. Pobawię się w detektywa i oddzwonię do ciebie jak najszybciej.

John zgodził się też z moim przekonaniem, że tego typu incydent wyjaśniłby niektóre niewłaściwe, niepokojące zachowania Sophii i że jeśli to prawda, powinno zostać przeprowadzone śledztwo.

Sama Sophia, teraz, kiedy już otworzyła się trochę przede mną i opowiedziała o swoich ciężkich przeżyciach, jakby o nich zapomniała. I chyba nareszcie zaczęła się u nas zadomawiać. Przez cały tydzień nie było fochów, kłótni, wybuchów irytacji czy gniewu i pozwoliłam sobie mieć nadzieję, że uda nam się poczynić jakieś solidne postępy. Czułam, że od kiedy mi się zwierzyła, zbliżyliśmy się do siebie, a Bóg mi świadkiem, że to dziecko potrzebowało przyjaciela. Przecież była na świecie praktycznie sama.

W piątek z radością wysłuchałam relacji pana Barkera, który choć wciąż trochę niepokoił się o zdrowie Sophii, ogólnie był bardzo zadowolony z tego, jak zaaklimatyzowała się w szkole. Było jasne, że jest bardzo bystra i jest materiałem na wybitną uczennicę, a szkolne osiągnięcia mogły mieć ogromny pozytywny wpływ na jej życie.

Odłożyłam słuchawkę i wróciłam do sprzątanego, od którego oderwał mnie telefon pana Barkera. Byłam pełna pozytywnych myśli po raz pierwszy od dnia przybycia Sophii do nas.

W salonie zastałam Kierona, który miał pół dnia wolnego od zajęć; stał przed wielkim lustrem, ze szmatką w jednej dłoni, płynem do szyb w drugiej i napręzał mięśnie, strojąc przy tym miny. Zasadniczo nienawidził prac domowych, ale lustra lubił czyścić. Przewróciłam oczami. Naprawdę był aż tak próżny.

— Kieron, ty narcyzie! — prychnęłam. — Myślałam, że masz mi pomagać, a nie ćwiczyć pozę Mistra Universum!

— Droga matko — powiedział, przeciągając dłońmi w dół po tułowiu. — Potrzeba ogromnej siły woli, by na to nie patrzeć. Możesz sobie drwić, ale większość kobiet nie może mi się oprzeć... A tak z innej beczki, kto dzwonił?

Wróciłam do swojego odkurzania, a on do pucowania lustra.

— A, ze szkoły.

Kieron spojrział w sufit.

— O Boże. Co znowu zrobiła?

— Nie, to nic w tym stylu. Zdali mi tylko raport. I powiedzieli, że radzi sobie bardzo dobrze.

Kieron przestał polerować i odwrócił się do mnie.

— Mamo — zapytał — to prawda, co powiedział mi tato, że Sophia była molestowana?

— Tak mówiła, kochanie. Ale w jej aktach nie ma nic na ten temat. Więc teraz czekam na wieści od Johna Fulshawa, który ma do mnie oddzwonić, kiedy trochę głębiej zbada tę sprawę. Wiesz, dzieci czasem zmyślają różne rzeczy...

— Do diabła, dlaczego ktoś by miał zmyślać takie rzeczy?

— Och, z mnóstwa powodów. Żeby zwrócić na siebie uwagę... żeby narobić kłopotów komuś, kogo się nie lubi. Ale ja i tato jesteśmy skłonni jej wierzyć. To by w jakimś stopniu wyjaśniało jej zachowanie. Ale nie martw się, na pewno dojdziemy prawdy...

— Nie, ja się nie martwię — odparł. — Tak się tylko zastanawiam. No wiesz, bo jeśli naprawdę zmyśla takie rzeczy, to może nakłamać też na nasz temat, nie?

Słowa Kieronu lekko mną wstrząsnęły. Nie pomyślałam o tym i teraz miałam ochotę sama siebie kopnąć — ależ jestem głupia. Jeśli to, co mówiła o chłopakach matki, było kłamstwem, to była niezłą aktorką i Kieron miał rację — mogła w taki sam sposób oczernić jego i Mike'a. Z trzaskiem strzepnęłam ściereczkę do kurzu.

— Słuszna uwaga — przyznałam. — Musimy być ostrożni. Może wygrzebię instrukcje na temat zasad bezpieczeństwa, żebyśmy sobie je przeczytali jeszcze raz, hm? Żeby sprawdzić, czy o wszystkim pamiętamy.

Umowa dotycząca zasad bezpieczeństwa była jedną z umów podpisywanych przez opiekunów zastępczych i zawierała proste wskazówki postępowania, pozwalające chronić rodzinę przed pomówieniami.

— Chociaż, niestety, ja jej wierzę — powiedziałam. — Ale nie przejmuj się tym wszystkim, okej? I pamiętaj, że dopóki nie dowiemy się, że to nieprawda, musimy jej wierzyć. O wiele za dużo dzieci pod opieką państwa miałyby się znacznie lepiej, gdyby choć jeden dorosły potraktował poważnie ich opowieści.

— Na przykład Justin — zauważył Kieron.

— Na przykład Justin — przytaknęłam.

— Niby tak — rzucił zadumany, wracając do polerowania swojego odbicia. — Ale nigdy nic nie wiadomo.

Nie podzieliłam się wątpliwościami Kieronu z Mikiem. Nie chciałam go stresować, w świetle nieszczęsnego epizodu z poprzedniego weekendu, a poza tym uważałam za ważne, byśmy w sprawie Sophii stali ramię przy ramieniu. Dziewczyna mi się zwierzyła i oboje uwierzyliśmy w jej słowa. Jeśli teraz Mike zaczynał mieć wątpliwości — a tak podejrzewałam, skoro rozmawiał z Kieronem — mogliśmy zbyt łatwo dać się zepchnąć na drogę szamotania się z symptomami, zamiast naprawdę rozprawić się z ich przyczyną. Owszem, byliśmy tylko jej opiekunami zastępczymi, i to krótkoterminowymi, ale ta dziewczyna była bardzo pokaleczona psychicznie, a jeśli molestowanie było częścią tej sprawy, to mieliśmy obowiązek wyjaśnić to i zareagować.

A kiedy Sophia wróciła do domu ze szkoły, poczułam, że naprawdę robimy postępy. Trochę marudziła na koleżanki — które podobno wciąż wszystkie jej nienawidziły, bo podobała się wszystkim chłopakom — ale słuchanie tych biadoleń, jaka to jej się dzieje krzywda, było wręcz pocieszające, bo było jak słuchanie każdego innego dziecka w jej wieku.

Ale ten spokój nie miał potrwać długo. Po obiedzie, kiedy siedzieliśmy sobie wszyscy w salonie i oglądaliśmy seriale, Sophia, ni z gruszki, ni z pietruszki, wybuchnęła śmiechem.

— Och, nie mogę się już doczekać spotkania z moją kochaną mamusią! — stwierdziła wesoło, jakby rzeczona mamusia była cała i zdrowa i miała zabrać ją na piknik, a nie leżała w śpiączce w szpitalnym łóżku. O Boże, pomyślałam. Znowu się zaczyna.

Posłałam Mike'owi i Kieronowi ostrzegawcze spojrzenie, zanim odpowiedziałam. Czułam, że Sophii chodzi o wywołanie reakcji, ale uznałam, że najlepiej będzie udawać, że nic się nie dzieje.

— Tak, to bardzo miło, że się z nią spotkasz — odpowiedziałam spokojnie. — Wyjedziemy wcześniej, żebyśmy mogli...

Umilkłam, bo nagle wstała i przeszła przez pokój z dziwnym, skołowanym wyrazem twarzy. Przed drzwiami się odwróciła. Spojrzała na mnie.

— A tak przy okazji — dodała. — Nie wzięłam dzisiaj ostatniej tabletki. Bardzo źle sypiam, a leki to jeszcze pogarszają.

Mike zerwał się szybciej ode mnie.

— No przestań, skarbie. Przecież wiesz, że musisz ją zażyć. Twój doktor powiedział, że nie można zmieniać dawek leków bez...

— Ehm — przerwała mu Sophia, szczerząc zęby w sztucznym uśmiechu. — Przyznasz chyba, że to jest moje ciało, moja choroba i mój problem. I nie wezmę tej tabletki, i tyle, okej? Jeśli uznam, że zanosi się na koniec świata, wtedy zadzwonię do doktora. Koniec, kropka.

Wyszła z salonu i ruszyła po schodach.

— Sophia! — zawołałam za nią. — Wracaj tutaj. Przestań się wygłupiać.

— Zapomnij! — krzyknęła z góry. Usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi jej pokoju.

— Co to miało być, do diabła? — rzucił Mike.

Kieron też był osłupiały.

— Boże, ona naprawdę jest wariatką. To przez tę wizytę u matki?

— Nie wiem — odparłam. — Ale tak podejrzewam.

Mike zmarszczył brwi.

— Tak czy inaczej, nie może tak po prostu nie wziąć sobie tabletki.

— Wiem — powiedziałam. — Ale dajmy jej przez chwilę spokój, co? Potem pójde na górę i porozmawiam z nią. Może ją przekonam.

Przez pół godziny gapiłam się w telewizor, nie widząc programu — jak chyba my wszyscy. Cała ta historia z jej matką nie dawała mi spokoju. Po oskarżeniach wobec partnerów i ultimatum, jakie postawiła matce, nie trzeba było wyrafinowanej psychologii, by wyobrazić sobie, jak musiała podzielać na jej umysł próba samobójcza Grace. To była niedokończona sprawa najgorszego gatunku. I nie miała szans na zakończenie. Sophia była skazana na wracanie do tych strasznych wspomnień; życzyła matce wszystkiego najgorszego i jej życzenie się spełniło. I co kilka tygodni musiała spoglądać w oczy tej rzeczywistości. Choć czułam się okropnie, że tak myślę, uważałam, że lepiej by było, gdyby Grace naprawdę umarła, bo teraz i tak nikt nie miał najmniejszej nadziei na jej wyzdrowienie. Szanse po tak długim czasie były praktycznie zerowe.

Kiedy uznałam już, że odczekałam dość czasu, poszłam na górę, do pokoju Sophii. Nie mogłam znaleźć jej pigulek, więc założyłam, że zabrała je ze sobą i może nawet tyknęła, co trzeba. Zapukałam delikatnie w jej drzwi.

— Sophia? — zawołałam cicho.

— Idź sobie.

— Mogę wejść, skarbie? Chcę tylko porozmawiać.

— Nie. Idź sobie. Chcę zostać sama.

— Przykro mi, skarbie — oznajmiłam — ale muszę wejść. Jestem za ciebie odpowiedzialna i muszę wiedzieć, że nic ci nie jest.

Nie odpowiedziała na to, więc przekręciłam gałkę i pchnęłam drzwi. Leżała na łóżku, całkowicie ubrana. Światło było zgaszone, ale widziałam, że płakała, i natychmiast zrobiło mi się jej żal. Otarła oczy i usiadła na łóżku z kamienną miną.

— Jak śmiesz wchodzić, kiedy powiedziałam nie! — warknęła gniewnie. — Wynoś się! Mówię poważnie, Casey! Wynoś się! Daj mi spokój!

Wstała, a ja natychmiast zauważyłam, że nie trzyma się pewnie na nogach. Musiała oprzeć się ręką o ścianę, żeby odzyskać równowagę.

— Nie wezmę tej piguły, okej? Nie wezmę, więc się odpieprz! — Teraz już krzyczała na mnie na całego i chwiejnie ruszyła w moją stronę. Zorientowałam się, że zamierza fizycznie wypchnąć mnie z pokoju — język jej ciała nie pozostawiał wątpliwości — zaczęłam powoli cofać się za próg. — Idź sobie! — wrzeszczała piskliwie. — Idź sobie, idź sobie! — Nie mogła skupić wzroku i widziałam, że traci panowanie nad sobą. A w takim stanie była przerażająca; wiedziałam, że fizycznie nie jestem dla niej żadną przeciwniczką.

— Już dobrze, kochanie — próbowałam ją uspokoić — już w porządku. Wracaj do łóżka. Widzę, że jesteś zdenerwowana, więc wrócę na dół, okej? A ty się połóż. Patrz, już idę. Widzisz?

To ją chyba zadowoliło, bo odwróciła się i rzuciła z powrotem na łóżko. Tymczasem Mike wszedł na górę, zwabiony krzykami.

— Co się dzieje, do licha?

— Cśś — szepnęłam, gorączkową gestykulacją nakazując mu zejść z powrotem na dół.

Zrobiłam to samo, depcząc mu po piętach, i ruszyłam prosto do telefonu. — Dzwonię po pogotowie

— powiedziała, wybierając 999. — Ona jest w strasznym stanie. Boże, ta choroba to jakiś koszmar!

Dziesięć minut później — dziesięć minut, podczas których siedzieliśmy wszyscy troje, nie mając pojęcia, co możemy robić oprócz picia kawy i zamartwiania się — przyjechała karetka i wypuła dwóch ratowników medycznych, którzy, cali w uśmiechach, przejęli kontrolę nad sytuacją. Poczulałam się spokojniejsza już w chwili, kiedy wpuściłam ich za próg.

Jeden poszedł prosto na górę, a drugi zaczął wypytywać o szczegóły.

— Co pani zrobiła do tej pory? — spytał.

— Nic — odparłam. Poczulałam się jak ostatnia idiotka. — Powinnam była ją zmusić, żeby łyknęła tę pigułkę, prawda? Jakimś cudem ją w nią wcisnąć.

— Skarbie, myślisz, że pozwoliłaby ci na to w takim stanie? — sprzeciwił się Mike.

— Pewnie nie — przyznałam. Ale nie poczułam się od tego ani odrobinę lepiej.

Na szczęście sanitariusz poprawił mi samopoczucie.

— To nie jest sytuacja zagrożenia życia — powiedział, widząc mój niepokój. — Proszę nie panikować. Nic jej nie będzie. To pewnie tylko za niski poziom cukru.

— No widzisz. — Dostrzegłam ulgę na jego twarzy. — Może napijecie się panowie kawy, czy czegoś? — zaproponował, zwracając się do ratownika.

— Kawy? Kto powiedział kawa? — rozległ się głos od drzwi. — Chyba raczej czegoś mocniejszego. — Drugi ratownik szczyrzył zęby w uśmiechu. — Macie tam niezłą pannicę! Kazała mi spitalać ze swojego pokoju. Urocze. Zawsze jest taka słodka?

Napięcie trochę zelżało, kiedy sanitariusze zaczęli sobie stroić żarty w mojej kuchni. Mieli do czynienia z najróżniejszymi przypadkami i nic ich nie dziwiło. Wyjaśniłam, że jesteśmy opiekunami zastępczymi Sophii i że ciągle działamy trochę po omacku.

— To całkowicie zrozumiałe — odparł ratownik. — I może od tej pory nie będzie taka humorzasta. Strasznie mi się stawiła, więc oprócz podania tabletki trochę ją obsztorcowałem. Że napędziła wszystkim stracha i zmarnowała nasz czas. I naprawdę nie musicie się państwo przejmować czymś takim. To kwestia wycucia, a powodem do niepokoju jest stres, fizyczny stres. Jeśli ma gorączkę, powiedzmy, dostała grypy albo ma biegunkę czy wymiotuje, wtedy musicie zadzwonić do lekarza, żeby zwiększył jej dawkę leku. Kolejną sprawą jest oczywiście stres emocjonalny. Ciało nie rozróżnia gorączki od psychicznej traumy, wpadnie we wstrząs tak czy siak. Więc powtarzam, w razie wątpliwości dzwońcie do lekarza albo dajcie jej więcej sterydów. Macie zestaw do zastrzyku? — Kiwnęłam głową. — Więc proszę się nie bać go użyć. Wbić, szybko wcisnąć i po sprawie.

Poczulałam, że blednę, ale sanitariusz wyszczerzył się radośnie.

— To się zdarza bardzo rzadko — wyjaśnił. — Więc pewnie nie będzie pani musiała. Powtarzam, proszę się nie martwić. Ale lepiej wiedzieć z góry, czego się można spodziewać.

Uśmiechnęłam się, słysząc to. Ech, gdybyśmy z Mikiem wiedzieli z góry...

— Strasznie przepraszam, że was wezwałam — powiedziałam. — To wszystko jest dla nas zupełnie nowe i nie wiedziałam, co mam robić.

— Nie, nie, postąpiła pani absolutnie słusznie, pani Watson. I zawsze jesteśmy do usług. Od tego jest pogotowie. Ale będziemy już lecieć... aha, a sprawozdanie z wizyty trafi do pani lekarza domowego. I życzę dobrej nocy. Proszę nie leżeć bezsennie i się nie zamartwiać. Z małą już wszystko dobrze.

Ale z nami nie było dobrze. Odprowadziłam ratowników, a kiedy wróciłam do kuchni, żeby zaparzyć nam po jeszcze jednej kawie, miny Kierona i Mike'a uderzyły mnie, jakbym dostała w twarz. Obaj siedzieli w milczeniu, przerażeni i osłupiali, i nagle pomyślałam: czy zasłużyli sobie na to wszystko? To była moja praca. Moja odpowiedzialność. Tak, obaj stali przy mnie jak skała. A Mike przeszedł ze mną szkolenie — nie mogłabym się zdecydować na opiekę zastępczą bez stuprocentowego wsparcia męża. Ale, tak z ręką na sercu, czy nie wymagałam od moich bliskich zbyt wiele? To nie było tylko przynoszenie pracy do domu — praca to był dom. Opieka zastępcza

polegała przecież na tym, że brało się do tego domu dziecko, by mieszkało z nami i było wspierane przez naszą rodzinę. Ale czy moje pragnienie naprawienia czegoś tak naprawdę nie psuło bezpowrotnie czegoś innego? Czy nie skazywało moich najbliższych na więcej, niż się pisali? Na to wszystko?

Na początku z Justinem było bardzo ciężko. Dla nas wszystkich było to coś nowego i musieliśmy się przystosować. Ale ten przypadek wyglądał zupełnie inaczej. Przy Justinie miałam jasny plan i mogłam czerpać z całego swojego doświadczenia, a z Sophią zupełnie straciłam grunt pod nogami. I nie chodziło tylko o chorobę, ale o całą tę sytuację. Ta dziewczyna była tak skomplikowana, tak nieprzewidywalna, tak trudna do opanowania. Autentycznie nie wiedziałam, od czego zacząć.

Mike musiał dostrzec rozpacz na mojej twarzy.

— Przestań się zdręzczać, kochanie. To nie twoja wina. Wszyscy wiemy, że nie możemy sobie wybierać dzieciaków, które nam przysyłają.

— Wiem — powiedziałam, mechanicznie parząc kolejne kawy. — Ale nie mogę przeżyć, że ty i Kieron musicie być świadkami tego wszystkiego. W szkole było inaczej. Wiem, czasem opowiadałam wam o niektórych dzieciach. Ale to na was nie wpływało. Nie w taki sposób.

— Mamo, przecież to twoja praca — powiedział Kieron. Miałam ochotę go za to uściskać. — Wszyscy wiedzieliśmy, że będziemy mieć w domu dzieciaki z problemami, nie? Nikt nigdy nie mówił, że to będzie sama przyjemność. Ale gdybyś ty nie robiła tego, co robisz, to gdzie podziałyby się takie dzieci jak Sophia? Gdyby nie tacy ludzie jak ty, mamo, lądowałyby w zakładach zamkniętych, zgadza się?

Kiwnęłam głową, ale ze smutkiem. Mój syn, który jeszcze dwa lata temu był taki niewinny, znał już język opieki społecznej i wiedział wszystko o dzieciach wyrzuconych na śmietnik. I miał rację. Dzieci, do opieki nad którymi nas wyszkolono, były odrzutami. Były to dzieci z tak potężnymi problemami psychicznymi, wykazujące tak „nietypowe” zachowania (to się nazywa niedopowiedzenie, co?), że nikt inny, dosłownie, nie chciał ich mieć pod swoim dachem.

— Będzie lepiej — pocieszył Mike. — Na pewno. I pamiętaj, że ona będzie u nas bardzo krótko. Kiedy Jean wyzdrowieje, weźmie ją z powrotem, a my wrócimy do normalnego życia. A w każdym razie — wyszczerzył się radośnie — tak normalnego, jakie może być w tym domu. A kiedy to już nastąpi, to myślę, że powinniśmy sobie urządzić miłe, małe wakacje. Wszyscy razem. Razem z Riley, Davidem i małym Levim.

— Super — powiedział Kieron. — Genialny pomysł, tato. Pojedziemy w jakieś fajne, gorące miejsce. No dobra. To kiedy ona zniknie?

Wybuchnęliśmy wszyscy śmiechem i poczułam się o wiele lepiej. Może jednak to wszystko nie wpływało na moich bliskich aż tak bardzo, a nawet jeśli, to byli gotowi zacisnąć zęby. Więc kimże ja byłam, żeby to kwestionować? Postarajmy się jakoś przeżyć ten koszmarny weekend, pomyślałam, kładąc się do łóżka. Zapadłam w zdrowy sen. Skąd mogłam wiedzieć, że po weekendzie będę kwestionować absolutnie wszystko?

Rozdział 10

W niedzielę obudziłam się o szóstej, ale wizja czekającego mnie dnia była tak ponura, że kiedy tylko oprzytomniałam, stroskany mózg nie pozwolił mi już zasnąć. Choć nie dotyczyło to mnie osobiście, w perspektywie zawiezienia dwunastoletniej dziewczynki na wizytę u matki pogrążonej w śpiączce było coś bardzo niepokojącego. Cała ta sytuacja wytrącała mnie z równowagi, choć nie potrafiłam powiedzieć dlaczego. Nie wiedziałam, czy wejdziemy tam z Sophią, ale podejrzewałam, że raczej tak. To z pewnością będzie ciężkie przeżycie i ona będzie potrzebowała naszego wsparcia.

Ale jak to będzie, wejść tam i zobaczyć matkę Sophii w takim stanie? W głowie miałam obraz zaczerpnięty z całych lat oglądania medycznych seriali — kobiety leżącej nieruchomo na łóżku, podpiętej do różnych urządzeń, w śmiertelnej ciszy zakłócanej tylko rytmicznym psykaniem respiratora. Co się robi podczas takich odwiedzin? Czy Sophia z nią rozmawia? Czy ma poczucie beznadziei całej tej sytuacji? A co z przyszłością? Jaki to ma na nią wpływ z psychologicznego punktu widzenia? To wszystko wydawało mi się lekko makabryczne i dziwaczne. Nic nie mogłam na to poradzić.

Ale myślenie o przyszłości nie było moim zadaniem. Ja musiałam się skupić na tu i teraz. Bezszelestnie wyślizgnęłam się z łóżka i zeszłam na dół, w towarzystwie zachwyconego Boba, który potrafiłby usłyszeć spadającą szpilkę. Ja czułam się jak półtrup, on jak milion dolarów. Pieskie życie, pomyślałam. Chętnie bym się z nim zamieniła.

Sobota, o dziwo, okazała się całkiem udanym dniem. Sophia zeszła na dół wcześniej, w dobrym humorze, natychmiast przeprosiła zażenowana za swojego „focha” z poprzedniego wieczoru, po czym, kiedy już odrobiła lekcje, z radością poszła ze mną do Riley. Bawiła się z Levim przez większą część popołudnia, dzięki czemu ja i Riley mogłyśmy sobie porządnie poplotkować. Oczywiście nie mogłyśmy chwilowo pogadać o moim najważniejszym zmartwieniu, ale może i dobrze. Nie chciałam jej tym obarczać.

Potem wszyscy poszliśmy do restauracji z żeberkami — było to wyjście zaplanowane specjalnie dla Sophii, bo była to jedna z jej ulubionych sieciówek. I spędziliśmy tam miły, nieskomplikowany wieczór. Może powinnam się do tego przyzwyczaić w tej huśtawkowej egzystencji. Po prostu fajnie byłoby nie dostawać na odlew tak mocno i tak często — odrobinę dłużej pozostawać po tej miłszej stronie.

Kiedy już zrobiłam sobie kawę i wypuściłam Boba, usiadłam z laptopem (jako że poprzedniego dnia nie miałam ani chwili dla siebie) i napisałam do Johna Fulshawa e-mail ze szczegółowym opisem wydarzeń piątkowego wieczoru.

Kiedy miałam to już z głowy — a stwierdziłam z osłupieniem, że minęła prawie godzina — zabrałam się do kucharzenia. Zdecydowałam się na angielskie śniadanie, bo czekała nas długa droga, a lunch mógł nas w ogóle ominąć. Nie miałam pojęcia, jak będzie wyglądać ta szpitalna wizyta.

Kieron nie pokazał się, kiedy zaczęłam smażyć bekon, ale zapach ściągnął na dół Sophię i Mike’a.

— Boże, nie ma nic piękniejszego niż zapach smażonego bekonu — powiedział Mike, stając za mną, żeby mnie uściskać. — Głodna, skarbie? — dodał, odwracając się do Sophii, która siadła już przy stole.

Kiwnęła głową, ale nie mogła odpowiedzieć, bo była właśnie w trakcie potężnego ziewu.

— Rany — parsknął Mike. — To tunel pod La Manche?

— Bardzo śmieszne, cha, cha — odparła, robiąc do niego minę. Ale sympatyczną.

Odetchnęłam w duchu. Wyglądało na to, że jest w dobrym humorze.

A już z pewnością miała apetyt, bo w mgnieniu oka opróżniła talerz i nawet zerwała się z nim od stołu z propozycją, że pozmywa. Pokręciłam głową.

— Nie, ty idź na górę, skarbie, i szykuj się. Mike pozmywa. Musimy ruszać za pół godziny.

— Nie da się przewidzieć jej nastrojów, co? — zauważył Mike, kiedy poszła do siebie, żeby się ubrać. — Dzisiaj jest wesoła jak skowronek. Jakby zupełnie wyparła świadomość, dokąd

jedziemy.

— Wiem — powiedziałam. — Może to mechanizm obronny? A może po prostu nie chce dopuścić faktów do świadomości. Może naprawdę czepia się nadziei, że jej mama się obudzi. Bo przecież to się zdarza, prawda? Rzadko, bo rzadko, ale się zdarza. Myślę, że na jej miejscu właśnie tego bym się trzymała.

— Ale czy rzeczywiście jest jakieś prawdopodobieństwo? — spytał Mike. — Jakie są szanse? Z tego, co mówił John, chyba nikt inny na to nie liczy. No dobra — dodał, wstawiając ostatni talerz na ociekacz. — Idę wskoczyć pod prysznic. Im szybciej pojedziemy, tym szybciej wrócimy do domu.

Sama podróż upłynęła nam dość miło. Matka Sophii leżała w specjalistycznym hospicjum w Derbyshire, jakieś sto czterdzieści kilometrów na południe od nas. Hospicjum funkcjonowało przy dużym szpitalu i gościło przewlekle chorych, ale też osoby w stanie wegetatywnym i w długotrwałej śpiączce. Szczerze mówiąc, jazda przeleciała jak z bicza strzełił — słuchaliśmy sobie z Mikiem Radio 2, naszej ulubionej stacji, i graliśmy w grę, która często zabawiała nas podczas długich podróży: naszą własną wersję *Jaka to melodia*. Ścigaliśmy się, które pierwsze odgadnie tytuł kolejnej piosenki. Sophia podłączyła się do iPod'a, jak tylko wyruszyliśmy, i całą drogę spędziła w słuchawkach, na wpół śpiąc. W połowie drogi zrobiliśmy sobie krótką przerwę (głównie po to, żebym mogła zapalić), ale i tak dojechaliśmy na miejsce z niezłym zapasem czasu do dziesiątej, na którą umówiona była wizyta.

Od zewnątrz budynek wyglądał bardzo sympatycznie, trochę przypominał wiejski dom, schowany za zimną bryłą szpitala. Miał też duży ogród, latem z pewnością pełen kwiatów, i drugi, z kaczą sadzawką i stołami piknikowymi. Mimo to — tak jak przewidywałam — było to miejsce, w którym nikt raczej nie chciał spędzić dużo czasu. Personel wspaniale się postarał, ale nie dało się zamaskować oczywistego faktu, że ludzie trafiają tutaj, by umrzeć.

Więc nie było to miłe miejsce dla dwunastolatki, która musiała wracać tu regularnie, dumałam, kiedy przedstawialiśmy się w recepcji i czekaliśmy na wypisanie przepustek dla gości. Wnętrze było tak samo zimne i sterylne jak każdy szpital.

— Dzień dobry — powiedziała recepcjonistka do Sophii, jakby z lekkim ociąganiem. — Co u ciebie? — Odniosłam wrażenie, że za nią nie przepada.

— Wszystko dobrze, dziękuję — odparła uprzejmie Sophia. — Mama jest gotowa na wizytę?

Skrzywiłam się lekko. Ta „mama” zabrzmiała jakoś nie tak. Z jakąś udawaną afektacją. Założyłabym się, że pracownicy hospicjum też przypięli Sophii łatkę zmanierowanej pannicy, jak wszyscy, z którymi rozmawialiśmy. Ale sam fakt, że ludzie tak źle ją odbierają, wywoływał we mnie tym większą determinację, by odkryć, co się pod tym wszystkim kryje.

— Tak, jest gotowa — potwierdziła recepcjonistka. — Wykąpana i pachnąca. Ale możesz jej wyszczotkować włosy, jeśli masz ochotę.

— Dzięki — rzuciła Sophia, wciąż oschła i sztywna. — Chodź, Casey, chodź, Mike. Za mną.

Obejrzałam się na recepcjonistkę, kiedy Sophia chwyciła mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Kobieta kręciła głową. Ze smutkiem? Nie potrafiłam tego ocenić.

Matka Sophii leżała w samodzielnym pokoju, ostatnim z całego rzędu, pomalowanym na biało jak cała reszta pomieszczeń i urządzonym bardzo funkcjonalnie. Choć jedną ze ścian zdobiły dwa abstrakcyjne obrazy, a z okien był ładny widok na ogród, w pokoju było niewiele mebli poza łóżkiem — jednym z tych regulowanych hydraulicznie i zapobiegających odleżynom. Były tu krzesło, nocna szafka z odtwarzaczem CD, a pod oknem mały stolik i jeszcze dwa plastikowe krzeselka. W odróżnieniu od pozostałych pokoi, które minęliśmy, tutaj nie było śladów wizyt kochających gości. Żadnych kartek z życzeniami, żadnych kwiatów, żadnych pluszaków. Jedynym „domowym” akcentem była kwiecista narzuta na kołdrze.

Ale w pierwszej chwili tylko pobieżnie zarejestrowałam te wszystkie szczegóły, bo moja

uwaga skupiona była na matce Sophii. Grace leżała na łóżku podłączona do jakiegoś urządzenia, zapewne respiratora. Wyglądała niemal pięknie z długimi, spływającymi z poduszki włosami i z cerą bez skazy. Była bardzo podobna do Sophii i wyglądała na ledwie odrobinę starszą. Nic dziwnego, że ludzie brali je za siostry — bo naprawdę wyglądały jak rodzeństwo. I mimo tego jej pozornego spokoju w tej chwili, potrafiłam wyobrazić je sobie razem... ich kłótnie o chłopaków... Ciekawe, ile lat miała Grace, kiedy urodziła Sophię. Zgadywałam, że musiała być młoda, bardzo młoda. I jak długo leży tutaj, zakłęta w czasie? Ta myśl sprawiła, że dreszcz przebiegł mi po plecach, ale i wzruszyła mnie. Taka tragedia. I zostało po niej to biedne, pokaleczone dziecko. Prawdę mówiąc, w pierwszej chwili nie mogłam oderwać od niej oczu. Wyglądała tak idealnie, że trudno było uwierzyć, w jak ciężkim jest stanie. Jediną wskazówką, że w ogóle jest chora — nie licząc aparatury — były dziwnie powykręcane kończyny. Widać było, że jej nogi pod przykryciem leżą pod dziwnym kątem. Jej ręce spoczywały na kołdrze — dłonie były skierowane do góry i zgięte, jakby chciała coś w nie złapać.

Sophia chyba zauważyła, że się gapię.

— Jest cudna, prawda? I nie przejmuj się jej rękami. Zrobiły się takie już dawno temu.

Podobno to normalne.

— Ach tak — powiedziałam, idąc do krzesel pod oknem. Nagle poczułam się nieswojo, jakbyśmy naprawdę byli tu intruzami. To była bardzo osobista sprawa między matką a córką i czułam, że powinniśmy się usunąć.

Złapałam Mike'a za rękę i pociągnęłam go w stronę krzesel. On jeszcze się nie odezwał. Był równie wstrząśnięty, jak ja.

— Nie przeszkadzaj sobie, kochanie, rób, co zwykle robisz — odezwałam się do Sophii, kiedy usiedliśmy. — Wzięłam gazety dla siebie i Mike'a. Zapomnij, że tu jesteśmy.

Pogrzebałam w torbie i wyjęłam swoje plotkarskie czasopisma. Podałam jedno Mike'owi.

— Porady życiowe i gwiazdy pop? Cudownie — powiedział.

Plasnęłam go dłonią w kolano i zgromiłam spojrzeniem mówiącym „nie zaczynaj”.

Otworzyłam własną gazetkę i zaczęłam udawać, że czytam. Ale nie mogłam się skupić. To wszystko było zbyt dziwaczne. Sophia włożyła płytę do odtwarzacza CD, dzięki czemu mieliśmy jakiegokolwiek tło dźwiękowe, za które byłam szczerze wdzięczna. Nucąc pod nosem, przechyliła się nad łóżko i zaczęła szczotkować włosy Grace. Może właśnie tak wyglądały te wizyty, pomyślałam. Sophia szczotkowała mamie włosy i nuciła do wtóru muzyki. Ale już po chwili miałam się przekonać, że jestem w błędzie.

Moją uwagę zwrócił jakiś dźwięk. Czytałam i nagle usłyszałam kłaśnięcie. Uniosłam głowę i osłupiałam, widząc, że słuch mnie nie mylił. Sophia uderzyła matkę w twarz. Policzek już czerwieniał. Nagle zrobiła to jeszcze raz.

— Obudź się, wredna suko! — wysyczała. — Nie sądzisz, że pokutuję już wystarczająco długo?

— Sophia! — rzuciłam przestraszona. — Co ty wyprawiasz? Natychmiast przestań!

Jakby mnie nie usłyszała. Przeszła na drugą stronę łóżka i zupełnie innym tonem, w którym brzmiała szczerza troska, powiedziała:

— Och, biedna mamusia. Jesteś taka smutna. Proszę cię, mamusiu, obudź się, zrób to dla mnie. Kocham cię.

Mike patrzył na mnie potwornie zmieszany. Poklepałam go po kolanie. Sophia znów umilkła. Może lepiej było nie zaangażować sytuacji.

— Nie wtrącajmy się jeszcze — szepnęłam. — Chyba już wróciła do siebie.

A nawet jeśli nie, to przynajmniej zachowywała się tak, jak można by się tego spodziewać. Zaczęła płakać, bardzo cicho, ale słyszalnie. Głaskała matkę po rękach.

— Popatrz na siebie — powiedziała. — Cała powykręcana i połamana. Och, mamusiu, dlaczego zrobiłaś coś takiego?

Przygotowana na kolejny wybuch obserwowałam ją uważnie, ale nagle kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Odwróciłam się i zobaczyłam twarze dwójki ludzi w podeszłym wieku — para stała na korytarzu i zaglądała do pokoju przez szybę w drzwiach. Trąciłam Mike'a; widząc to,

Sophia spojrzała w tę samą stronę, co my. Patrzyła na nich przez chwilę, po czym odwróciła oczy. Ale tamci dwoje nie. Stali tak, gapiąc się na nią, jeszcze przez dobrą minutę.

— Co to za ludzie, Sophio? — spytał Mike, kiedy wreszcie sobie poszli. — Znasz ich?

— Nie — odparła ze wzruszeniem ramion. — Nie mam pojęcia, kto to jest. — Masowała teraz ręce matki, ale wyglądało na to, że z powrotem jest z nami w pokoju; minął jej ten dziwny trans. Wróciliśmy więc do czytania, kątem oka obserwując, co się dzieje, i chwala Bogu działo się tylko to, czego można było się spodziewać. Sophia przetarła wilgotną gąbką twarz matki, potem ramiona i dłonie, po czym wyjęła z torebki lakier do paznokci, obcinaczkę i pilnik i zaczęła robić jej manikiur. Właśnie kończyła, kiedy do pokoju zajrzała pielęgniarka.

— Przepraszam, że przeszkadzam — powiedziała — ale pora na prywatny czas Sophii.

— Ach tak — szepnęłam. — Jasne...

— Zawsze robiliśmy to dla niej. Ostatnie dziesięć minut lubi spędzać sam na sam z mamą...

— Oczywiście — zgodziłam się, wstając razem z Mikiem. Widziałam, że nie mógł się już doczekać, by się stąd wynieść.

— Może zechcecie państwo w tym czasie przejść się po ogrodzie — zaproponowała wesoło pielęgniarka. — Jeszcze jest sucho... i nie za zimno...

— Tak, oczywiście — odparłam. Ale chowając czasopisma do torby, myślałam: dziwne. Przecież mogła być z matką sam na sam, gdyby chciała? A może jednak nie. Ostatecznie miała dopiero dwanaście lat. Może te dziesięć minut, tak jak czas spędzany sam na sam z lekarzem, było ustępstwem, o które musiała poprosić. Bo dlaczego miałyby tego nie chcieć? Musiała mieć wrażenie, że nie ma żadnej kontroli nad własnym życiem.

— Idziemy na parking — powiedziałam do Mike'a, kiedy już wyszliśmy. — Muszę zapalić.

Wyszliśmy przez frontowe drzwi, i, ignorując ogród, ruszyliśmy prosto do samochodu, gdzie zostawiłam zaopatrzenie.

— To było dziwne, co? — powiedział Mike, kiedy zapaliłam papierosa.

— Jeszcze jak — odparłam. — Szczerze mówiąc, ciężko mi się odnaleźć w tej całej sytuacji. Ty tak nie masz? Och, popatrz. — Wskazałam drugi koniec parkingu. — Tamten niebieski samochód. Czy to nie ci starsi państwo, którzy zaglądali przez drzwi?

— Chyba masz rację — przyznał Mike. Staliśmy i patrzyliśmy, jak wyjeżdżają z miejsca parkingowego. — I zdaje się, że jadą tutaj.

Miał rację. Chwilę później zatrzymali się przy nas i starszy pan, który siedział za kierownicą, opuścił szybę.

— Wy jesteście nowymi opiekunami Sophii? — spytał szorstko Mike'a. Więc jednak ją znali.

— Przepraszam — powiedziałam, zszokowana jego tonem. — A państwo to kto?

— Jesteśmy jej dziadkami — odparł. — Tam leży nasza córka.

— Ach tak — zaczął Mike.

Kobieta na siedzeniu pasażera pochyliła się do okienka przez męża.

— Tak, i leży tam przez nią.

— Przez nią? — rzuciłam osłupiała, bo kobieta dosłownie wypluła te słowa. — O co pani chodzi?

— Och, wszyscy się dowiedzą. W końcu się dowiedzą. To wyjdzie na jaw. Popamiętacie moje słowa.

Wciąż jeszcze nie zdążyłam ogarnąć faktu, że ci ludzie to dziadkowie Sophii. Że ona jednak ma jakichś krewnych. I to, sądząc z wyglądu, całkiem szacownych. To nie była żadna patologiczna rodzina, jak rodziny wielu dzieciaków, z którymi miałam do czynienia. Ale dlaczego nam o nich nie powiedziano? I dlaczego Sophia się do nich nie przyznawała? Może coś źle zrozumiałam. Może ta kobieta mówiła o którejś z pielęgniarek, bo zdenerwował ją jakiś aspekt opieki nad córką.

Schyliłam się, żeby ją dobrze zobaczyć.

— Jeśli chcecie państwo porozmawiać z Sophią, to wyjdzie za parę minut. Ale jeśli o

cokolwiek się państwo martwicie, to niepotrzebnie. Sophia... — Co ja wygaduję? — Sophia świetnie sobie radzi.

Kobieta patrzyła na mnie wściekłym wzrokiem.

— Myślicie, że nas to obchodzi? Powiem ci, młoda damo, że jedyne, co nas martwi, to to, że ta dziewczyna jeszcze chodzi wolno po świecie! — Wyglądała, jakby była na granicy hysterii. — Co ona na was ma?! — krzyknęła. — No, co takiego?

Jej głos zmieniał się w piskliwy skrzek i przybierał na sile; jej mąż, również wzburzony, objął ją i delikatnie posadził na miejsce. Po czym, nie odzywając się do nas więcej, odjechał.

A my zostaliśmy na parkingu, oniemiaли ze zdumienia.

W końcu odezwał się Mike:

— Co to miało...? — Nie musiał kończyć. Myślałam dokładnie to samo.

Rozdział 11

John, ja naprawdę potrzebuję więcej informacji o tej rodzinie. Miotamy się tu całkowicie po omacku.

Była połowa tygodnia — naszego czwartego tygodnia — a ja byłam coraz bardziej sfrustrowana brakiem jakichkolwiek postępów. Na litość boską, gdzie były akta Sophii? Leżały w jakimś sejfie, utajnione przez MI5? Czułam, że mam związane ręce; nie wiedząc, z czym mamy do czynienia, nie mogliśmy wiedzieć, jak postępować, żeby cokolwiek osiągnąć. Dlatego wstrzymywałam się przed jakąkolwiek dyskusją z Sophią na temat niepokojących wydarzeń w szpitalu. Ona sama, wydawało się, była nimi zupełnie nieprzejęta i w poniedziałek poszła sobie do szkoły, jak gdyby nigdy nic, puszczając wszystko w niepamięć. Co oczywiście świetnie robiło atmosferze w domu, dopóki trwało, ale w żaden sposób nie pomagało nam jej pomóc.

— Wiem — jęknął płaczliwie John. — Robię, co w mojej mocy, Casey, naprawdę. Ale biorąc pod uwagę to, co mi powiedziałaś, chyba powinienem robić więcej, niż jest w mojej mocy, co?

— No, ja myślę! — odparłam. — A nawet jeszcze więcej!

Oboje się roześmialiśmy, ale wiedziałam, że John wie, że mówię całkiem poważnie. Coś, co miało być chwilowym przechowaniem dziecka, powoli zmieniało się w koszmar, który pożerał nasze życie.

I nasze myśli. Wyjechaliśmy z hospicjum z głowami pełnymi pytań i żadnego z nich nie mogliśmy przedyskutować, mając Sophię w samochodzie. Ona sama wyszła z budynku tuż po odjeździe starszych państwa. Prawdopodobnie widziała część naszej dziwacznej wymiany zdań, choć wątpiliśmy, by cokolwiek słyszała. Ale kiedy wsiadła do samochodu, nie wspomniała o tym ani słowem, a my, jakbyśmy się umówili (może po tylu latach małżeństwa porozumiewaliśmy się telepatycznie), jakoś nie mieliśmy ochoty bombardować jej pytaniami.

Ale jedno było jasne, jak to stwierdziliśmy, kiedy już położyliśmy się do łóżka i mogliśmy swobodnie rozmawiać: obojgu nam kłębiły się po głowie te same czarne myśli. Insynuacja dziadków, a szczególnie babci, była jasna: to Sophia była odpowiedzialna za to, co spotkało ich córkę. Ale czy to mogła być prawda? Czy Grace zawdzięczała swój straszny stan Sophii? Czy to nie była próba samobójcza, a zupełnie coś innego? To Sophia zepchnęła ją ze schodów?

Ale na razie, kiedy starałam się czekać cierpliwie (no, może nie tak cierpliwie) na bardziej konkretne informacje o przeszłości Sophii, zanosilo się na to, że nasze życie z Sophią tu i teraz będzie wystarczająco pełne przygód.

Była kolejna niedziela po błogosławionym, pozbawionym incydentów tygodniu; Mike i ja przygotowaliśmy śniadanie w kuchni. Wizytę w szpitalu mieliśmy już za sobą (i liczyliśmy, że następną Sophia odbędzie już z Jean), więc dzień zapowiadał się całkiem miło, a ja czułam się zdumiewająco beztroska. Powinnam była wiedzieć, że to nie zapowiada nic dobrego.

Dzieciaki nie zeszły jeszcze na dół, więc oddałam dowodzenie Mike'owi i wymknęłam się do oranżerii na ukradkową fajkę. Zapalając papierosa, pomyślałam: kiedy Sophia już zniknie, naprawdę się postaram. Wprowadzę w życie nowy plan rzucania nałogu.

— Cześć, Casey! — Odwróciłam się i zobaczyłam Sophię w drzwiach.

— Cześć, skarbie — odparłam. — Chcesz kawy? Mike parzy w kuchni.

— No ba, pewnie. Ładny dzień, prawda?

Kiwnęłam głową.

— Ale trochę za zimno, żeby schodzić na dół bez szlafroka. — Była w spodniach od pizamy, ale wróciła do obcisłej koszulki na ramiączkach, w której, biorąc pod uwagę rozmiar jej biustu, wyglądała dość wyzywająco. Ale pomalutku, krok za kroczkiem, pomyślałam. To najlepsza metoda. — Wiesz co — powiedziałam — włóż szlafrok, to może zjemy śniadanie tutaj.

— Spoko, nie jest mi zimno. Chyba pójde po tę kawę. Do zobaczenia za chwilę. — Wróciła do środka.

Dopiłam swoją kawę, dopaliłam papierosa i poszłam do kuchni, żeby zająć się głównym

zadaniem: smażeniem sadzonych jajek. To ja zajmowałam się jajkami, bo byłam ekspertem od wybijania ich. Mike zawsze rozrywał przynajmniej połowę żółtek. Stał teraz przy blacie i zabierał się do przygotowania tostów; wszystko pozostałe schował do piekarnika, żeby nie wystygło. Sophia stała obok niego, nalewała sobie kawy i nuciła razem z Rihanną, która leciała w radiu. Zaczęłam wybijając jajka na wielką patelnię.

— Sophio, skarbie — odezwała się — jak już skończysz, możesz pójść na górę i zawołać Kierona?

Stałam plecami do niej, skupiona na jajkach, by nie poprzebijać żółtek. Kiedy nie odpowiedziała po chwili, odwróciłam się, przekonana, że poszła już po Kierona. Zamiast tego ujrzałam Mike'a, który upuścił posmarowanego masłem tosta na podłogę i gapił się na Sophię z otwartymi ustami. Zdziwiłam się.

— Oj, niezdara — zażartowałam, schylając się, żeby podnieść chleb. Bo on jakoś nie miał zamiaru. I wyglądało na to, że zaraz się dowiem dlaczego.

— Złapała mnie od tyłu! — wykrztusił w końcu, celując palcem w Sophię.

Spojrzałam na nią. Wyszczrzyła się w uśmiechu.

— Mike, chyba trochę przesadzasz! Zmacałam cię? Ja cię tylko kolnęłam palcem w bok!

— Powiedziałem, że mnie złapałaś, nie zmacałaś. I dobrze wiesz, co zrobiłaś! A teraz sio po Kierona, jak cię prosiła Casey.

Odwrócił się z powrotem do blatu i widziałam, że gotuje się ze złości. Ale Sophia najwyraźniej nie mogła czy też nie chciała dać mu spokoju. Odstawiła kawę, podeszła do niego powoli, kołysząc biodrami, i stanąwszy za nim, opłotła rękami jego klatkę piersiową. Po czym przylgnęła do jego pleców. Teraz to ja gapiłam się z otwartymi ustami.

— Co ty wyprawiasz, do cholery! — huknął Mike, odrywając od siebie jej ręce i odsuwając się, byle dalej od niej. Posłał mi zdesperowane spojrzenie. — Jak śmiesz zachowywać się tak w tym domu! — krzyczał na nią. — Jazda do siebie i ubierz się. Możesz zejść na śniadanie, kiedy będziesz gotowa zachowywać się jak należy. Jazda! Na górę! W tej chwili!

Sophia przewróciła oczami.

— Wyluzuj, kurwa! Nie mogę nawet uściskać mojego zastępczego tatusia za to, że mi zrobił śniadanie?

— Nie możesz! Nie w twoim wieku, do cholery! — Wskazał jej drzwi. — Wyjdź w tej chwili.

Sophia uniosła ręce w górę, jakby miała dość.

— Dobra — powiedziała. — Ale powinnaś wiedzieć, Casey — teraz spojrzała na mnie — że wszyscy faceci są tacy sami. Ja dobrze wiem, jacy są.

Po czym tanecznym krokiem wyszła z kuchni i potruchtała na górę.

Mike wyciągnął sobie krzesło spod stołu i usiadł ciężko. Trząsł się.

— Casey, przysięgam, kiedy stałaś plecami do nas, podeszła do mnie od tyłu, wsunęła mi rękę między nogi i... no, dosłownie chwyciła mnie w garść. — Miał przerażoną minę. — To się stało błyskawicznie. W jednej chwili stała sobie... — Pokręcił głową. — To było takie... bezwstydne. Stała sobie, nalewała kawę z najbardziej niewinną miną świata... W głowie się nie mieści.

Byłam przerażona.

— Wiem. Miałam ochotę dać jej w twarz, ledwie się powstrzymałam. Ale, Boże, Mike, mnie też się to nie mieści w głowie. Że jest taka bezczelna i robi takie rzeczy. Przecież to jeszcze dziecko...

— Uwierz mi, Casey — odparł Mike. — Ta dziewczyna nie jest dzieckiem. Doskonale wiedziała, co robi.

W tej chwili do kuchni wszedł Kieron.

— Hej — powiedział. — O co te krzyki? — Ruchem głowy wskazał schody. — Wiecie, że Sophia znowu gada do siebie? Tym razem wyzywa od najgorszych własną osobę. Aż ciarki chodzą po plecach. Co jest grane?

Zostawiłam wyjaśnienia Mike'owi, wiedząc, że zrobi to w bardziej zrównoważony sposób,

a sama poszłam na górę, żeby się ubrać. Teraz i ja słyszałam, jak Sophia mamrocze do siebie w swoim pokoju, nazywając się „głupią, pieprzoną zdzirą” i „cholerną dziwką”. Musiałam stawić jej czoła, ale najpierw potrzebowałam wziąć prysznic, uspokoić się i pomyśleć przez chwilę. Na litość boską, co myśmy mieli zrobić z tym dzieckiem? Nie mogliśmy dopuszczać, żeby działy się takie rzeczy, a poza tym to stawiało na głowie cały obraz sytuacji. Czy robiła coś takiego chłopakom swojej matki? Oczywiście to nie usprawiedliwiałoby żadnych ich zachowań — nigdy — ale ta dziewczyna sama narażała się na niebezpieczeństwo i stawiała w roli ofiary oportunistycznych seksualnych drapieżników!

Ale jeszcze bardziej martwiłam się o Kierona. Mike potrafił sobie poradzić w większości sytuacji, a poza tym my dwoje byliśmy w tym wszystkim przeszkoleni. Byliśmy nastawieni na to, że wiele z dzieci, które do nas trafią, miało kontakt z seksem i przemocą od najwcześniejszych lat. Musieliśmy być przygotowani na to, że pokaleczone psychicznie dzieci będą wykazywać przerażające i niewłaściwe zachowania. Ale Kieron o to nie prosił i nie powinien musieć tego znosić. Byłam pewna, że kiedy się dowie, co Sophia zrobiła Mike’owi, wystraszy się jeszcze bardziej — przecież to on zwrócił mi uwagę, że jesteśmy narażeni na oskarżenia o molestowanie.

Weszłam pod prysznic i wsunęłam twarz pod strumień gorącej wody. Biedny Kieron! W pierwszych miesiącach z Justinem przeżył tyle ciężkich chwil i wiedziałam, że miał nadzieję, że to się nie powtórzy. A ja chciałam móc go zapewnić, że tak wygląda schemat. Że z czasem niemal zawsze robi się lepiej.

Kiedy wyszłam z sypialni, Sophia wciąż robiła swoje.

— Pieprzona dziwka! Właśnie tym jesteś, Sophio! — usłyszałam. — Brudna, pieprzona kurwa. Popatrz na siebie, no już, dobrze się przyjrzyj, suko!

To był aspekt jej zachowania, który najbardziej zbijał mnie z tropu. Nie tyle jej działania, ile właśnie to. To mówienie do siebie. O tym nie wspominało na szkoleniu. Byliśmy opiekunami zastępczymi, nie psychiatrami. A to wyglądało raczej na pole działania dla nich, a nie dla mnie i Mike’a. Znow ję zostawiłam, bo nie wymyśliłam jeszcze, co zrobić. Zeszłam do Mike’a i Kierona.

— No więc, dalej to robi — powiedziałam, dodając do tego uśmiech, by choć trochę zmiękczyć napiętą atmosferę. — Gawędzi ze sobą w lustrze!

Ale Kieron nie był w nastroju do żartów.

— Mamo — powiedział. — Co zrobimy? Właśnie mówiłem tacie... nie wspominałem o tym wcześniej, bo nie chciałem was denerwować, ale ona łązi po piętze w samej bieliźnie. Czeka, aż usłyszy, jak wychodzę z pokoju, a potem zachowuje się, jakby to było przypadkiem. Ale nie jest. Więc zawracam do pokoju i siedzę tam, dopóki ona sobie nie pójdzie. Bo ona to robi celowo. Jestem pewien.

Serce zaciążyło mi jak kamień.

— Nie wiem, co zrobimy, kochanie. Chciałabym wiedzieć, ale nie wiem. Muszę porozmawiać o tym wszystkim z Johnem. On zresztą miał się dowiedzieć czegoś więcej. A na razie będziemy musieli być bardzo ostrożni, szczególnie wy dwaj. Unikać dwuznacznych sytuacji.

— Jasna cholera, Casey! — rzucił Mike z żarem. — Nie powiedziałbym, że smarowanie tosta masłem we własnej kuchni to dwuznaczna sytuacja!

— Wiem — odparłam. Mike miał rację. To nie było takie proste. — Chciałabym wiedzieć, co zrobić, ale nie wiem. Ale natychmiast złożę raport o tym incydencie i, jak powiedziałam, porozmawiam z Johnem i...

— Proszę, proszę, ślicznie. — Była to Sophia. — Mała rodzinna narada? Na mój temat? Nie usłyszeliśmy, jak schodzi na dół.

— Sophia... — zaczął Mike gniewnie.

— Nie, Mike, proszę, pozwól mówić mnie. Może Casey nie wie, co zrobić, ale ja wiem. Trzymanie waszego zбочzonego syna z daleka od mojej sypialni mogłoby być dobrym początkiem.

— Ty mała, kłamliwa krowo! — krzyknął Kieron. — Jak śmiesz mówić takie rzeczy? Wierz mi, najchętniej nie zbliżałbym się do ciebie na kilometr!

Ona tylko wyszczerzyła do niego zęby.

— Widziałam, jak na mnie patrzysz. Nie możesz oderwać ode mnie oczu. Nigdy wcześniej

nie widziałeś cycków, czy co?

— Sophia! — krzyknęłam niemal na całe gardło, by odciągnąć jej uwagę od Kierona. Wiedziałam, że muszę ją powstrzymać, zanim Kierona poniesie do reszty. — Nie wiem, w co się bawisz, ale w tym domu to nie zadziała! Sugeruję, żebyś się odwróciła, poszła na górę i została tam, bo jeszcze chwila i naprawdę stracę panowanie nad sobą!

Zerknęłam na Kierona. Wyglądał, jakby mógł ją zabić tu i teraz. Nigdy wcześniej nie widziałam go tak wściekłego. Sophia powiodła po nas złym wzrokiem, jakbyśmy stanowili jakiś obrzydliwy widok, po czym wyszła z kuchni i z tupotem pobiegła na górę. Huknęła drzwiami sypialni z taką siłą, że dom się zatrzęsł. Przemknęło mi przez głowę pytanie, ile jeszcze zniosą nasze drzwi przez tę moją robotę, ale widok miny Kierona mną wstrząsnął. Teraz wyglądał, jakby miał ochotę się rozplakać.

— Nie słuchaj, co ona mówi, kocie — rzuciłam pospiesznie. — Najwyraźniej tak wygląda jej *modus operandi*. Wiem, że to trudne do zniesienia, ale, jak widzisz, jest bardzo poharatana psychicznie i to jasne, że po prostu się miota...

— Nie obchodzi mnie to, mam! — odparł. — Nie może mówić o mnie takich rzeczy. Lauren jest bardzo wyrozumiała, ale pewnie zaczęłyby się zastanawiać...

— Nie bądź niemądry, kochanie — powiedziałam stanowczo. — Lauren wie, jakie dzieci do nas trafiają. Zrozumiałaby, że to bzdury.

— Mama ma rację, synu — dodał Mike. — Lauren nie jest głupia.

— Ale nie o to chodzi. Ja sam nie mogę tego znieść. To dla mnie piekielny stres. Mam wrażenie, że nie mogę mieszkać we własnym domu, że cały czas muszę się oglądać przez ramię! Nie, już się zdecydowałem. Pomieszkać przez jakiś czas u Lauren. Przynajmniej dopóki tata nie pozakłada zamków w drzwiach.

Mike kiwnął głową.

— On ma rację, Case — stwierdził. — Wiem, że to gówniane rozwiązanie, ale może Kieron rzeczywiście powinien trochę pomieszkać u Lauren. Przez parę dni, dopóki nie wymyślimy z Johnem, jak sobie z tym radzić. A ja w tym czasie zamontuję zamki we wszystkich sypialniach. Nie możemy tak żyć, kochanie, po prostu nie możemy.

Patrzyłam ponuro na syna i męża. Czy przez moją pracę tak będzie wyglądać nasze życie? Czy będziemy musieli godzić się na to, żeby nasz syn zamykał się w sypialni ze strachu, co się może zdarzyć? Do głowy przyszło mi zdanie, które długo nie chciało mi dać spokoju: oto więzienni strażnicy stawali się więźniami.

Próbowałam się otrząsnąć z tych ponurych myśli, złapać właściwą perspektywę. Przecież nie byliśmy więziennymi strażnikami, których zadaniem było izolowanie przestępcy. Byliśmy opiekunami — wyszkolonymi opiekunami — nieszczęśliwych dzieci. I ona była dzieckiem, nikim więcej, tylko dzieckiem. Tylko potwornie skrzywdzoną dwunastoletnią dziewczynką.

W poniedziałek rano obudziłam się tak nieszczęśliwa, że zaczęłam wątpić we własne zdrowe zmysły. Byłam rannym ptaszkiem. Zawsze. O takich jak ja mówią ludzie skowronki. Zawsze byłam pierwsza na nogach, przy wrzeszczącym radiu, z gotowym śniadaniem. Ale dziś moja pierwsza myśl po przebudzeniu była tak smętna, że aż się przestraszyłam. Wczoraj wieczorem mój ukochany syn spakował się i opuścił dom. Nie na zawsze, wiedziałam to — i przecież niedługo i tak miał go opuścić naprawdę — ale bolesne były okoliczności tej wyprowadzki. Opuścił dom, bo ja go do tego zmusiłam. Oczywiście nie wprost, nie bezpośrednio, ale i tak była to moja wina, powodem była moja decyzja, która wciągnęła w jego życie dzieci takie jak Sophia.

Tak czy inaczej zwlokłam się z łóżka (Mike wyszedł już do pracy) i zesłam na dół, pełna nadziei, że mizerne lutowe słońce choć trochę poprawi mi nastrój. Musiałam też pamiętać, że to wszystko nie jest winą Sophii. I ona nie prosiła się o to, żeby u nas wylądować. Była szczęśliwa (choć „szczęśliwa” to nie było w tych okolicznościach właściwe słowo) u Jean i pod jej opieką czuła się bezpieczna. No właśnie, ale jak to jest z tą Jean? O co tak naprawdę chodziło? Miałam dziś tyle do omówienia z Johnem Fulshawem, że przemknęło mi przez głowę, czy nie zrobić sobie listy.

Nastawiłam śniadanie, kiedy usłyszałam prysznic na górze. Właśnie ostrożnie wyjmowałam z garnka jajka w koszulkach, kiedy Sophia zeszła na dół. Muszę uczciwie przyznać, że w szkolne poranki nie sprawiała żadnego kłopotu. Zawsze wstawała na budzik, była ubrana i gotowa na czas. Iluż rodziców dałoby sobie obciąć lewą rękę za taki luksus?

— Dzisiaj jajka na śniadanie — powiedziałam odwrócona plecami do niej, nakładając je na talerze. — U ciebie wszystko dobrze, skarbie?

W odpowiedzi usłyszałam mamrotanie, więc odwróciłam się i zobaczyłam, że grzebie w szkolnej torbie przy stole. Zauważyłam, że twarz ma ściągniętą i jest jakby lekko rozmamłana w porównaniu ze swoim zwykłym, dopracowanym wyglądem.

— Dobrze się czujesz? — spytałam ją. — Wzięłaś już tabletki?

— Och, na litość boską, nie możesz mi dać spokoju na pięć minut? — warknęła na mnie z irytacją. — Nie, jeszcze ich nie wzięłam, okej? Bo mnie mdli.

Usiłowałam przypomnieć sobie, co czytałam w ulotkach na temat mdłości.

— Ale czy to nie znaczy, że właśnie musisz je łyknąć?

Przewróciła oczami.

— Och, więc teraz ty jesteś ekspertem, tak?

Postanowiłam zignorować nieuprzejmość i skupić się na addisonie. Wciąż wiedziałam o jej chorobie o wiele za mało. I nie miałam najbledszego pojęcia, czy mam rację.

— Słuchaj, kochanie — powiedziałam. — Skoro tak, to chyba powinnam zadzwonić do szkoły i zapowiedzieć, że przyjdiesz później. Poczekajmy, aż poczujesz się na tyle dobrze, żeby iść.

Zrobiła minę osoby zmęczonej całym światem.

— Nic mi nie jest, Casey, naprawdę. Czasami po prostu tak się czuję. Wezmę te pigułki w szkole. Obiecuję. Jak tylko będę wiedziała, że je utrzymam w żołądku.

Zakonotowałam sobie w głowie, żeby zadzwonić do jej lekarza prowadzącego albo kogokolwiek ze szpitala i poradzić się prawdziwego eksperta, co mam robić w razie mdłości. Było tyle informacji, tyle różnych aspektów tej choroby, że powinnam zrobić z niej drugi fakultet.

— Okej, kochanie — powiedziałam, mimo wszystko stawiając przed nią śniadanie. — Przykro mi, że się źle czujesz. Może jeśli spróbujesz coś skubnąć, zrobi ci się lepiej. Może to za niski cukier?

— Może — odparła. — Mam nadzieję.

Zjadła bardzo niewiele, ale przecież nie mogłam jej zmusić. Przypomniałam jej więc tylko, by w razie potrzeby zjadła paczkę orzeszków. Wysłałam z nią do przedpokoju, żeby pomachać jej na pożegnanie i życzyć dobrego dnia, jak to miałam w zwyczaju. Wiedziałam, że te drobne rytuały są ważne, nawet jeśli ona ich nie doceniała. Pomagały dać jej poczucie bezpieczeństwa, którego, jak podejrzewałam, bardzo brakowało w jej młodym życiu.

Zaskoczyło mnie, kiedy przez chwilę ociągała się w drzwiach; wyczułam zmianę nastroju.

— Casey, przepraszam za wczoraj — powiedziała, potwierdzając moje przypuszczenie. — Naprawdę. Jeszcze się na mnie gniewasz?

— Nie, skarbie. Nie gniewam się. Tylko nie wiem, co myśleć. Widzisz, znam Mike'a i Kierona tak dobrze, jak znam siebie i wiem, że to wszystko, co mówiłaś, bardzo ich zdenerwowało. Rzecz w tym, że nasza rodzina nie jest taka. I to boli, kiedy ktoś rzuca takie uwagi.

Przygryzła wargę i skinęła głową.

— Naprawdę strasznie mi przykro. To miał być tylko żart. Tak się zaczęło. Ale poszło za daleko, co?

— Obawiam się, że tak, skarbie. I to nie był szczególnie zabawny żart, prawda?

— No, nie był.

— Ale wiesz co, spóźnisz się na sprawdzanie obecności, jeśli zaraz nie pójdziesz. Może porozmawiamy o tym jeszcze, jak wrócisz do domu? Naprawdę już się nie gniewam i bardzo się cieszę, że przeprosiłaś. To było bardzo dojrzałe.

Rozchmurzyła się na te słowa.

— Oki doki — rzekła z szerokim uśmiechem. — To do zobaczenia niedługo.

I poszła, znów wesoła jak szczygieł, przynajmniej z pozoru. Sprawa zamknięta. Odmachnęłam jej ostatni raz, po czym zamknęłam drzwi i patrzyłam przez okno, jak truchta ulicą — wcielenie niewinnej uczennicy. To dziecko naprawdę było enigmą, dumałam. W jednej chwili drapieżna, zmysłowa kusicielka, w następnej mała dziewczynka, istny anioł. Czy ona sama w ogóle wiedziała, kim jest? Nie wydawało mi się.

Chwilowo odpuściłam sobie zmywanie i ruszyłam prosto do telefonu. Najwyższa pora zadzwonić do Johna Fulshawa. Niech ma udany poniedziałek.

Rozdział 12

John cierpliwie wysłuchał mojej relacji z wydarzeń poprzedniego dnia.

— I chodzi mi nie tyle o te niewłaściwe zachowania seksualne — powiedziałam mu. — Mam mnóstwo doświadczenia z dziećmi przedwcześnie rozbudzonymi seksualnie. Chodzi mi o inne rzeczy, które robi. To mówienie do siebie. To wygląda, jakby wpadała w jakiś trans, chyba nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. A potem staje się kimś innym, jak za naciśnięciem pstryczka. John, wydaje mi się, że ona potrzebuje pomocy. Psychiatrycznej, znaczy. Udało ci się znaleźć coś więcej na jej temat?

— Niestety nic konkretnego na temat oskarżeń o molestowanie. Jak na razie. Ale udało mi się przynajmniej ustalić trochę więcej faktów na temat jej rodziny.

— Genialnie — odparłam, siadając na dolnym schodku. — Dawaj.

— Smutna historia — zaczął. — Zresztą, jak wszystkie. Ale zaczyna się od tego, że jej mama urodziła ją w wieku szesnastu lat.

— To mnie nie zaskoczyło. Wyglądała mi na niewiele starszą od Riley.

— Bo tak jest. Ile ma teraz lat? Dwadzieścia osiem? Tak czy inaczej ojciec, jak już wiesz, nigdy nie był obecny w jej życiu. Zdaje się, że nikt go nie widział i nie słyszał o nim od tej jednorazowej przygody. Być może nawet nie wiedział, że Grace jest w ciąży. Wiemy za to, że dziadkowie nie posiadali się ze wstydu. Kiedy Grace zaszła w ciążę, mieszkali w całkiem innej części kraju, ale przeprowadzili całą rodzinę, cały dom, tutaj, w nasze strony. Włącznie z młodszym bratem. To ten człowiek, który na początku wziął Sophię pod opiekę, jej wujek James, który zresztą nie był zachwycony tą przeprowadzką. Ożenił się młodo i wyniósł z żoną jak najdalej od tego wszystkiego.

— Od czego wszystkiego?

— Od rodziców. Przynajmniej tak mówią ludzie z opieki społecznej. Podobno byli bardzo surowi. Szczególnie matka. I dobrze sytuowani. Wręcz bardzo zamożni. I to chyba prawda, bo zainstalowali Grace i małą Sophię w oddzielnym mieszkaniu i materialnie niczego jej nie brakowało.

— Trochę to dziwne.

— Też tak pomyślałem. Ale podobno tak to właśnie wyglądało. O ile wiemy, Grace nigdy nie pracowała. Żyła z pieniędzy rodziców. Sophia też miała w zasadzie wszystko, czego chciała... przynajmniej z materialnego punktu widzenia. Co by wyjaśniało, dlaczego sprawia wrażenie takiej rozpieszczonej. Tak jak mówisz, dziwny układ. No i oczywiście w końcu zdiagnozowano u niej chorobę Addisona... nie wiem, kiedy dokładnie, ale dość wcześnie, więc ta sprawa pewnie była dość istotnym czynnikiem.

— I z taką młodą matką, na dodatek samotną... — Obraz zaczynał się wyostrzać. — Ciekawe, czy rodzice je wspierali? Bo kiedy nas tak napadli, wyglądali na zdruzgotanych, szczególnie babcia.

— Otóż z rozmów z wujkiem wynikało, że Grace była dla nich czymś w rodzaju brudnej tajemnicy. Stąd ta przeprowadzka setki kilometrów dalej. I choć ona i Sophia miały środki na utrzymanie, w zasadzie nie miała życia. Ładna, młoda dziewczyna, mająca wszystko przed sobą, i tak dalej... ale bez żadnego planu na życie, bez żadnej pomocy opiekująca się chorym dzieckiem. Mam przeczucie, że Grace sama była małą księżniczką mamusi, która zbrukała sobie koronę, zachodząc w ciążę. A sama wiesz najlepiej, Casey, że zasypywanie pieniędzmi dziecka z problemami często jeszcze pogarsza sprawę. Gdyby musiała włożyć choć trochę wysiłku w zadbanie o siebie, może byłaby bardziej zmotywowana. Znalazłaby pracę, ułożyłaby sobie życie.

Przestałaby myśleć wyłącznie o sobie i może skupiłaby się na dziecku, pomyślałam.

— Masz rację — przytaknęłam.

— Ale tak nie miała właściwie żadnego celu w życiu, a na dodatek, z tego, co mówią, była dość rozwiązła. Ładna dziewczyna. Niekończący się strumień chłopaków. I wszyscy, na czele z bratem, twierdzą, że czuła ogromną niechęć do Sophii za to, że mała zrujnowała jej życie. Dziadkowie zresztą też. — John westchnął. — Wiem, że ciągle widzimy takie sytuacje, ale

człowiek się na to nie znieczuła, co? Biedne dzieciaki. W każdym razie właśnie dlatego brat wziął ją do siebie po wypadku matki. Nie miał wyjścia. Bo dziadkowie praktycznie się jej wyrzekli.

— To przerażające. A potem on zrobił to samo.

— To nie do końca było tak. Myślę, że wcale nie chciał. Ale po prostu sobie z nią nie radził. To wielka różnica. Ciężarna żona, to chore dziecko, cały ten bagaż z rodzicami...

— Pewnie tak. Jeśli jej obecny stan może być jakąś wskazówką, to miał z nią niezłe urwanie głowy. A skoro już o tym mowa, jak się miewa Jean?

— Ehm, szczerze mówiąc, nie wiem. Chyba w porządku. A w każdym razie nie słyszałem, żeby było inaczej. Teraz ważniejsze jest, jak ty się miewasz. Dajesz radę?

— Ledwie — odparłam. — I wcale nie jestem szczęśliwa z powodu tej historii z Kieronem.

— Wiem — powiedział John. — I strasznie mi przykro, że cię na to naraziłem. Wiem, że ci ciężko... Ale spokojna głowa. Masz podpisaną umowę o bezpiecznej opiece i...

— John, wiesz równie dobrze jak ja, że to tylko kartka w teczce. Nie znaczy nic, kiedy dzieją się takie rzeczy jak wczoraj.

— Wiem, Casey. Słuchaj, coś mi przyszło do głowy. Myślisz, że pomogłoby, gdybym do was wpadł i sam porozmawiał z Sophią? No wiesz, gdybym wyjaśnił jej bardzo jasno i stanowczo, co jest do przyjęcia, a co nie?

— Nie sądzę, żebyś cokolwiek wskórał, John. Ona już przeprosiła za wczoraj i powiedziała jej, że jest po sprawie. Problem w tym, że ona tak naprawdę wcale nie chce robić i mówić tego wszystkiego. To jest jak odruch Pawłowa. Wyuczone zachowanie. I po tym, co mi powiedziałeś, wszystko pasuje. A do tego dochodzi choroba Addisona. Wiesz o niej cokolwiek? — John przyznał, że nie. — Ale ja wiem. Czytałam o tym, ile się dało, jak się pewnie domyślasz. I występuje przy tym pewien objaw, który nazywa się „splątanie”. To by chyba pasowało, nie sądzisz? Ale czytałam też, że w nielicznych przypadkach, w warunkach ekstremalnego stresu, u pacjentów mogą się rozwinąć choroby psychiczne. Depresja, nawet psychoza.

— To brzmi poważnie.

— No właśnie. — Spojrzałam na zegar na ścianie przedpokoju. Poranek zniknął o wiele za szybko. — Słuchaj, nie martw się, okej? — powiedziałam. — Chcę tylko, żebyś o tym wszystkim wiedział. Radzimy sobie. Ale dobrze wiedzieć, że jesteś w zasięgu telefonu, John. I świetnie, że mam teraz lepszy wgląd w jej przeszłość. To bardzo pomoże.

— A ja ciągle działam w tej sprawie. Próbujemy namierzyć akta z nocy, kiedy zdarzył się wypadek. Zobaczmy, co nam to da. A tymczasem...

— Będę się trzymać, John. Nie martw się.

Rozmowa z Johnem napełniła mnie pozytywną energią. Historia Sophii wyjaśniła mi parę spraw i z pewnością pozwoliła mi spojrzeć na jej zachowania w szerszej perspektywie. Cóż za koszmarny wstęp do życia. Ale czy nie było tak zawsze? Urodziła się w piekielku, którego nie stworzyła sama, a które zrobiło z niej niemal potwora. Biedne dziecko. Nic dziwnego, że miała problemy, które wymagały terapii.

Postanowiłam sobie twardo, że od tej chwili będę się skupiać na pozytywnych aspektach. Już niedługo, może za parę tygodni, Sophia wróci do swojej stałej opiekunki. A do tego czasu ja postaram się zrobić dla niej, co w mojej mocy.

Wstałam ze schodów, rozprostowałam nogi i zakasałam rękawy. Przyszła pora na przedwiosenne sprzątanie. Nie było dla mnie bardziej oczyszczającego zajęcia niż walka z brudem. Podkręciłam radio — przecież w domu nie było nikogo, kto mógłby się wkurzać, prawda? — i postanowiłam, że wysprzątam dom na błysk.

Po jakichś dwóch godzinach pracy usłyszałam, że dzwoni telefon. Byłam akurat w oranżerii, bo zrobiłam sobie krótką przerwę na szklankę mleka, więc musiałam pędzić biegiem do przedpokoju, by zdążyć odebrać. Byłam zgrzana i spocona mimo pory roku, bo porządnie się przykładałam do roboty, i kiedy już złapałam słuchawkę, musiałam otrzeć pot z czoła.

— Pani Watson? Casey? Mówi Tina Williams...

O Boże. Szkoła. Tina była szkolną sekretarką i znałam ją dobrze z czasów, kiedy tam

pracowałam.

— O rety — sapnęłam. — Zabrzmiało groźnie, Tino. Co się stało?

— Ona miała jakiś atak, zdaje się. Czy zasnęła. Nie bardzo wiemy. Oczywiście zadzwoniliśmy po karetkę, ale nie wiemy, jak długo im zezdziej, więc chcielibyśmy, żebyś ty też przyjechała, bo nie ma tu nikogo, kto mógłby jej podać ten zastrzyk.

— Oczywiście — powiedziałam, a serce znów zaciążyło mi jak głaz. — Już jadę. Dajcie mi dziesięć minut, okej?

— Jasne — odparła Tina. — Do zobaczenia za chwilę.

Zaczęłam się miotać po domu, ściągając fartuch, łapiąc torebkę i kluczyki. Przypomniało mi się, że chciałam rano dzwonić do jej lekarza i kompletnie wyleciało mi to z głowy. Najpierw zajęłam się Johnem, a potem byłam zbyt zajęta sprzątaniem. Głupia baba! — zbeształam się w duchu.

Im bliżej do szkoły, tym bardziej byłam zdenerwowana. Tyle było gadania, że to się najpewniej nigdy nie stanie, i proszę, stało się — działa się naprawdę! Sophia być może leżała tam nieprzytomna. I — jeśli karetka nie zjawi się przede mną — to była moja broszka. Być może sama będę musiała wstrzyknąć jej lek sterydowy i na tę myśl robiło mi się słabo. Słuchać od ludzi, jakie to proste, to jedna sprawa, ale musieć to komuś zrobić, to już zupełnie co innego.

Ale może to wcale nie będzie konieczne. Gorączkowo szukałam w głowie właściwych wskazówek, co robić, w nadziei że te godziny, które przesłęczałam nad ulotkami, przydadzą się teraz, kiedy ich potrzebowałam. Musiałam wyjąć strzykawkę, wcisnąć tłoczek, wbić igłę w buteleczkę, naciągnąć płyn, wypchnąć bąbelki powietrza, po czym wbić igłę w jej udo. Muszę to zrobić szybko, zdecydowanie, a potem mocno i stanowczo nacisnąć tłoczek. Lek powinien zadziałać w dziesięć, piętnaście minut. Tak to szło? Mniej więcej? Tak, właśnie tak. Tak wyglądała kolejność czynności. Dam radę. Dam radę. Dam radę.

Ale kiedy wjechałam przez szkolną bramę, ogarnęła mnie fala ulgi. Karetka była już na miejscu. Złapałam torebkę, wyskoczyłam z auta i wbiegłam przez frontowe drzwi. Przy odrobinie szczęścia mogłam liczyć, że ktoś to już zrobił.

Wpisałam się do księgi wejść i Tina zabrała mnie do poczekalni gabinetu pielęgniarki, gdzie przywitał mnie uśmiechnięty ratownik medyczny. Gdzie byłby świat, gdyby nie tacy ludzie? — pomyślałam z wdzięcznością.

— Wszystko z nią dobrze? — spytałam.

— Nic jej nie jest, pani Watson. Mój kolega jest tam z nią teraz — powiedział, wskazując gabinet. — I trochę ją sztorcuje, szczerze powiem. Ona doskonale wie, jak panować nad swoją chorobą, powiedziała nam to bardzo dobitnie, i cała dumna poinformowała nas, że wiedziała, że to się stanie, jeśli będzie wymiotować i nie zareaguje od razu.

— Wymiotowała? Tak mi przykro — powiedziałam. — To właściwie moja wina. Rano nie chciała wziąć tabletek, bo mówiła, że ją mdli. Powinnam była zatrzymać ją w domu, prawda? Zadzwonić do lekarza. Ale obiecała mi, że łyknie leki, jak przyjdzie do szkoły, i nie wyglądała na bardzo chorą, więc... Boże, ależ ze mnie idiotka!

Sanitariusz był bardzo miły i współczujący.

— Powiem pani, że rozmawiałem z nią ledwie dziesięć minut — zapewnił mnie — i już widzę, że to mała, uparta manipulanka. Nie powinna pani czuć się winna. Wiele dzieci z przewlekłymi chorobami zachowuje się, nazwijmy to, dość głupio w tym wieku. To ich sposób na udowodnienie, że panują nad chorobą, a nie odwrotnie. Ale wyrastają z tego, niech się pani nie martwi. Szybko się orientują, że o wiele łatwiej jest znaleźć sposób na dogadanie się z chorobą.

To, co mówił, miało sens, i chyba po raz pierwszy poczułam tak naprawdę, z czym Sophia musi żyć na co dzień. Na pewno czuła się inna od rówieśników, przez cały czas musiała monitorować stan własnego ciała, i to w wieku, kiedy dziecko powinno być bez troski.

Z tą myślą weszłam do gabinetu. Natychmiast podeszłam do niej i uściskałam ją.

— Och, kochanie — powiedziałam. — Strasznie się martwiłam. Jak się czujesz?

Oplotła mnie ramionami i zaczęła płakać.

— Casey, przepraszam — wyszłochała. — Możemy jechać do domu? Proszę cię. Jestem

strasznie zmęczona.

Spojrzałam na ratownika, który skinął głową.

— Możecie jechać — potwierdził. — I proszę jej podawać dużo płynów do końca dnia. Ale coś sobie wyjaśniliśmy, prawda, młoda damo? Że kiedy znów będzie wymiotować, musi komuś powiedzieć. Bo następnym razem może nie mieć tyle szczęścia.

Poczułam, że Sophia sztywnieje w moich ramionach, kiedy to powiedział. Powoli odsunęła się ode mnie, otarła oczy i spojrzała wprost na sanitariusza.

— Tak, dziękuję za przypomnienie, Andrew — rzuciła lodowatym tonem. — Ale chyba wiem, jak działają moje hormony. Po robocie, chłopaki. Pa, pa. Do następnego.

— Sophia! — zachłysnęłam się, zszokowana jadem w jej tonie. — To było absolutnie nie na miejscu! Ci panowie przyjechali, żeby ci pomóc!

Ale ratownicy medyczni zupełnie się tym nie przejęli. Z minami mówiącymi „już to przerabialiśmy” skinęli mi głowami na pożegnanie i wyszli, zostawiając mnie osłupiałą. Jak Sophia mogła potraktować ich tak niegrzecznie?

Sama Sophia po prostu klapnęła z powrotem w moje objęcia.

— Proszę, możemy już jechać do domu? — spytała słabym, błagalnym głosem. — Naprawdę jestem zmęczona. Czuję się okropnie.

Tina też posłała mi spojrzenie — mówiące wyraźnie „O Boże, współczuję ci!” — i odprowadziła nas do drzwi z kolejnymi papierami w garści. Był to raport z wizyty karetki, który miałam dołączyć do dokumentacji. Kiedy już położyłam Sophię do łóżka i poszłam schować kartkę do teczki, przeszło mi przez głowę, że jak na krótkoterminowy pobyt, jej dossier szybko przybiera na wadze.

Podobne rozmyślenia zajęły mi większą część popołudnia. Kiedy Sophia spała, a ja kończyłam sprzątanie, myślałam o jej szokującej nieuprzejmości. Czy to naprawdę było zachowanie rozpieszczonego bachora, manipulacja czy coś jeszcze innego? Te incydenty sprawiały wrażenie tak nieplanowanych, przypadkowych, niespodziewanych. I bardzo często już w chwilę potem Sophia wydawała się zupełnie ich nieświadoma. Z pewnością była nieświadoma, do jakiego stopnia jej zachowanie było niewłaściwe — było to jasne za każdym razem, kiedy za nie przeproszała. Owszem, było jej przykro, ale chyba nigdy nie miała jasnego pojęcia, jak bardzo przekroczyła granice. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie jesteśmy wszyscy za bardzo zajęci załamywaniem rąk z szoku i przerażenia, by usłyszeć, co tak naprawdę mówi nam ta dziwna, trudna dziewczyna.

Czy to był krzyk o pomoc? I czy naprawdę nikt z nas go nie słuchał?

Rozdział 13

Kolejne dwa tygodnie minęły jak we mgle. Mieszkanie z Sophią było jak jazda na nieznaną kolejkę górskiej — nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy zdarzy się kolejna pętla głową w dół. Kiedy była w dobrym nastroju, przebywanie z nią było prawdziwą przyjemnością — była zabawna, roześmiana i naprawdę kochana. Ale kiedy przychodziła mroczna chwila, robiła się pełna jadu, trzaskała drzwiami — moje biedne drzwi! — krzyczała i przeklinała, i wściekła uciekała do pokoju. Potrafiła kłać jak szewc i w takim nastroju najwyraźniej sprawiało jej to przyjemność; czasem klęła nas, czasem samą siebie. To przychodziło bez żadnej prowokacji, bez znaków ostrzegawczych. Tylko kiedy nie wzięła leków o wyznaczonej porze, wiedziałam, że zaraz nastąpi przemiana osobowości. W takich chwilach robiła się zgrzana, niepewna na nogach i gadała bzdury. A ja stałam się ekspertką od dostrzegania tych znaków, co było pewną pociechą. Ale te huśtawki nastrojów i wybuchy gniewu nie wynikały tylko z choroby Addisona. Teraz, kiedy wiedziałam już, w jakich okolicznościach wylądowała pod naszą opieką, byłam pewna, że potrzeba czegoś więcej niż paru tabletek, żeby ją wyprowadzić na prostą.

Ale na bieżąco sprawy zaczynały przybierać trochę lepszy obrót. Mike, tak jak obiecał, pozakładał zamki w drzwiach pokoi i Kieron — też zgodnie z obietnicą — wrócił do domu. W połowie marca (dwa tygodnie po powrocie) spytał Sophię, czy nie wybrałaby się na kręgle z nim i Lauren. Sądzę, że próbował odbudować dobre stosunki z małą ze względu na mnie; był to bardzo miły gest z jego strony i byłam z niego naprawdę dumna.

Sophia też wydawała się szczerze ucieszona, że ją zaprosił.

— To jak, Casey, mogę iść? — spytała mnie.

— Oczywiście że możesz — odparłam.

— Tobie też się przyda przerwa ode mnie — dodała, uśmiechając się do mnie psotnie. — Będziesz mogła spokojnie pomyśleć, co będziemy robić w moje urodziny.

— Hej — skarcił ją Kieron. — Jedna niespodzianka naraz, panienko. A tak właściwie to kiedy masz urodziny? Chyba nie jakoś niedługo?

— Kieron! — krzyknęła na niego żartobliwie. — Doskonale wiesz, kiedy mam urodziny! Są wypisane wielkimi literami w kalendarzu!

Była to prawda. Sophia na moje zaproszenie zapisała datę wielkimi, ozdobnymi literami, zarówno fioletowym mazakiem. I miło było widzieć, że cieszy się na swoje urodziny tak samo jak każda inna dwunastolatka.

— On cię tylko wkręca, kochanie — powiedziałam. — Nie zwracaj na to uwagi. I masz rację. Lepiej, żebym się do tego wzięła, co?

Sięgnęłam do torebki, by dać jej trochę pieniędzy na wyjście. Kiedy wyciągałam portmonetkę, Sophia zaskoczyła mnie: podeszła do mnie od tyłu i pocałowała w policzek.

— Dzięki, Casey — szepnęła. — Jesteś najlepsza.

Machałam za nimi z uśmiechem, ucieszona, że wszyscy są szczęśliwi, ale kiedy zamknęłam drzwi, ogarnęła mnie fala smutku. Bo to były tylko pozory. Jak dowiodły nasze doświadczenia ostatnich tygodni, takie dni nie mogły być normą. Sophia miała zbyt wiele problemów. Tak rozległych ran psychologicznych nie da się pozalepiać plasterkami. Ale takie dni pokazywały mi przynajmniej, jak to wszystko mogłoby wyglądać, gdyby udało nam się wziąć za bary z przeszłością i pomóc jej uporać się ze wszystkim.

Wróciłam do kuchni, zastanawiając się, czy brać się do sprzątanego. Mike został wezwany do pracy i miał wrócić dopiero za parę godzin. Nie, pomyślałam, dzisiaj oprę się pokusie przywdziania fartuszka. Zadzwońię do Riley i spytam, czy jest wolna. Rzeczywiście musiałam się zastanowić, co zrobić na urodziny Sophii, a że była sobota, istniała spora szansa, że David będzie w domu i zajmie się Levim i że Riley będzie mogła skoczyć ze mną do miasta na dwie godzinki.

Mimo wszystkich ciężkich przeżyć ostatnich paru tygodni zostawienie sobie planowania urodzin Sophii na ostatnią chwilę było zupełnie niepodobne do mnie. Uwielbiam imprezy urodzinowe, a właściwie wszystkie rodzinne imprezy, i każdy kto miał szczęście (czy też pecha!)

znaleźć się w naszej rodzinie, mógł liczyć na to, że zaliczy celebry w stylu Casey. Szczególnie lubiłam urządzać kinderbale — z całym tym wycinaniem, klejeniem, malowaniem i brokatem były moim konikiem. W zeszłym roku wyprawiłam Justinowi urodziny życia: prawdziwe garden party z *Małą Syrenką* jako tematem przewodnim, z wypożyczonym basenem ogrodowym i autentyczną piaszczystą plażą. Gdyby przyznawano nagrody za totalnie zwariowane i idiotycznie przesadzone imprezy, z całą pewnością miałabym szanse.

— Więc jaki motyw mamy tym razem? — chciała wiedzieć Riley, kiedy już usadowiliśmy się w naszym ulubionym bistro i wcinałyśmy zupę cebulową i grzanki z serem. — Co ci chodzi po głowie? Co ją w ogóle kręci?

— Hm — powiedziałam zamyślona. — Widzisz, tak się składa, że to trudne pytanie.

— Oj, no zastanów się, mamo. Musi być coś, co ona lubi.

— Ta, chłopaki! — rzuciłam z irytacją. — Ale poza tym...

— Więc sprawa jest prosta. Urządzimy coś à la wieczór panieński. Skrzyknijemy paru kumpli Kieron z uczelni. Przebierzemy ich za chippendale'ów i każemy im zatańczyć do tej piosenki Toma Jonesa... Chociaż, po namyśle, hm. Może jednak nie.

Żarty żartami, ale rzeczywiście miałam zagwozdkę z tematem przyjęcia. Tak bardzo skupialiśmy się na trudnościach powodowanych przez jej fizyczną chorobę i emocjonalną niestabilność, że mieliśmy bardzo mało czasu na to, by tak zwyczajnie, po prostu poznać to dziecko. Sophia stwierdziła, że w prezencie chce dostać komórkę, i jej zespół opiekuńczy się na to zgodził. Co było dość niezwykle. Dzieci pod opieką zastępczą zwykle nie dostają pozwolenia na komórki, jako że kontakt z biologicznymi rodzinami musi być ściśle monitorowany dla ich własnego dobra. W przypadku Sophii tak nie było, i pewnie dlatego się zgodzili. Przecież nie mogła w tajemnicy wydzwaniać do matki.

Ale w końcu coś sobie przypomniałam. W formularzu, który dla nas wypełniła, napisała, że bardzo lubi musicale.

— Była nawet parę razy w Londynie — powiedziałam Riley — i widziała parę wielkich przedstawień na West Endzie.

— No więc po sprawie — odparła Riley, która natychmiast zaczęła się zapalać do zadania. — O tak. Już to widzę. Jaskrawe światła, kostiumy, sceniczny makijaż, soundtrack... Możemy zmienić parter w Moulin Rouge albo w scenę *Upiora w operze*... gdzie to się dzieje? Albo w slumsy wiktoriańskiego Londynu i zrobić *Oliviera*. Ja będę Nancy, a Kieron może być Billem Sykesem, byłby w tym dobry...

— *Wicked!* — powiedziałam.

— Nie no, w ten weekend nie mogę...

— Nie, *Wicked*. Musical pod tytułem *Wicked*. To jej ulubiony. Była na spektaklu.

Pamiętam, że mi mówiła. Zabrali ją wujek i ciocia, kiedy się nią opiekowali. Tak, to na pewno był *Wicked*.

Riley zrobiła smutną, zamyśloną minę.

— To taka tragedia, że rodzina ją porzuciła.

— Prawda — zgodziłam się z nią. Ale nie chciałam psuć sobie radosnego nastroju. Było bardzo prawdopodobne, że i tak nie potrwa długo, więc zamierzałam się nim cieszyć, póki jest. — Ale nie myślmy o tym teraz — powiedziałam. — Myślmy o wesołych sprawach.

— Masz absolutną rację, mamo. Myślmy o przyjęciu. Cokolwiek się stanie, nie możemy jej wypuścić z pazurów bez porządnej imprezy w stylu Watsonów.

Ale zanim poszliśmy do sklepu z akcesoriami na przyjęcia, najpierw musiałam ją zaciągnąć do salonu z telefonami przy tej samej ulicy, żeby mogła zrobić to, czego ja nie potrafiłam: sensownie porozmawiać ze sprzedawcą na temat komórki do kupienia. Dla jaskiniowej kobiety jak ja telefon jest telefonem, jest telefonem, jest telefonem — czymś, czego używa się do dzwonienia i wysyłania SMS-ów. Ale, najwyraźniej, nie. Wyszliśmy stamtąd z czymś, co wyglądało niezłe — było różowe i wysadzone brylancikami — a przede wszystkim robiło wszystko to, co powinien robić telefon, czyli pstrykało zdjęcia, kręciło filmy i obsługiwało „apki”. Dla mnie to wszystko była greka (telefon pewnie tłumaczył też z greckiego na nasze), ale Riley zapewniła

mnie, że jak na dzisiejsze czasy ubiliśmy świetny interes, mimo iż na widok ceny prawie dostałam zawąłu.

Ale choć moja karta bankomatowa nie mogła sobie jeszcze odpocząć, to przynajmniej reszta zakupów była dla mnie bardziej swojskim terytorium. Sklep z akcesoriami imprezowymi znałam jak własną kieszeń. Riley zresztą też. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

— No dobra — powiedziała. — *Wicked*. Najpierw musimy pomyśleć o kolorystyce. Przede wszystkim zielony, czarny i biały. Zielone, czarne i białe balony, zielone, czarne i białe farby do twarzy... a potem będziemy potrzebować rzeczy dla czarownic i czarowników...

— Co to ma być, jakieś Halloween?!

— Mamo, czy ty w ogóle wiesz, o czym jest ten musical?

— *O Czarnoksiężniku z krainy Oz*, nie?

— Otóż niezupełnie. To jest o czarownicach. Dobrej czarownicy, złej czarownicy i pewnym bardzo przystojnym czarnoksiężniku. Czarnoksiężnik zakochuje się w złej czarownicy, która tak naprawdę wcale nie jest zła, i... Oj, fabułę opowiem ci później. Po prostu mi zaufaj, okej? Zasadniczo chodzi o to, że ona jest zielona. Zielone motywy są kluczowe. Chodź, zacznijmy wkładać rzeczy do koszyka. Nie mogę tu siedzieć zbyt długo, bo David jeszcze dostanie zakwasów od zmiany pieluch.

Tak więc godzinę później wróciliśmy do domu obładowane zielonymi rzeczami i bardzo zadowolone z siebie. Siedziałyśmy na górze i upychałyśmy nasze zakupy do szafy w mojej sypialni, żeby nikt ich nie zobaczył, kiedy usłyszałyśmy, że reszta towarzystwa wchodzi do domu.

— W samą porę! — zawołałam na dół, kiedy ruszyłyśmy z Riley po schodach. — My też wróciliśmy dosłownie przed chwilą.

Weszłam do kuchni, spodziewając się uśmiechów i odpowiedzi, ale przywitało mnie skrzępowane milczenie.

— Wszystko dobrze? — spytałam, patrząc po obecnych. Kieron uniósł brwi i ruchem głowy wskazał Sophię.

— Wszystko jest w porządku — zapewniła Sophia. — Popatrz na jego minę! Jak słowo daję! Jest wkurzony, bo pokonała go dziewczyna. — Zachichotała i sięgnęła przez stół, żeby pociągnąć go za ucho.

— Ta, jasne, Sophio — rzekł Kieron, opędzając się od niej jak od muchy. — Właśnie dlatego jestem wkurzony. — Chwytał Lauren za rękę i wściekły pociągnął ją do oranżerii.

— Okeeeej — powiedziała Riley. — Zdaje się, że na mnie już pora. David i Levi na pewno się zastanawiają, gdzie mnie wzięło.

— Mam cię podrzucić? — spytałam, świadoma napięcia w kuchni.

Pokręciła głową.

— Nie, dam ci spokój. Przejdę się. Przyda mi się trochę ruchu.

— To jak to było, skarbie? — spytałam Sophii, kiedy już odprowadziłam Riley do drzwi i wróciłam do kuchni. Wciąż stała oparta o kuchenny blat, z nadąsaną miną. — Co się naprawdę stało? Bo to chyba jasne, że Kieron nie jest taki wściekły przez to, że pobilaś go w kręgle.

Teraz i ona spojrzała na mnie ze złością.

— Jeśli nie o to chodzi, to skąd ja mam wiedzieć, do cholery, co jest z nim nie tak? Na litość boską! Dlaczego wszystko musi być moją winą?

Właśnie miałam jej udzielić odpowiedzi, ale najwyraźniej uznała, że jej nie chce. Przymaszerowała obok mnie i z tupotem wbiegła na górę. Świetnie, pomyślałam, czekając na nieunikniony huk drzwi. Pa, pa, dobry humorze, na dziś mamy cię z głowy.

Poszłam za Kieronom i Lauren do oranżerii; otworzyli sobie tylne drzwi i wyszli do ogródka. Siedzieli przy stole z ponurymi minami.

— Boże, co za rozwydrzona pannica... — zaczęłam, mimo najlepszych intencji, by zachować profesjonalizm. Czasami to był odruch. Nieważne, czy człowiek rozumiał powody kierujące takim zachowaniem, nieważne, że się troszczył. Czasem po prostu nie można było się powstrzymać.

— Mamo — odezwał się Kieron — ona jest niemożliwa. Bezcelnie łąpała mnie za tyłek,

kiedy grałem. Normalnie mnie łapała. Przy wszystkich. Co za żenada. A kiedy jej powiedziałem, żeby przestała, roześmiała mi się w twarz! Wypaliła, że mówię tak tylko dlatego, że jest z nami Lauren! Uwierzysz?

— Naprawdę tak było, Casey — potwierdziła Lauren. — Próbowałam powiedzieć jej parę słów na ten temat, bo Kieron był bardzo zdenerwowany, ale ona mnie tylko wyśmiała i nazwała zazdrosną suką.

— Och, tak mi przykro, kochanie — powiedziałam, wyciągając krzesło i dla siebie. — Jest koszmarna, kiedy jej tak odbija. A wy dwoje byliście dla niej tacy mili, zabraliście ją na kręgle, i w ogóle. Porozmawiam z nią, obiecuję. Nie możemy jej na to pozwalać.

— A jaki sens ma rozmowa, mamó? — rzucił Kieron. — Przecież i tak nie przestanie. Ale ja jej już nigdy nigdzie nie zabiorę. To było żenujące. A przecież byli tam nasi znajomi.

Otworzyłam usta, żeby jeszcze raz ich przeprosić — tak strasznie im współczułam — kiedy nagle na ogrodowym stole z hukiem wyładowała szczotka do włosów.

Przestraszeni spojrzeliśmy w górę i ujrzeliśmy źródło tego pocisku: Sopię, szczerzącą do nas zęby z okna sypialni.

— Znowu o mnie gadacie?! — krzyknęła zaczepnym tonem, z zaciętą miną. — Banda złamasów!

— Sophia! — odkrzyknęłam. — Do środka, w tej chwili. I nie waz się tak wyrażać! Mamy sąsiadów!

— Waszych sąsiadów też pieprzę! — wrzasnęła, podkreślając dźwięk. W końcu schowała głowę i z hukiem zatrzęsła okno.

Dzięki ci, Boże, za nietłukące szkło, pomyślałam, odsuwając się z krzesłem i wstając. Zamierzałam tam pójść i zbesztać ją. Kieron mnie powstrzymał.

— Daj spokój, mamó — poradził mi. — Zostań. Niech się wywścieka. Wie, że powiedzieliśmy ci prawdę, i próbuje teraz odwrócić twoją uwagę, żebyś miała inny powód do gniewu.

Oczywiście miał rację. Musiałam pozostać skupiona na pierwotnym incydencie, a nie dać się pociągać za sznurki, bo właśnie to próbowała teraz robić. Tak łatwo było stracić z oczu las za drzewami. Dzięki niebiosom za mojego trzeźwo myślącego syna z zespołem Aspergera, dla którego wszystko było o wiele prostsze!

Tak czy inaczej weszliśmy do domu, bo czas leciał i Mike miał niedługo wrócić głodny do domu. Była pora podwieczorku. Nie poszłam na górę, żeby porozmawiać z Sopią — Kieron miał rację. Najlepiej było ją zostawić i wyładować swoją frustrację na bitkach jagnięcych, które mieliśmy zjeść. Oczywiście ja sama nie zauważyłam, że to robię. Dopiero śmiech Lauren i Kierona uświadomił mi, że tłukę je trochę za mocno.

— Hm — powiedział Kieron, szczerząc się od ucha do ucha. — Nie chciałbym być tą jagnięciną.

— Ja też nie! — zgodził się Mike, kiedy już wrócił do domu i opowiedziałam mu o całym dniu i najnowszym przedstawieniu Sopi. Kieron wyszedł odprowadzić Lauren na przystanek autobusowy. Bardzo się cieszyłam, że okazała się tak wyrozumiałą osobą. Pewnie nie było jej łatwo mieć chłopaka z taką rodziną jak nasza. Sami z siebie mogliśmy stanowić niezły szok kulturowy, pomyślałam z żalem. Ale z naszą opieką zastępczą... cóż, ani przez chwilę nie było nudno.

— Ale zrobię tak, jak sugerował Kieron, i zignoruję ten wybuch — stwierdziłam. — Zagram w jej grę i będę udawać, że nic się nie stało. Może jeśli zaczniemy to ignorować, będzie mniej skłonna tak się przed nami popisywać.

— Świetny pomysł — przyznał Mike. W tej chwili wrócił Kieron. — Fajnie by było zjeść obiad bez histerycznych wyskoków pewnej osoby, co, synu? — Mrugnął do mnie okiem. — To jak, mam zrobić sos miętowy?

I rzeczywiście, posiłek minął bez incydentów. Kiedy zawołałam Sopię na dół, uśmiechała się słodko i pomagała mi nakrywać do stołu, była uprzejma i wesoła i nie mogła bardziej się różnić od siebie sprzed paru chwil. Naprawdę zachowywała się jak zwykła dwunastoletnia dziewczynka — w jednej chwili fochy i napad złości, w następnej wcielenie słodczy. I rzeczywiście wyglądało

to tak, że cud ignorowania wybuchów — jak poradziłby to psycholog w przypadku małego dziecka — może sprawić, że wszystko przeminie.

Jak czary. Ale nimi akurat nie dysponowaliśmy. I choć bardzo kuszące było myślenie, że prosty program modyfikacji behawioralnej zadziała, że wystarczy wprowadzić system punktowy, który stanowił centralny element naszego programu opieki, byłam pewna, że byłby to tylko plaster na wielką, ziejącą ranę.

Mimo wszystko chciałam z nią porozmawiać. Rozmowa była niezbędna; była to jedyna droga do lepszego zrozumienia Sophii. Więc kiedy sprzątałyśmy naczynia po podwieczorku, zasugerowałam, żebyśmy — skoro faceci oglądają mecz — obejrzały sobie coś na DVD w oranżerii. Zgodziła się chętnie i potulnie. Pobiegła nawet do oranżerii, żeby ją uporządkować — roztrzepała poduszki na sofie i przyniosła koc ze swojego pokoju, żebyśmy mogły się opatulić.

— *Mamma mia* — powiedziała. — Zniesiesz to jeszcze raz, Casey?

Kiwnęłam głową. Scenariusz mogłabym recytować przez sen. Sophia oglądała to już trzy czy cztery razy, odkąd u nas zamieszkała, a ja sama widziałam to już dwa razy. Ale to nie było ważne. Przede wszystkim chodziło mi o to, żeby pobyć z nią sam na sam; miałam nadzieję, że znów się przede mną otworzy.

Oglądałyśmy już od jakichś czterdziestu minut, kiedy zaproponowałam, żebyśmy zrobiły sobie „przerwę na reklamy”, to szybko przyszybkuję nam po kubku gorącej czekolady i jakieś przekąski. W jej przypadku przekąską była paczka chipsów — jak większość ludzi z jej chorobą Sophia łaknęła i potrzebowała soli — a moją były dwa ulubione czekoladowe ciastka.

— Pomyślałam też, że mogłybyśmy chwilę pogadać — dodałam, podając jej napój.

Spochmurniała.

— Chodzi o tę akcję w ogrodzie? Bo jeśli tak, to strasznie przepraszam, Casey. Naprawdę. Po prostu się wściekłam. Obiecuję, że więcej czegoś takiego nie zrobię.

— Nie, nie chodzi o to — powiedziałam. — Choć rzeczywiście to było bardzo niedojrzałe i dobrze o tym wiesz. W tym domu nie mówimy do siebie w ten sposób i dopóki z nami jesteś, też powinnaś się pohamować. — Zrobiła skruszoną minę. — Nie — mówiłam dalej. — Chodzi mi o to, jak było na kręglach. Kieron i Lauren powiedzieli mi, co się działo, a nie mają żadnego powodu nie mówić mi prawdy. I muszę wiedzieć, skarbie, co ty sobie myślałaś?

— To wszystko był tylko żart, Casey. Przysięgam. Myślałam... no, że Kieron uzna to za zabawne.

— Sophio — rzekłam łagodnie. — Musisz to zrozumieć. Kieron w żaden sposób nie mógł uznać tego za zabawne. Jest dorosłym mężczyzną, a ty masz dwanaście lat. Jesteś o wiele za młoda, żeby dotykać go w taki sposób. Ale też jesteś chyba wystarczająco dorosła, żeby to wiedzieć, prawda? Całe to dotykanie mężczyzn... to jest nie w porządku. — O mało nie poprosiłam jej, by przypomniawszy sobie, jak się czuła, kiedy sytuacja była odwrotna i to ona była molestowana przez dorosłych mężczyzn. Ale coś mnie powstrzymało. Coś mi powiedziało, że to nie jest odpowiedni moment, by zapuszczać się na to terytorium. Chciałam tylko, żeby przemyślała własne zachowanie. Tu i teraz. I widziałam, że lada chwila się rozplacze.

— Tak mi przykro — powiedziała z drżącym podbródkiem. — Ja to wiem. Tylko o tym nie pomyślałam. Po prostu to zrobiłam. Nie wiem dlaczego. A potem Lauren spojrzała na mnie, jakbym była jakimś śmieciem, no i... nie wiem. Strasznie się wściekłam. A kiedy tak się czuję, po prostu nie wiem, jak to powstrzymać.

Teraz lzy ciekły jej już po policzkach. Objęłam ją ramieniem.

— Skarbie, mieszkasz u nas już prawie dwa miesiące. Na pewno wiesz, że wszyscy bardzo się o ciebie troszczymy. Jesteśmy tu dla ciebie. To dlatego robimy to, co robimy, i to dotyczy też Kieron i Lauren. Chcemy ci pomóc i wspierać cię w tych złych czasach, które przeżywasz. Więc musisz myśleć o Kieronie tak, jak on chciałby, żebyś myślała: jak o starszym bracie. Nie jak o chłopaku ze szkoły, który ci się podoba. To nie jest facet do zdobycia.

Sophia grzbietem dłoni otarła lzy z policzków.

— Ale ja tak o nim myślę. Naprawdę, Casey. Tylko czasem... czasem nie mogę się powstrzymać. Nie robiłabym tego, gdybym była z nim sam na sam. Serio. Tylko że Lauren chce go

mieć wyłącznie dla siebie i ja się czuję odrzucona.

Oto cała prawda, pomyślałam. Oto najprawdziwsze słowa, jakie kiedykolwiek wypowiedziała. To z pewnością było sedno sprawy, przyczyna tego odruchowego zachowania. Wyuczonego, bez wątplenia, jeszcze w ramionach matki. Być może była to tylko metafora, ale czy nie o to tu chodziło? Jedyne, co potrafiła, to rywalizować w taki sposób o męskie zainteresowanie. Walczyć z matką o uwagę niezliczonych chłopaków i podrywać ich — by ukarać matkę za brak uczuć poprzez skupianie tych męskich atencji na sobie. Nie byłam psychologiem, ale to nie było szczególnie skomplikowane.

— Ależ z ciebie głuptas — powiedziałam, przyciągając ją bliżej. — Po pierwsze, Lauren ma prawo mieć Kieron wyłącznie dla siebie, bo jest jego dziewczyną. A ty się mylisz co do jej intencji. To był jej pomysł, żeby zabrać cię na kręgle! Chce się z tobą zaprzyjaźnić. Oboje chcą! I dlatego musisz spróbować trochę pomyśleć, zanim zaczniesz działać. I jak mówię, masz jeszcze mnóstwo czasu na chłopaków. Takich w twoim wieku. Nie pomarszczonych staruszków jak mój Kieron. Umowa stoi?

— Stoi.

— To jak, wracamy do filmu?

W odpowiedzi pstryknęła pilotem i przytuliła się jeszcze bliżej. I przez następną godzinę było świetnie, jeśli nie liczyć mojej zdrętwiałej ręki, przyciśniętej przez nią do kanapy. Niemal dało się uwierzyć, że rozmową i przytulaniem, cierpliwością i chęcią wysłuchania można wyleczyć wszystkie bolączki tego świata. Bo w wielu przypadkach można było. Naprawdę w to wierzyłam.

Ale, jak miałam się wkrótce przekonać, to dziecko było za bardzo pokaleczone.

Kilka następnych dni minęło bez incydentów. Co było do przewidzenia. Zaczynał nam się wyłaniać pewien schemat zachowania. Przeżywaliśmy potworny napad wściekłości, który Sophia próbowała później wytłumaczyć lub zignorować, a potem była wyjątkowo grzeczna przez parę dni. Aż do następnego incydentu (który rzadko dało się przewidzieć) i cykl zaczynał się od nowa.

I pracownicy agencji, i opiekunka społeczna Sophii uważali, że to dobrze. Fakt, że w ogóle jest jakiś schemat — wszystkie te powtarzające się wybuchy i okresy uspokojenia — uznano za dowód „postępów”. Panowało powszechne przekonanie, że z czasem nauczymy się odczytywać znaki ostrzegawcze i odkryjemy „czynniki prowokujące”: wydarzenia czy interakcje (nie licząc choroby), które doprowadzają ją do utraty panowania nad sobą, a wtedy będziemy mogli z nimi walczyć. Ale to „my” tak naprawdę nie obejmowało nikogo oprócz mnie i Mike’a, czy raczej całej naszej rodziny. To my mieliśmy stać na linii frontu. Świetnie, pomyślałam. Będziemy się dalej wystawiać na emocjonalne bombardowanie — dopóki wy uważacie, że to „postępy”.

Ja osobiście nie byłam tego taka pewna. Czułam, że ten schemat to tylko przejaw utrwalonej rutyny — nic więcej — i że nawet jeśli czynimy pewne postępy w temperowaniu zachowań Sophii, nawet nie dotykamy sedna problemu.

Ale zabawa w psychiatrię nie była moim zadaniem. Przekazałam Johnowi swoje obawy i nic więcej nie mogłam zrobić. Ja miałam się nią opiekować, nie leczyć — do tego nie miałam kwalifikacji. Więc z tym większą energią zabrałam się do czegoś, w czym byłam wykwalifikowana: do urządzenia naszej małej damie niezapomnianych trzynastych urodzin.

W środę przed wielką imprezą miałam w zasadzie wszystko zorganizowane. Jeszcze tylko umówiłam się z Riley, że wpadnie i pomoże mi z dekoracjami, kiedy Sophia będzie w szkole.

Mówię, że Riley miała mi pomóc z dekoracjami, ale tak naprawdę ja byłam tylko pomagierką. Od kiedy moja córka urosła na tyle, by móc ujawnić swoje talenty artystyczne, to ona stała się konsultantką kreatywną naszej rodziny. Pogrzebała w Internecie, wydrukowała sobie parę zdjęć, by posłużyły jej za inspirację, i zatrudniła mnie do wycinania wielkich wiedeńskich czarnoksiężników, których narysowała. Ale potem przyszło do malowania, a ja nigdy nie byłam dobra w malowaniu. Emulsja na ścianach — owszem. Dzieła sztuki — nie.

Wyjrzałam przez okno — był piękny wiosenny poranek. Zimny, ale pogodny. A Levi robił się marudny, co podsunęło mi pomysł.

— Słuchaj no, kochanie — powiedziałam. — Skoro wszystko jest już wycięte, to może pójde na spacer z Levim? On pewnie ucieszy się z godzinki na świeżym powietrzu, a ja i tak byłabym tutaj tylko piątym kołem u wozu, nie sądzisz?

Riley wyszczerzyła się w uśmiechu.

— Ty leniuchu! Ale nie no, proszę bardzo, mamo. I tak tylko byś mi się plątała pod nogami.

— Urocze — fuknęłam, wkładając kurtkę. Ale obie wiedziałyśmy, że gdybym została, bardziej bym przeszkadzała, niż pomagała. Riley ma nie tylko artystyczny talent, ale też prawdziwy artystyczny temperament. Wiedziałam, że zrujnuje moją czyściutką kuchnię; za chwilę wszystko będzie schlapane plakatówkami, wszędzie będą się walać ścinki i paćki kleju. A ja zacznę miotać się dookoła, usiłując wszystko posprzątać, będę wycierać blaty, które za chwilę znów się uciapią, i w ogóle będę jej działać na nerwy. Więc wyprowadziłam wózek z domu, zanim zdążyła zmienić zdanie.

Levi miał już pięć miesięcy i naprawdę zaczynał zauważać świat wokół siebie. Poszliśmy nad miejscowy kaczycy stawek i śmiał się z zachwytem, kiedy dla jego uciechy próbowałam imitować kwakanie. Kiedy tak sobie siedziałam, trzymając na kolanach ślicznego, gaworzącego wnuka, rozmyślałam, jak wyglądałoby teraz moje życie, gdybym nie zajmowała się opieką zastępczą. Tutaj, z Levim, otoczona tylko naturą, czułam się jak w innym świecie. I w innym czasie — żadnych pędzących samochodów, nowoczesnych budynków, żadnego gwaru i zamieszania; tylko drzewa, słoneczne cętki, wczesne żonkile i krokusy. I najnowszy członek naszej rodziny, który uszczęśliwiał mnie do łez. Westchnęłam tęsknie, myśląc, jak byłoby fajnie, gdyby moje życie

było takie proste; gdybym nie czuła wiecznej presji, by zrobić więcej. Ale wiedziałam, że nic z tego. Wiedziałam, że moim życiem jest opieka zastępcza. Po prostu musiałam to robić. Te wszystkie lata przepracowane z trudnymi dziećmi w szkole potrzebne były tylko do tego, by doprowadzić mnie do mojego powołania.

— No dobra, kochany — powiedziałam do Leviego — lepiej już wracajmy. Nie chcemy, żebyś się przeziębiał, co? — Uśmiechnął się do mnie z miłością i klasnął w rączki; była to jego nowa sztuczka. Kiedy już szliśmy z powrotem do domu, dumałam, jakie szczęście ma większość dzieci: rodzą się w kochających rodzinach, które zrobią wszystko, by je chronić, by się o nie troszczyć. Ogarnęła mnie fala miłości do mojej dwójki, z której zawsze byłam i będę taka dumna. Byłam prawdziwą szczęściarą. I wiedziałam na pewno, że już zawsze będę opiekować się dziećmi, i nieważne, jak będzie źle chwilami: przetrwamy to. Wiedziałam, że my, jako rodzina, zrobimy, co w naszej mocy dla smutnych, poharatanych, niekochanych, skrzywdzonych dzieci. Każde dziecko, które do nas trafi, mogło być tego pewne.

Nie do wiary, jaki kawał roboty odwaliała Riley pod naszą nieobecność. Zdążyła już pomalować dwie czarownice i jednego czarownika naturalnej wielkości, i rozłożyła na podłodze oranżerii do wyschnięcia. Już było widać, że zrobią niemałe wrażenie, kiedy powiesi się je na ścianach — moja córka była taka zdolna. A co lepsze, zaczęła już nawet sprzątać.

— Zostaw to, kochanie — powiedziałam. — Ja się tym zajmę. A ty nastaw czajnik.

— Mamo. — Riley uśmiechnęła się do mnie szeroko. — Nie myśl, że nie widziałam twojej miny, kiedy wychodziłaś. Aż cię ręce świerzyły, żeby zacząć za mną łączyć ze ścierką. Już prawie skończyłam, więc ty idź nastaw czajnik.

Roześmiałam się. Moje dzieci tak dobrze mnie znały.

Pięć minut później obie siedziałyśmy już w ogrodzie z kawą, a Levi spał sobie smacznie po naszej małej przygodzie.

— Mam tylko jeden problem — powiedziałam, kiedy jeszcze raz omawialiśmy plan przyjęcia. — A mianowicie, co mam zrobić z Sophią, kiedy będziemy dekorować dom. Wiem, że to tylko dwie godziny, ale nie mogę prosić Kierona, żeby ją zabrał do miasta, bo stosunki między nimi są bardzo napięte. A ciebie potrzebuję tutaj, oczywiście, z tymi twoimi kreatywnymi czarami.

— Wiem — odparła Riley. — Może poprosisz Lauren?

— Co? — spytałam zdumiona. — Jakoś tego nie widzę. Sophia i Lauren też się raczej nie kochają.

— Nie, posłuchaj. To może być świetny sposób, żeby wszystko załagodzić. Jeśli Lauren się zgodzi, udowodni Sophii coś ważnego: że dorośli nie obrażają się na dzieci za ich wysoki. I udowodni jej, że Lauren naprawdę chce się z nią zaprzyjaźnić. No już, zapytaj ją. Zakład, że się zgodzi.

Okazało się, że Riley miała rację. Lauren była zachwycona, że może pomóc. Nawet więcej: zaprosiła Sophię do siebie na urodzinowe piżama party. A że studiowała w college'u taniec i sztuki sceniczne, doskonale wiedziała, jak ją zabawić.

— Pomyślałam, że mogłybyśmy zacząć wieczór od paru zabiegów kosmetycznych — powiedziała Sophii, kiedy już zaproponowała jej nocleg. — A potem przeberzemy się w piżamy. Bez tego się nie obejdzie, nie? Bo to piżama party. I pokażę ci parę rzeczy, których się uczę do przedstawienia na zakończenie roku. Gram rolę Sandy w *Grease*.

— O Boziu! — pisnęła Sophia. — Uwielbiam *Grease*. Och, ależ ci zazdroszczę, Lauren! Znam wszystkie kroki i w ogóle! — Odwróciła się do mnie. — Mogę iść, Casey, prawda? Proszę, zgódź się!

Bardzo mnie ucieszyło, że pamiętała o manierach i spytała o pozwolenie. Była to wielka zmiana od czasu jej pierwszych dni i postawy udzielnej księżnej.

— Oczywiście, że możesz, skarbie — powiedziałam, śmiejąc się z jej entuzjazmu. Wyglądało na to, że wszystkie jej wątpliwości co do Lauren wyparowały bez śladu. — Możesz to uznać za jeden z urodzinowych prezentów.

Rzuciła się na mnie i uściskała, o mało mnie przy tym nie przewracając.

— Och, dziękuję! Dziękuję, Lauren! Och, będzie jak w *Grease!* Jak w tym kawałku, kiedy wszystkie dziewczyny są w sypialni Frenchy i śpiewają o Sandrze Dee!

Byłam zachwycona, widząc Sopię w takim nastroju. Ale to wszystko było zabawne. Kiedy udawała dorosłą, wydawała się o wiele starsza niż naprawdę, a kiedy zachowywała się jak dziecko, sprawiała wrażenie o wiele młodszego dziecka; była raczej jak dziesięcioletka niż jak zaprawiona w szkolnych bojach dwunastolatka. Kiedy widziało się ją taką, trudno było uwierzyć, że za dwa dni skończy trzynaście lat — że przekroczy tę granicę, za którą, w pojęciu wszystkich dzieciaków, ich życie zmienia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Była takim paradoksem. Taką enigmą.

Więc wszystko było już ustalone. Lauren miała wpaść po Sopię w piątek wieczorem, a w sobotę rano, po dziewczynskim piżama party, miała zabrać ją do miasta na śniadanie. Potem miały wybrać się na zakupy, żeby Sophia sama wybrała sobie urodzinowy prezent od Lauren i Kieron, skoro będzie teraz „taka dorosła”. Było to dziwaczne i trochę smutne, że tak pracowicie staraliśmy się przywrócić Sopię dzieciństwo, by pomóc jej zostawić je za sobą.

To, że Sophia spędziła wieczór u Lauren, bardzo nam pomogło, nie tylko dlatego, że mogliśmy wcześniej wziąć się do dekorowania domu, ale też dlatego, że ja i Mike zyskaliśmy cenny wieczór dla siebie, czego oboje bardzo potrzebowaliśmy. A to oznaczało, że następnego ranka obudziłam się wypoczęta, a nie zmaltretowana i z optymizmem spoglądałam przed siebie w ten wyjątkowy dzień.

Ale nie wszyscy podzielali mój spokój. Kiedy weszłam do salonu, zastałam w nim Riley, która dokonała już ostatnich poprawek w dekoracjach i teraz przemieniała bardzo niechętnego Kieron w czarnoksiężnika.

— Riley, błagam cię — jęczał mój syn. — Tata nie może być czarnoksiężnikiem? Ja chciałem być księciem — dodał płaczliwie.

— Oj, przestań jęczeć, Kieron! Już ci mówiłam, że kostium księcia jest na ciebie za duży! A poza tym to czarnoksiężnik jest prawdziwą gwiazdą przedstawienia.

— Riley — obruszył się. — Nie mam już ośmiu lat i nie możesz mnie wkręcać tak jak kiedyś, więc nie próbuj.

Uśmiechnęłam się do siebie. Moje dorosłe (na pozór) latorośle musiały znosić wiele minusów mojego zajęcia. Ale plusem była szansa kontynuowania własnego dzieciństwa dzięki temu, że mogły się przebierać w głupie stroje i wyklócać jak małe dzieci. Wzbogacało to nasze życie rodzinne na różne nieoczekiwane sposoby. A w każdym razie moje — uwielbiałam słuchać ich razem.

— Hej, wy dwoje! — zawołałam do nich ze swojej niebezpiecznej pozycji na drabince w oranżerii. — Jak już skończycie się kłócić, możecie przyjść i pomóc mi poprzipinać wszystkie te kozy i skrzaty, czy co to tam jest, do licha!

Tak naprawdę potrzebovałam Mike'a, żeby poprzipinał najwyższe elementy, ale Mike był na górze i przeobrażał się w przystojnego księcia. Riley też była już „zrobiona” — wyglądała genialnie jako zła czarownica Elphaba — więc tylko ja byłam spóźniona, nieubrana i niepomalowana. Musiałam się pospieszyć.

Na górze wszystko było już gotowe dla Sopi. Mieliśmy dla niej kostium Glindy, pięknej Dobrej Czarownicy z Północy; ten kostium najlepiej pasował do jej ładnej buzi i jasnych loków, i wiedzieliśmy, że właśnie ten chciały dla siebie. Teraz, kiedy już zapoznałam się z fabułą, nie mogłam się opędzić od myśli, że była bardziej jak Elphaba, czarownica, która nie od początku była zła, wcale nie chciała być zła, ale która skończyła jako zła — tragiczny wytwór losu, który był jej przeznaczony. Była to ta, która na końcu *Wicked* (działającego się przed rozpoczęciem *Czarnoksiężnika z krainy Oz*) stała się wiedźmą, którą wszyscy znaliśmy i kochaliśmy nienawidzić. Zeszłam z drabiny i zamyśliłam się smutno. Mogłam tylko mieć nadzieję, że przyszłość Sopi nie jest jeszcze tak jednoznacznie przesądzona.

Ale to nie był dzień na ponure myśli czy amatorską filozofię, włączyłam więc w odtwarzaczu *Na złość grawitacji*, moją ulubioną piosenkę z musicalu, która natychmiast przegoniła

te melancholijne myśli na temat solenizantki i znów wprowadziła mnie w imprezowy nastrój. Zaprosiliśmy całkiem sporo ludzi i niedługo mieli zacząć się schodzić: mój najstarszy brat, który właśnie przyjechał z Irlandii ze swoimi dziećmi, moja siostra i jej dzieci, moi rodzice, oczywiście, i Jack Boyd, „przyjaciel” Sophii z opieki społecznej. Był jej ulubionym pracownikiem opieki i wydawał się szczerze ją lubić, i zadał sobie trud, by wpaść do nas na godzinkę.

Udało mi się też zaprosić jej trzy koleżanki ze szkoły. Choć stanowczo twierdziła, że wszystkie dziewczyny jej nienawidzą, wyglądało na to, że udało jej się zaprzyjaźnić z paroma osobami i na szczęście znałam już matki całej tej trójki. Więc potajemnie zaprosiłam Mollie, Corin i Dannikę i kazałam im obiecać, że się nie wygadają aż do dnia przyjęcia.

Czas płynął o wiele za szybko, pomyślałam, pędząc na górę, żeby się przebrać. Krótkie pięć minut na transformację i wreszcie byłam gotowa, i we dwie z Riley mogłyśmy rozłożyć bufet. Mocno przesadziłam, jak zwykle, i dwa stoły do tapetowania pożyczone od Mike’a ugięły się od jedzenia. Mieliśmy sandwicze, paszteciki i inne typowe przekąski, a do tego mnóstwo tematycznych przysmaków — zielone babeczki, zielone galaretki z robalami w środku i zielony biszkopt z owocami i bitą śmietaną, no i oczywiście wielki, zielono-czarny tort urodzinowy w kształcie kapelusza czarownicy, który zawdzięczaliśmy mojej utalentowanej mamie. Riley właśnie kończyła wypełnianie wolnych miejsc na stole plastikowymi pajakami, kiedy Mike zszedł na dół, by pomóc nam wszystko urządzić.

— To wygląda wspaniale, Case, jak zwykle przeszłyście same siebie, dziewczyny — powiedział nam.

— Ty też, tato — odparła Riley. — Jesteś prawie przystojny.

— A ty, moja droga córko — odgryzł się Mike błyskawicznie — wreszcie wyglądasz jak mała wiedźma, którą zawsze byłaś!

— Ehem! — zakaszlałam i wykonałam mały piruet. — *A moi?*

Ojciec i córka wzruszyli ramionami i udali, że nie usłyszeli, za co oboje po przyjacielsku dostali po uchu.

— Wyglądasz bosko, kochanie — stwierdził w końcu Mike ze śmiechem. — Nieważne, ile ci wyrosło kurzajek. Ale słuchajcie no, już prawie pierwsza i lada chwila będzie tu Jack Boyd. Może zrobę nam szybko po kawce?

Właśnie nalewał nam kawę, kiedy rozległ się dzwonek. Otworzył Kieron. Rzeczywiście był to Jack.

— Witaj, młodzieńcze! — rzekł swoim grzmiącym głosem z irlandzkim zaśpiewem. Ulubiony pracownik społeczny Sophii był dość barwną osobowością. — Pokażcie no się! — wykrzyknął. — Szkoda, że nie wiedziałem, że się przebieracie. Przyprowałbym ze sobą własną wiedźmę! — Kieron wprowadził go do kuchni, Mike wyjął jeszcze jeden kubek na kawę. — Ale tak się składa — ciągnął Jack — że zabrała dzieciaki na zakupy...

— Chętnie bym popatrzył, jak mówisz jej to w twarz! — odparł ze śmiechem Mike.

Jack wyszczerzył się w uśmiechu.

— Więc lubisz krwawe sporty, Mike?

Na razie szło nieźle, pomyślałam. Zapowiadało się wspaniałe przyjęcie. Byle tylko jubilatka też miała dobry humor. I kiedy się zjawiała, wyglądało na to, że ma. Kazałam wszystkim schować się w salonie i kiedy usłyszą trzaśnięcie drzwiami, krzyknąć: „Niespodzianka!”

Sophia była zachwycona.

— O Boziu! Och, kochani! Och, Casey, nie wiem, co powiedzieć! Boże! To jest *Wicked!* A ty jesteś Elphabą, Riley! Och, genialnie! — Dosłownie podskakiwała jak mała dziewczynka.

— A ty jesteś Glindą — powiedziałam jej. — Czy też będziesz za chwileczkę. Jak tylko skoczysz na górę i przebierzesz się w kostium...

Klasnęła radośnie.

— Rany, genialnie! — krzyknęła i nie trzeba było jej więcej zachęcać. Piszcząc z radości, popędziła po schodach.

Odwrociłam się do gości.

— No, chyba się ucieszyła, nie sądzicie? Więc zaczynamy imprezę. Maestro Kieron,

prosimy o muzykę!

Drugie wejście Sophii było równie widowiskowe. Naprawdę wyglądała pięknie w tym kostiumie. Była też w swoim żywiole, wysłuchując wszystkich komplementów, i bardzo pilnie wypełniała obowiązki gospodyni — zauważyłam, że podeszła do każdego z gości i podziękowała osobiście za przyście i za wszystkie prezenty, które dostała. Nie posiadała się z zachwytu na widok swojej nowej komórki i znów rzuciła się, żeby mnie uściskać, i choć znów o mało nie powaliła mnie na deski (była o głowę wyższa ode mnie), cieszyłam się w duchu, widząc, jaka robi się przylepna, i to w absolutnie nieseksualny sposób.

— Och, jest śliczny — powiedziała. — I obiecuję, że będę oszczędzać z kieszonkowego na doładowania. Nigdy nie poproszę cię o doładowanie, słowo. Rany, dziewczyny zzielenieją z zazdrości. Jest super! — To powiedziawszy, pobiegła ich szukać, rozpromieniona, z błyszczącymi oczami.

Jack Boyd kupił jej nową skórzaną torebkę, która wyglądała na drogą i była chyba trochę za bardzo ekstrawagancka, ale kimże ja byłam, żeby to komentować — a Sophia była nią zachwycona. Jemu też dostał się potężny, niedźwiedzi uścisk. Jack zaczerwienił się i delikatnie wyplątał z objęć Sophii, nawet jeśli przy tej okazji wszystko wyglądało całkowicie niewinnie.

Jack musiał już iść, więc skorzystałam z okazji. Zamieniłam z nim ledwie słowo, od kiedy przysłała Sophia, i chciałam z nim porozmawiać.

— Dzięki, że przyszedłeś, Jack — powiedziałam. — Widzę, jak dużo to dla niej znaczy.

— Robię, co mogę — stwierdził. — Czuję, że jestem chyba jej jedynym łącznikiem z matką. Oczywiście tak naprawdę nie jestem, chodzi mi tylko o to, że byłem z nią od początku. Lubię myśleć, że uważa mnie za jeden ze stałych punktów w swoim życiu.

— Na pewno tak jest — przyznałam. Milczałam przez moment. — Jack, mogę ci zadać pytanie na temat Sophii?

— Jasne.

— Otóż, chodzi o to, że ona zachowuje się wobec Kierona i Mike'a w bardzo obcesowy sposób i mieliśmy już przez to kilka nieprzyjemnych scen. — Złoty medal za niedopowiedzenie, pomyślałam smętnie. — A kiedy to robi, jest niemal tak, jakby stawała się kimś innym. To jest bardzo wyraźne i, szczerze mówiąc, trochę przerażające. Trochę niesamowite. Czy ty też masz takie doświadczenia?

Ku mojemu zaskoczeniu Jack nabrał kolorów. Wyraźnie się zaczerwienił.

— Obawiam się, że wiem, co masz na myśli — wyznał. — Szczerze mówiąc, przez jakiś czas bardzo mnie to niepokoiło. Do tego stopnia, że przestałem ją zabierać do samochodu, chyba że był z nami jeszcze ktoś dorosły. Było to dość niezręczne, oględnie ujmując. Ale się skończyło. Po jakichś dwóch miesiącach po prostu przestała to robić. Nie wiem dlaczego, może dotarło do niej, że nic tym nie osiągnie... Ale z pewnością było to niepokojące. Szczególnie w wykonaniu tak młodej dziewczyny. I oczywiście zawsze pamiętałem o tych chłopakach matki. A potem wujek uznał, że jej nie chce... Ale wiesz, jak to wyglądało...

— Teraz już wiem — potwierdziłam, kiwając głową. — I to wiele tłumaczy.

— Straszna tragedia. Ale wy wykonujecie świetną robotę.

— Staramy się, jak możemy — powiedziałam. — To niemałe wyzwanie, ale pocieszam się myślą, że Jean zauważy różnicę, kiedy oddamy jej Sophie.

— Ehm, tak... No dobra, wracaj już lepiej na imprezę. Dzięki za zaproszenie. I pożegnaj Mike'a. Pewnie się niedługo zgadamy.

Wróciłam do środka. Co miało znaczyć „Ehm, tak”? A tam, nieważne. Ucieszyłam się, widząc, że Sophia wciąż jest w takim świetnym humorze. Zabawiała teraz koleżanki dowcipnymi cytatami z *Wicked*. Dzieci mojego rodzeństwa też z nią były i wyglądało na to, że wszyscy się dobrze bawią. Pora wymknąć się do ogrodu z Riley na ukradkowego papierosa.

— Wspaniale widzieć ją taką, prawda? — powiedziała Riley, wskazując krzesło obok siebie, żebym usiadła. — To takie smutne, że nie potrafi cały czas być taka szczęśliwa.

— Riley, skarbie, żaden nastolatek nie jest taki szczęśliwy przez cały czas.

— Oj, wiesz, co mam na myśli. Nikt by sobie nie wyobrażał, widząc ją teraz. Nikt by się

nie domyślił, że ma tyle problemów, że w jej życiu jest tyle smutku.

Westchnęłam. Dobrze wiedziałam, co miała na myśli. To było trudne — patrzeć na dziewczynę, jaką mogłaby, jaką powinna być, i znać tę, która mieszkała w jej wnętrzu, tak pełną zamętu i nieszczęśliwą. Nie miała krewnych — a w każdym razie krewnych, którzy chcieliby ją znać — i musiała spędzać urodziny w towarzystwie obcych ludzi. Ale nie, pomyślałam. Dość tego czarnowidztwa, Case. Po prostu rób dla niej tyle, ile możesz. Postaraj się, żeby czas spędzony z wami był tak szczęśliwy, jak może być. Sophia będzie bezpieczna, będzie zadbana, dostanie tyle wychowania, ile będę w stanie jej zapewnić. Dostanie wszystko, co pomoże jej oderwać się od przeszłości i wieść szczęśliwe, produktywne życie.

Kiedy tego popołudnia zamykałam drzwi za ostatnim gościem, na nowo przepełniała mnie pasja dla mojej pracy. To było niemądre — być może nierealistyczne — że chciałam poruszać góry. Ale nawet jeśli nie zdołam dokonać wielkich zmian w życiu każdego dziecka, które do mnie trafi, mogłam przynajmniej próbować — a bardzo często najważniejsze były drobiazgi. Nauczenie ich, by znów potrafiły zaufać, by czuły się bezpieczne, by wiedziały, że są w miejscu, gdzie nigdy nie stanie im się krzywda.

Mike stał ze mną przy drzwiach — mój przystojny książę — i chyba doskonale wiedział, o czym myślę. Może nawet sam myślał to samo. A już na pewno nie miał nic przeciwko, kiedy go uściskałam, pocałowałam i usmarowałam zieloną farbą do twarzy. Nie musiałam nic mówić. Wiedziałam, że rozumie moje emocje. Czuałam się pełna energii, zmotywowana. Jakbym wypełniała misję, która była mi przeznaczona w życiu.

I bardzo dobrze. Nie mogłam wiedzieć, że niedługo będę potrzebować całej energii i motywacji, jaką uda mi się z siebie wykrzesać.

Rozdział 15

Mówi się, że życie często ma zupełnie inne plany niż ty. Świetne powiedzonko i bardzo przystające do mojego zawodu. Bo jedyne, czego zawsze można się spodziewać, to niespodziewane. A ja znów straciłam czujność, nakręcona po udanym przyjęciu i zasapana po godzinie sprzątanania.

Kiedy już ogród oraz oranżeria były uporządkowane, uznałam, że skoczę na górę i wezmę szybki prysznic, zanim zabiorę się do kuchni. Mieliśmy mnóstwo zielonej galaretki, ale, o dziwo, ani kropli mleka, więc kiedy Kieron poszedł je kupić, żebyśmy wszyscy mogli napić się upragnionej kawy, postanowiłam, że skorzystam z okazji, by wyszorować swoją lepką zieloną twarz. Nie wspominając już o włosach czarownicy, obficie spryskanych przez moją kochaną córkę białym sprejem. Ich widok przerażał mnie za każdym razem, kiedy spoglądałam w lustro. Jeśli tak miałam wyglądać w przyszłości, to mogłam zapomnieć o godnym starzeniu się. Dzięki niebiosom za cud farb do włosów.

Poczułam się o wiele lepiej, kiedy udało mi się przywrócić mojej grzywie kruczoczną barwę; kiedy już związałam włosy, przebrałam się w spodnie dresowe i starą koszulkę, zeszłam do kuchni, do Mike'a.

Sophia była u siebie na górze i oglądała prezenty, ale w kuchni był już Kieron, który wrócił z mlekiem. A że mój kochany mąż zdażył odwalić spory kawał zmywania, cała nasza trójka spędziła miłe dwadzieścia minut przy stole, odpoczywając i gawędząc o udanym dniu. Uwielbiam te nasze rodzinne chwile, kiedy po prostu relaksujemy się po ciężkiej, produktywnej, zespołowej robocie. Ale w tym przypadku była to tylko cisza przed burzą.

— Casey? — Głos Sophii. — Mogę pożyczyć twoją lokówkę?

Wszyscy siedzieliśmy do niej tyłem i odwróciliśmy się jak jeden mąż. Stwierdziłam z przerażeniem, że stoi w drzwiach, w pełnym makijażu i ubrana tylko w koronkowy biustonosz i małe koronkowe stringi. Drwiący uśmiešek na jej twarzy również niczego nie ukrywał.

Kieron odezwał się pierwszy, z gniewnym błyskiem w oczach:

— Idź się ubierz, ty mała idiotko! Co ty sobie wyobrażasz?

Wstałam, odsuwając krzesło.

— Sophio — powiedziała spokojnie; bardzo nie chciałam, by sytuacja się zaogniła. — Proszę do pokoju. Znasz zasady panujące w tym domu i wiesz, że należy się odpowiednio ubierać. Więc idź się ubierz, proszę cię, a potem sobie porozmawiamy. A później ewentualnie poszukam dla ciebie lokówki.

Zrobiła kilka kroków, ale nie do przedpokoju, a bliżej do nas.

— Co z wami jest nie tak, ludzie? — rzuciła z irytacją. — To tylko bielizna, na litość boską! — Zwróciła się do Kierona. — A ty nie udawaj takiego przerażonego, Kieron. Na pewno widziałeś Lauren w takim stroju.

Mike, choć milczał, gotował się ze złości. Widziałam to. Odsunął krzesło z takim impetem, że o mało nie walnęło w ścianę. Bez słowa przemaszerował obok Sophii, wyszedł z kuchni i ruszył na górę.

Kieron też był błydy z gniewu.

— Nie waż się — powiedział do Sophii. — Nie waż się mówić w ten sposób o mojej dziewczynie! Mamo, przepraszam cię, ale wychodzę. Będę u Lauren, gdybyś mnie potrzebowała. — On też przeszedł obok Sophii, ale robiąc to, odwrócił się do niej. — Nikt nie chce patrzeć na ciebie w takim stroju — wyszczał. — Na tę twoją dziwkarską bieliznę i tani samoopalacz. Ani ja, ani tata, ani nikt. Ale ty po prostu musisz przeginać, co? To jest żałosne.

— Och, odwal się, Kieron — wypluła. — Ty mięczaku. Pewnie w ogóle nie wiesz, jak wygląda kobieta! — Mówiąc to, ku mojej konsternacji i przerażeniu, wzięła się pod boki i zaczęła kręcić biodrami, wypychając je prowokacyjnie do przodu. Wróciły do mnie słowa Kierona sprzed paru tygodni. To naprawdę było jak scena z *Egzorcysty*. Zupełnie jakby była opętana. Gdzie podziała się kochana dziewczyna sprzed godziny? Strasznie było na to patrzeć. Po prostu strasznie.

— Sophia! — krzyknęłam na nią. — Przestań w tej chwili! Do pokoju, słyszysz mnie? Ja

nie żartuję!

Kieron zdążył już wyjść za próg i lzy stanęły mi w oczach, kiedy huknął za sobą drzwiami. Co się tu działo, do diabła? Nie mogłam tego zrozumieć.

— Pójdę do pokoju, jak mi się zachce! — odwrzasnęła Sophia, pryskając śliną. — A ty możesz powiedzieć temu twojemu żaloszemu synalkowi, że to nie jest samoopalacz, tylko melatonina, okej? I nic na to nie mogę poradzić, kurwa!

Stałam z otwartymi ustami, nie wiedząc, co jej powiedzieć. Ale ona jeszcze nie skończyła.

— A poza tym — ciągnęła — mam trzynaście lat, do kurwy nędzy, i mogę sobie nosić, co mi się podoba!

— Nie w tym domu, młoda damo!

Mike. Wrócił z piętra. Cisnął w nią szlafrokiem.

— Włóż to w tej chwili! I zawiąż! Ile razy mamy ci to powtarzać? Co? Jeśli jesteś tylko w bieliźnie, to przyzwoicie jest się okryć!

— Odpieprz się! — rzuciła. — Nie zmusisz mnie! — Była teraz przerażająco wściekła, niemal nie panowała nad sobą; stała sztywno, twarz miała jak z kamienia. Nie tyle mówiła, ile charczała na Mike'a. Zignorowała szlafrok, który upadł na podłogę. Mike podniósł go i bezceremonialnie okrył jej ramiona.

— Do pokoju! — huknął na nią. — Już!

— Nie! — odwrzasnęła. — Jak chcesz, żebym się ruszyła, kurwa, to sam będziesz mnie musiał ruszyć!

Nie mogłam uwierzyć w to, co się stało w następnej chwili. Ku mojemu przerażeniu Mike po prostu chwycił ją od tyłu i trzymając za łokcie, wyniósł do korytarza, a potem na górę. Wysłałam za nim z kuchni i patrzyłam w szoku, jak Sophia wrzeszczy na niego, kopie i tłucze go głową przez całą drogę. Mój mąż jest dużym facetem, ale Sophia była dużą dziewczyną i w tej furii, nabuzowana adrenaliną, też była przerażająco silna. Z pewnością zadawała mu ból.

— Puść mnie, ty pieprzone zwierzę! Nienawidzę cię, kurwa! Ty stary gnoju! — Ani na chwilę nie przestała wykrzykiwać obelg, przez całą drogę do pokoju. Dosłownie mnie mdliło, kiedy patrzyłam na tę scenę. Jakim cudem nasz uroczy dzień zmienił się w coś takiego?

Czułam się kompletnie bezradna. To, co robił Mike, było niewłaściwe, nie powinien tego robić. Nie miał wyboru, był wściekły, był tylko człowiekiem. Ale to przemoc fizyczna. Użył wobec niej siły. To nie powinno się było stać. Przez całe szkolenie kładziono nam to do głowy. Zażegnać konflikt. Rozbroić gniew. Unikać przemocy. Odejść. Odejść, dopóki wszystko się nie uspokoi.

Ale nie miałam mu tego za złe. Szkolenie szkoleniem, ale żadne szkolenie na świecie nie mogło człowieka przygotować na rzeczywistość, na tu i teraz. Na taką sytuację jak ta, kiedy mimo wszelkich prób opanowania kryzysu wiesz, że i tak będzie gorzej. A ja wiedziałam. Wiedziałam to już w chwili, kiedy zjawiała się w kuchni prawie naga. Wiedziałam, kiedy tylko zobaczyłam wyraz jej twarzy. Sophia była nastawiona na walkę. Chciała jej. I nie przestałaby, dopóki by do niej nie doprowadziła.

Dlaczego? — myślałam zrozpaczona. Co było tym cholernym czynnikiem prowokującym? Czy kontrast? Kiedy siedziała w pokoju wśród prezentów, po całym tym dniu pełnym zabawy, przyjaciół, czy przerosła ją świadomość, że znów musi znosić swoje zwyczajne życie? Próbowałam wczuć się w jej sytuację, przejść przysłowiową milę w jej butach. Czy to o to chodziło? Czy po prostu musiała wyładować gniew? Justin, jej poprzednik, kaleczył własne ciało — siadał z nożem i zrywał sobie paznokcie u stóp. Czy to była jej wersja dokładnie tego samego procesu? Patrzcie, jestem potworem! Patrzcie, z jaką łatwością sprawiam, że mnie nienawidzicie!

Usłyszałam trzask drzwi na górze, potem kolejne łomoty i krzyki, aż w końcu Mike pojawił się u szczytu schodów, blady jak ściana, potargany. Zaczął schodzić na dół. Boże, pomyślałam, wygląda dziesięć lat starzej! Do głowy wskoczyła mi dziwaczna myśl: może i jemu powinnam zacząć farbować włosy.

Dotarł na dół i spróbował przyczesać czuprynę.

— Jak dla mnie, może tam siedzieć przez cały wieczór. Ja mam dość — stwierdził.

— Dobrze się czujesz, kochanie?

— Nie, jestem wściekły. — Pokręcił głową i dotknął mojego ramienia. — Nic mi nie zrobiła, jeśli o to pytasz. Ale jest cholernie silna. Muszę jej to przyznać. Jezu. Nigdy nie zapisuj jej na sztuki walki. Będzie śmiertelnie niebezpieczna, mówię ci!

Te jego słowa trochę rozładowały napięcie. Ale sprawa była poważna.

— Chyba będę musiała zadzwonić do ZD — powiedziałam.

ZD, czyli zespół dyżurny, była to ekipa, do której można było się zwrócić, jeśli miało się sytuację kryzysową w weekend albo poza godzinami urzędowania. Opowiadało się nieznanemu — a więc i niezaangażowanemu w sprawę — pracownikowi opieki społecznej o problemie, a on wprowadzał szczegóły do systemu. A potem zespół decydował, jakie działania podjąć w konkretnej sytuacji. Na przykład jeśli zgłaszało się ucieczkę dziecka, oni odbierali rysopis, wprowadzali wszystkie niezbędne informacje do komputera i dzwonili na policję. Zgłoszenie się do ZD było bardzo ważnym pierwszym krokiem dla opiekunów w razie kryzysu, bo dawało nie tylko wsparcie, ale i formalną notatkę o wydarzeniu. W tym przypadku zaangażowanie ich od razu było bardzo ważne, na wypadek gdyby sytuacja się pogorszyła albo gdyby Sophia złożyła skargę, przedstawiając własną wersję wydarzeń. To się czasami zdarzało, więc podczas szkolenia uczulono nas na kwestię dokładnego dokumentowania takich incydentów, szczególnie jeśli miał miejsce kontakt fizyczny. A poza tym chciałam, żeby moje obawy co do jej zdrowia psychicznego zostały zarejestrowane w możliwie wielu miejscach. Jej zespół mógł sobie bagatelizować jej „fochy”, ale nikt, kto był świadkiem tego, co ja widziałam przed chwilą, nie mógłby twierdzić, że to tylko wyjątkowo gwałtowny napad nastoletniej złości. To był jasny dowód, że jej umysł jest niestabilny. Kiedy wreszcie ktoś uzna fakt, że to dziecko jest chore?

Mike poszedł parzyć kolejną kawę, a ja zadzwoniłam do ZD. Czekala nas ciężka noc — oboje byliśmy tego pewni — i chcieliśmy być możliwie dobrze przygotowani. Porozmawiałam z bardzo miłą i współczującą pracownicą społeczną, która uspokoiła mnie, że dobrze zrobiłam. Miała na imię Christine; zapewniła mnie, że natychmiast wszystko zanotuje i będzie pod telefonem w każdej chwili, przez cały wieczór.

Ale okazało się, że nie musiałam więcej dzwonić do Christine, bo reszta wieczoru upłynęła spokojnie. Sophia zrobiła, co jej kazano, i została w swoim pokoju; zeszła tylko około dziesiątej wieczorem po coś do picia. Nie odezwaliśmy się słowem, i ona też nie paliła się do rozmowy. Kiedy już zrobiła, co miała do zrobienia, ostentacyjnie tłukąc naczyniami, wróciła do łóżka. Odetchnęłam z ulgą. W końcu udało mi się zasnąć. Mike’owi też. Oboje byliśmy wykończeni. Ale w niedzielę obudziłam się z potwornie ciężkim sercem, a w głowie natychmiast zaczęły mi się kłębić wydarzenia poprzedniego dnia. Delikatnie obudziłam Mike’a.

— Kochanie, wstaniesz i zejdiesz ze mną na dół? — Nie czułam się na siłach samotnie stawiać czoła temu porankowi i Sophii.

— Jasne, kotku — powiedział, przeciągając się i biorąc mnie w ramiona, żeby się poprzytulać. — Ale poleżmy jeszcze dziesięć minut, co? Myślałem o wczorajszym wieczorze. — Uściskał mnie. — Pewnie nie tylko ja? I to jest oczywiste, że Sophia jest o wiele bardziej zaburzona, niż się wszystkim wydawało. Wczoraj była przerażająca. To nie był zwykły wybuch gniewu, prawda? To było makabryczne. A my nie mamy kwalifikacji, żeby zajmować się czymś takim. Moim zdaniem ona jest chora psychicznie i ktoś powinien się tym zająć. Ale nie my. Odpowiedni ludzie.

Kiwnęłam głową.

— Zgadzam się z tobą. Myślę dokładnie tak samo. Kiedy będę jutro rozmawiać z Johnem, poproszę go, żeby zamówił dla nas wizytę z OPPDM, czy coś.

OPPDM, czyli Ośrodek Pomocy Psychiatrycznej dla Dzieci i Młodzieży. Opieka społeczna korzystała z ich usług, kiedy dziecko przejawiało tak niepokojące zachowania jak Sophia. Problem polegał na tym — co wiedziałam jeszcze z czasów pracy w szkole — że zawsze mieli długą kolejkę oczekujących. Mieli też bardzo sztywne zasady, kto mógł trafić pod ich opiekę. I zwykle godzili się pracować tylko z dziećmi umieszczonymi w stałych rodzinach zastępczych. Ich argumenty były proste — wtedy ich działania nie były zakłócone przez takie niespodzianki, jak przeprowadzka czy zmiana szkoły.

Ale warto było spróbować. Tym trzeba było się zająć jak najszybciej. Byłam coraz bardziej przekonana, że to dziecko potrzebuje pomocy, jakiej my nie jesteśmy w stanie mu zapewnić.

— No dobrze, to ustalone — powiedział Mike, wstając z łóżka. — Chodź, mikrusie, do roboty. Ale ty masz dzisiaj wolne. Począwszy od jedzenia. Żadnego gotowania obiadu. Wychodzimy na niedzielny obiad na miasto. I może zaprosimy Davida i Riley, co? Zaslugują na mały rewanż za całą ciężką pracę przy organizowaniu wczorajszej imprezy. A poza tym, do cholery, musimy odzyskać trochę normalności w życiu. — Zmarszczył brwi. — Ale może lepiej nie zabieramy Kierona i Lauren, hm? On chyba potrzebuje paru dni, żeby od tego wszystkiego odpocząć. No wiesz, musi ochłónąć.

Znów poczułam się koszmarnie na myśl o moim biednym synu. I nie byłam pewna, czy zabieranie dzisiaj Sophii dokądkolwiek to był dobry pomysł.

— Myślisz, że to rozsądne? — spytałam, wkładając szlafrok. — Takie wspólne wyjście? Nie wiem, czy mam dość siły, żeby szamotać się z nią tutaj, a co dopiero zabrać ją do ludzi.

Mike usiadł na łóżku.

— Moim zdaniem właśnie to musimy zrobić, Case. Przejąć kontrolę nad sytuacją, zamiast pozwalać, żeby to ona kontrolowała nas.

Uśmiechnęłam się.

— To samo mówiłeś, kiedy Riley była mała i zaczynała się złościć, pamiętasz?

— O tak — odparł. — I to samo ma zastosowanie teraz. — Kiwnął głową w kierunku pokoju Sophii. — Obstawiam, że ona tam siedzi przerażona na myśl, że musi dzisiaj spojrzeć nam w oczy. Więc najlepsze, co możemy zrobić, to nie rozdmuchiwać sytuacji. Mamy plan działania, zgłosiliśmy incydent, nie siedzimy beczynnienie. Nie ma sensu robić jej wykładów. To będzie jak rzucanie grochem o ścianę. Dzisiaj po prostu przyjmujemy jej przeprosiny, bo jestem pewien, że przeprosi, i postaramy się przeżyć normalną, szczęśliwą, rodzinną niedzielę. Zgoda?

Skinęłam głową. Miał rację.

— Zgoda.

— Ale jeśli się mylę i ona wyjdzie z pokoju z naładowanymi pistoletami, jak Paul Newman i Robert Redford pod koniec *Butcha Cassidy*...

— To co?

Puścił do mnie oczko.

— To pakuję manatki i wyprowadzam się z domu.

Okazało się jednak, że nie musiał. Ledwie zesliśmy na dół i zaparzyliśmy kawę, w kuchni zjawiała się Sophia. Była w szczelnie zapiętej piżamie i zawiązanym szlafroku, a jej oczy wyglądały, jakby zaliczyła dziesięć rund na ringu. Musiała płakać godzinami.

— Och, Mike — powiedziała cieniutkim głosem. — Och, Casey.

Po czym siadła i z miejsca wybuchnęła płaczem.

Rozdział 16

Kiedy zadzwoniłam do Riley, z całym rozmysłem nie powiedziałam jej o zeszłym wieczorze, ale kiedy spotkaliśmy się wszyscy, było jasne, że od czasu mojego telefonu rozmawiała z Kieronem. Który najwyraźniej wprowadził ją w szczegóły.

— No proszę, Panna Push-up — przywitała moją młodą podopieczną, kiedy zjawiliśmy się w pubie. Skrzywiłam się, widząc, jak twarz Sophii czerwienieje.

— Przepraszam, Riley — powiedziała. — Nie chciałam niczego złego, naprawdę. Miałam chyba jakiś atak, czy coś. — Spuściła oczy i zaczęła się bawić sztucami. Wtrąciłam się.

— No właśnie, kochanie, z całą pewnością miała jakiś atak. Ale jak to mawia twoja babcia, im mniej się gada, tym szybciej się goi. No, oddawaj mi to twoje dziecko. I siadajcie. To jak, co dzisiaj jemy? Wołowina czy wieprzowina?

Mike miał rację. Wyjście na obiad było dobrym pomysłem. Dom wydawał się za ciasny po tylu krzykach i złych emocjach, a nasz ulubiony pub w sąsiedniej dzielnicy miał na szczęście dość duży stół, przy którym pomieściliśmy się wszyscy.

Po dramatycznych wydarzeniach sobotniego wieczoru niedzielny poranek był zaskakująco spokojnym kontrapunktem. Po prostu usiedliśmy z Sophią, i kiedy ja ją tuliłam i pocieszałam, Mike spokojnie jej wytłumaczył, że trochę nas martwią te jej „dziwne ataki” i że spróbujemy poszukać dla niej odpowiedniej pomocy. Była potulna i cicha — naprawdę tak zdruzgotana, na jaką wyglądała — i przyznała, że nie wie, skąd się biorą te jej napady furii. Ani ta potrzeba prowokacyjnych zachowań.

Potem powiedzieliśmy jej, że jest po sprawie i że wychodzimy na dobry obiad; natychmiast się rozchmurzyła, dopóki nie wspomnieliśmy, że Riley i David też będą.

— Nie powiecie im?

— Nie — odparłam. — Jak już mówiłam, dla nas jest po sprawie. A teraz weź leki, przekąś coś i może wróc na dwie godzinki do łóżka, co?

Więc było mi tym bardziej przykro, że Riley nie zdołała się powstrzymać od docinka, ale rozumiałam ją — moje dzieci były wobec siebie bardzo lojalne jako rodzeństwo. Riley zawsze żywiła szczególnie opiekuńcze uczucia dla młodszego brata z powodu jego zespołu Aspergera. Wiedziałam więc, jak bardzo musiała się rozgniewać.

Ale obiad upłynął nam spokojnie. Było całkiem miło — w dużej mierze dlatego, że Levi robił za gwiazdę, z dumą zasiadając na wysokim krzeselku, które ustawiłam obok Sophii. A kiedy już rozprawiliśmy się z głównym daniem i Sophia spytała, czy może zabrać małego do ogródka pubu, żeby powozić go w wózku, zgodziłam się z wielką radością. Zresztą Riley i ja mogłyśmy pójść razem z nią; dało mi to okazję, żeby sobie zapalić.

Poczekaliśmy, aż Sophia znalazła się poza zasięgiem słuchu, na małym placu zabaw; teraz wreszcie mogłyśmy porozmawiać o tym, co nam obu nie dawało spokoju.

— Ale, mamó — zaczęła Riley, kiedy już wyjaśniłam jej, jak chcemy to rozegrać — przemykanie oka na to wszystko z pewnością jej nie pomoże. Jeśli będziecie to robić, to skąd ona ma wiedzieć, kiedy postępuje źle?

W innych okolicznościach Riley pewnie miałyby rację. Lecz nie tym razem.

— Właśnie w tym rzecz, skarbie. Ona wie, że postępuje źle. Jestem tego pewna. Problem polega na tym, że nie jest w stanie nad sobą zapanować. Kiedy zachowuje się w taki sposób, sprawia wrażenie zupełnie innej osoby.

— Więc tak po prostu to ignorować? To chcesz powiedzieć?

— No, nie. Musimy jakoś reagować na jej zachowanie. Ale jest coraz bardziej oczywiste, że reprimendami nie osiągniemy niczego. Nie, kochanie, wydaje mi się, że to nie taka prosta sprawa. Tym razem sami musimy zawołać o pomoc, i to głośno. I nie przestawać, dopóki jej nie otrzymamy.

Widziałam, że Mike gestykułuje do nas ze środka, wskazując palcem otwarte usta.

— Chodź, skarbie — powiedziałam, gasząc papierosa. — Zdaje się, że tata chce zamawiać

deser. — Pomachałam do Sophii i ją też wezwałam do środka. — I dzięki. Wiem, że to ciężka próba, ale naprawdę uważam, że ona jest chora.

Riley zmarszczyła brwi.

— Okej, bylebyś tylko ty się przez nią nie rozchorowała. Albo tata.

— Nic nam nie będzie, kochanie — uspokoiłam ją. — Obiecuję.

Ja też czułam się uspokojona i pewniejsza siebie. Zaczął się nowy tydzień, a we mnie wstąpiła nowa determinacja i nadzieja na postępy. Zamierzałam zabiegać o wsparcie, którego potrzebowała Sophia, i tak jak powiedziałam Riley, nie miałam zamiaru przestać, dopóki go nie uzyskam. Czułam się lepiej pod każdym względem. Mieliśmy spokojne popołudnie, o wiele lepiej wyspałam się w nocy, a co najlepsze, w niedzielę zadzwonił Kieron i obiecał, że po zajęciach wróci do domu, pod warunkiem że jakoś uspokoiłimy Sophię.

Ale kiedy Sophia wyszła do szkoły a Mike do pracy, potrzebowałam dość długiej chwili, żeby uporządkować sobie wszystkie fakty, przejrzeć dziennik i wypisać sobie listę wszystkich incydentów, żeby spójniej uargumentować konieczność uzyskania pomocy. Musiałam klarownie przedstawić eskalację problemu i wyraźnie zaznaczyć, że choroba Addisona, która była uważana za główny problem, zeszała na dalszy plan w obliczu jej niestabilności umysłowej.

— Chyba masz rację, Casey — przyznał John, kiedy odczytałam mu listę. — To rzeczywiście wygląda na nieopanowaną huśtawkę emocjonalną. To o wiele poważniejsza sprawa niż nam to przedstawiono. I przepraszam. Przepraszam, że ty i Mike musicie to wszystko przeżywać. — Westchnął. — Zdaje się, że jesteście ofiarami własnego sukcesu. Wszyscy zakładaliśmy, że poradzicie sobie ze wszystkim. Zdaje się, że nie byliśmy zbyt pomocni, co?

— Wcale tak nie uważamy, John — odparłam. — Wiemy, że mamy wasze wsparcie w razie potrzeby. Tylko widzisz, ja czuję, że temu należy nadać status „pilne”. Musimy uzyskać dla niej właściwą pomoc.

John obiecał mi, że z pewnością ją otrzymamy. Powiedział, że skontaktuje się w moim imieniu z opieką społeczną i z OPPDM i zobaczy, co się da załatwić.

— I zadzwonię do ciebie później — dokończył — żebyśmy mogli się umówić na zebranie.

Ach, zebrania, pomyślałam, odkładając słuchawkę. Zawsze można było się pocieszyć obietnicą zebrania. Oczywiście to nic pilnego. Ot, kolejne zebranie. Właśnie tak było w opiece społecznej: niekończąca się biurokracja. I nawet jeśli służby socjalne wykonują świetną robotę — a tak jest — na tych zebraniach rzadko kto spieszył się z życiowymi decyzjami. Być może należałoby poprosić te wszystkie biedne dzieciaki, żeby zechciały łaskawie poczekać dwa tygodnie ze swoimi kryzysami emocjonalnymi.

Poszłam do kuchni, żeby zrobić tosty. Byłam sfrustrowana. Teraz nie pozostało mi już nic oprócz czekania. Ale tymczasem może mogłabym skoczyć do miasta i kupić sobie nową torebkę. To by mnie rozweseliło, pomyślałam. Genialny pomysł. Uśmiechnęłam się do siebie, kiedy dotarło do mnie, w jaki sposób pracuje mój umysł. Oto jestem na granicy załamania, mój nieszczęsny syn z trudem wytrzymuje we własnym domu, a ja myślę tylko o kupowaniu torebek!

Nie spieszyło mi się jednak i zanim wyruszyłam z domu, John zdążył oddzwonić z informacją, że OPPDM zgodził się na jednorazowe spotkanie z Sophią i że on sam ustali ze wszystkimi zainteresowanymi dogodny termin. Niczego nie obiecywali, bo musieli jeszcze ocenić, czy Sophia spełnia ich kryteria, ale zawsze był to jakiś początek.

Wybrałam się do miasta w trochę lepszym nastroju. Który, niestety, nie miał potrwać długo. Około pierwszej zaspokoilałam wreszcie swoją torebkową chciwą, kupując piękny, błyszczący okaz z czerwonej patentowej skóry (przecudny i idealny, ale i tak musiał odleżeć swoje w szafie, w ukryciu przed Mikiem). Właśnie myślałam o lunchu, kiedy zadzwoniła moja komórka.

— Haaloo! — odebrałam wesolutko, nawet nie zerknąwszy na wyświetlacz, bo byłam pewna, że to Riley.

— Pani Watson? Casey? Barker z tej strony. Przepraszam, że niepokoję, może pani rozmawiać?

Serce mi się ścisnęło. Barker, przełożony rocznika Sophii.

— Tak, oczywiście — odpowiedziałam. — Znowu jest chora?

— Tym razem nie — wyjaśnił — ale to i tak poważna sprawa. Wiedziała pani, że przyniosła dziś ze sobą do szkoły telefon komórkowy?

Cholera, zakląłam w duchu. Nawet o tym nie pomyślałam.

— Nie, nie wiedziałam — odparłam, myśląc, że pan Barker chyba trochę przesadza.

Mnóstwo dzieci nosiło komórki do szkoły. — Ale wie pan co — ciągnęłam — to moja wina. To był prezent urodzinowy i zwyczajnie zapomniałam jej powiedzieć, że telefony są zakazane w szkole.

— Nie chodzi o sam fakt, że go przyniosła — wyjaśnił pan Barker. — Problem w tym, co z nim robiła.

— Nie rozumiem.

— Właśnie odwiedziła nas bardzo rozgniewana mama jednego z uczniów, Jake'a Enfielda. Przywiozła go z lunchu i przyszła poskarżyć się w sprawie bardzo niepokojących zdjęć w jego telefonie, które przysłała mu Sophia.

O nie...

— Co to za zdjęcia?

— Nagie, ogólnie rzecz biorąc. I dowiedziałem się od Jake'a, że dostało je sporo chłopców.

— Dobry Boże! Zaraz tam będę. Oczywiście jeśli pan mnie tam chce. Sophia jest teraz na lekcji?

— Nie, siedzi w gabinecie pielęgniarki. Nie chce nam oddać telefonu i liczyliśmy na to, że może pani ją przekona. Musimy wiedzieć, kto jeszcze dostał zdjęcia i dopilnować, żeby wszystkie zostały skasowane.

Jechałam do szkoły z miasta zarazem wściekła i skonsternowana. Po tym wszystkim, co mówiliśmy wczoraj! Na litość boską, co ją opętało? Ale czy próby zrozumienia jej w ogóle miały jakiś sens? Właśnie w tym problem — nie można racjonalnie wytłumaczyć tak nieracjonalnego zachowania. Dlatego potrzebowaliśmy psychiatry.

Kiedy weszłam do gabinetu pielęgniarki, Sophia siedziała w kącie z zaciętą miną, ściskając szkolną torbę, jakby zależało od tego jej życie. Myśl, Casey, myśl. Jak to rozegrać.

Usiadłam naprzeciw niej, starając się skupić jej uwagę na sobie zamiast na rozgniewanej nauczycielce, która weszła za mną. Pan Barker też był w pomieszczeniu, stał z boku.

— Wszystko dobrze, skarbie? — spytałam łagodnie. — Właśnie mówiłam panu Barkerowi, że to poniekąd moja wina, bo rano zapomniałam ci powiedzieć, że nie wolno przynosić komórek do szkoły.

Sophia wytrzeszczyła na mnie oczy jak na głupią.

— Casey, wszyscy przynoszą komórki do szkoły.

— Cóż, pewnie tak — przyznałam. — Ale teraz, kiedy ciebie przyłapano z twoją, raczej nie będziesz mogła więcej jej przynosić.

— Dobra! — warknęła. — To co, teraz odsyłacie mnie do domu? Czyli że możemy już iść?

— Za chwileczkę, skarbie. Najpierw muszę skasować te głupie zdjęcia. Chyba nie chcesz, żeby wszyscy je zobaczyli, prawda?

— Już je skasowałam — oznajmiła, mordując wzrokiem nauczycielkę. — Myślisz, że chcę, żeby te zboki się na mnie gapiły?

— Bądź grzeczniejsza — powiedziałam łagodnie. — I mimo wszystko muszę dostać telefon. Nie chodzi tylko o to, czy zniknęły od ciebie, ale i o to, kto jeszcze je ma. Chyba nie chcesz, żeby zobaczyli je inni rodzice?

Wreszcie jakby jej zaświtało, że sprawa wymknęła się jej spod kontroli. Odsunęła zamek torby i niemal rzuciła we mnie telefonem. Już po chwili, mimo moich ograniczonych umiejętności komórkowych, mieliśmy numery sześciu chłopaków, którym wysłała zdjęcia.

Na całe szczęście szkoła postanowiła dać tej sprawie spokój, choć wiedziałam, że mają swoje poglądy na moje miękkie podejście do dyscyplinowania Sophii. Ale wolałam im jeszcze nie wspominać o ośrodku pomocy psychiatrycznej — nie chciałam jeszcze bardziej destabilizować jej życia, a tak by się stało, gdyby szkoła włączyła się w sprawę i przylepiła jej łatkę wariatki. Przynajmniej na razie, dopóki nie wiedzieliśmy, dokąd zmierzamy.

Co do Sophii, chwilowo zmierzałam donikąd. W drodze do domu zrobiła dobry użytek z prawa do milczenia i uparcie odmawiała odpowiedzi na wszelkie pytania. I osiągnęła, co chciała. Przystałam wypytywać.

Ale nie oddałam jej telefonu. Skoro ona nie chciała ze mną współpracować, to ja też nie chciałam. Miałam nadzieję, że szlaban na komórkę każe jej się przynajmniej zastanowić nad konsekwencjami jej działań. Nie spodziewałam się, że ten szlaban będzie miał wpływ i na mnie — i że ja będę się zastanawiać nad możliwymi konsekwencjami działań Mike'a.

To się stało w czwartek. Około dziewiątej wieczorem. Mike i ja oglądaliśmy właśnie wiadomości, kiedy zadzwonił telefon w przedpokoju. Kieron był u siebie, Sophia leżała już w łóżku i moja pierwsza myśl — a właściwie jedyna — była taka, że to moja mama. Często dzwoniła o tej porze, kiedy wiedziała, że będziemy mogły pogadać w spokoju, a poza tym, jak wiele osób w jej wieku, nie przepadała za komórkami.

Ale to nie była mama, to była Jean, poprzednia opiekunka Sophii.

— A, dobry wieczór — powiedziała, kiedy już się przedstawiła, a ja przerobiłam w głowie typowe: Jean? Jaka Jean? Ostatecznie spotkałyśmy się tylko raz. — Jak się pani miewa? — spytałam, pamiętając, że była chora.

— Ja? Ja się miewam doskonale — odparła ostrym głosem. — Bardzo dziękuję. Choć nie mogę powiedzieć tego samego o Sophii.

I treść, i ton tej wypowiedzi wywołały dwa efekty. Po pierwsze, natychmiast się najeżyłam. Kto odzywa się do ledwie znanej sobie osoby w tak agresywny sposób? Po drugie, wmurowało mnie w ziemię. Niby skąd ona wie, jak się miewa Sophia? Przecież to my się nią opiekowaliśmy. Dziwne. Przeszło mi przez głowę, że może John jej coś wspomniał. Wątpiłam w to, ale nawet jeśli, to skąd ten sarkazm?

— Obawiam się, że nie rozumiem — odrzekłam uprzejmie, choć przez zaciśnięte zęby. — Co takiego dzieje się z Sophią?

— Nie dzwoniła do mnie od trzech dni, więc wiem, że dzieje się coś złego. — I znów ten oskarżycielski ton. — Próbowałam się dodzwonić na jej komórkę — ciągnęła — i włącza się od razu poczta głosowa. Wyjaśni mi pani, dlaczego?

Do mojej irytacji dołączyła dezorientacja. Od trzech dni? Co to niby miało znaczyć? Kiedy rozmawiała z Sophią?

— Nie rozumiem — powiedziałam. — Pani rozmawiała z Sophią przez telefon?

Mike lekko ściszył telewizor i wyszedł do przedpokoju. Patrzył na mnie, zdziwiony, pytając wzrokiem, co się dzieje.

— Ależ oczywiście — odparła Jean. — Często do mnie dzwoni. W każdym razie kiedy ma dostęp do telefonu i trochę prywatności... Miałam nadzieję, że od kiedy ma komórkę, będzie jej trochę łatwiej, ale wygląda na to, że to też pani ukróciła, co?

Gdyby moja zuchwa była wystarczająco długa, uderzyłaby w podłogę.

— Co? — spytałam. — Jean, Sophia nie ma po co do pani dzwonić. A w każdym razie nie bez mojego pozwolenia. A komórka, którą my jej kupiliśmy, to nie pani sprawa. I szczerze mówiąc, nie podoba mi się pani ton.

— O, domyślam się — odszczeknęła. Teraz już niemal krzyczała. — Bała się pani, że opowie mi, jak została siłą zawleczona na piętro przez pani męża? No więc, spóźniła się pani, bo...

Teraz to ja podniosłam głos. Nic nie mogłam poradzić. Byłam wściekła.

— Jak pani śmie w ten sposób do mnie mówić! — odpowiedziałam. — Rozłączam się i sugeruję, żeby nie dzwoniła pani więcej do mojego domu, okej?

Nie słyszałam odpowiedzi, bo trzasnęłam słuchawką o widelki.

— Boże święty! — rzuciłam wściekła.

— Co? — spytał Mike. — O co chodziło? Kto to był, do licha?

Zaczęłam płakać, jak to się czasem dzieje po niespodziewanej konfrontacji. I trząść się.

— Boże! Co za babsztyl! Mike, jestem taka wściekła, że chyba zacznę wrzeszczeć!

— Ale co powiedziała?

— Okazuje się, że Sophia dzwoniła do niej, i to od początku pobytu u nas. Zasadniczo po to, żeby zdawać relacje, jak ją traktujemy. Boże, w głowie mi się nie mieści! Za kogo ona się uważa, do cholery?

— Ale co powiedziała?

— Była zła, że telefon Sophii przełącza się na pocztę głosową. Wyobrażasz sobie taką bezczelność? Komórka, którą my kupiliśmy!

Z całych sił próbowałam wziąć się w garść. Nie chciałam powtarzać Mike'owi, co mówiła o nim. To by w niczym nie pomogło. Ale, Boże, czułam się zdradzona. To było okropne. Dlaczego Sophia to zrobiła? Nie, to było głupie myślenie. Dlaczego Sophia robiła cokolwiek? Ale mimo wszystko czułam się, jakbym dostała w twarz. Tak bardzo się staraliśmy, ale ona najwyraźniej była z nami nieszczęśliwa. Bo dlaczego miałyby knuć w taki sposób za naszymi plecami?

Wymagało to ode mnie ogromnej siły woli, by powstrzymać się przed konfrontacją z Sophią następnego ranka. Zresztą, pewnie i tak byłoby to bezowocne. Pewnie znów odpowiedzią byłoby nadąsane milczenie, którego w obecnym nastroju nie przyjęłabym tak łaskawie jak wcześniej. Ale Mike był stanowczy. Musimy za wszelką cenę unikać eskalacji, kolejnego wybuchu. A poza tym, tak naprawdę to nie była wina Sophii. Mimo całej mojej urazy jej uczucia wobec nas — wobec mnie — były jej prywatną sprawą. Nie mogłam znieść tylko tego spisku... i tonu Jean. Jak ona śmiała osądzać nas na podstawie oskarżeń rozchwianej trzynastolatki? Przecież przeszła szkolenie opiekuna zastępczego, prawda? Więc, do cholery, powinna używać własnego rozumu!

Nie, potrzebowałam porozmawiać z Johnem, nie z Sophią. W tej chwili. Zadzwoniłam do niego, jak tylko miałam dom dla siebie, i zrelacjonowałam mu rozmowę z Jean, starając się nie stracić panowania nad sobą.

— Więc się rozłączyłam — powiedziałam. — I jeszcze dziś wszystko się we mnie gotuje. Na jakiej podstawie ona uważa, że ma prawo robić coś takiego? Mówię ci, czuję się, jakby ktoś ze mnie zadrwił.

— Rozumiem cię — odpowiedział uspokajającym tonem. — To musiał być niemały szok. Ale cokolwiek sobie myślisz, jestem pewien, że to nie wynikało ze złej woli. Jej naprawdę zależy na dobru Sophii. Owszem, nie powinna była robić czegoś takiego. Jasna sprawa. Ale myślę, że ona ma ogromne poczucie winy, że ją porzuciła, i...

— John, na litość boską, ona jej nie porzuciła. Była chora. Przecież niedługo weźmie ją z powrotem...

Zapadło niezręczne milczenie. John odchrząknął. O-o. Dobrze znałam ten odgłos.

— No więc właśnie w tym rzecz. Chciałem z tym poczekać do zebrania, żeby wam to powiedzieć osobiście...

Poczułam zimny dreszcz. Co chciał nam powiedzieć? Czyżby Jean namówiła Sophię do złożenia skargi?

— Co się stało? — spytałam. — Jeszcze nie wyzdrowiała? Rzeczywiście wydawała się mocno spięta...

— No, nie. Nie o to chodzi. I błagam cię, ani słowa Sophii, oczywiście, ale... widzisz, ona nie chce jej z powrotem. Casey, ona zrezygnowała.

— O Boże, John. Naprawdę?

Westchnął.

— Niestety tak.

Rozdział 17

Miałam zamęt w głowie. Jak to wpłynie na całą sytuację? Jak przyjmie to Sophia? I w jakiej sytuacji stawiało to nas? Czuję też gniew na Jean. Za to, że stchórzyła. Próbowałam nad tym zapanować — nie znałam przecież wszystkich okoliczności, prawda? Ale po tym, jak ze mną rozmawiała, trudno mi było wykrzesać współczucie.

— Casey, to był szok dla nas wszystkich — mówił John. — Nikt się tego nie spodziewał. Ale wygląda na to, że Jean nie jest zbyt odporna. Wręcz przeciwnie. Tak między nami, to dość delikatna osoba i opieka zastępcza była dla niej zbyt dużym szokiem.

Dla mnie też była, pomyślałam, więc potrafiłam to zrozumieć. Ale to nie było zobowiązanie, które podejmowało się lekkomyślnie. Przecież w trakcie szkolenia ktoś powinien przeprowadzić z nią wywiad psychologiczny i zorientować się, że ona się do tego nie nadaje. A przynajmniej do opieki specjalistycznej. Powiedziałam to Johnowi.

— Może po prostu wrzucono ją na zbyt głęboką wodę — gdybał John. W końcu odchrząknął. — Ale dowiedziałem się czegoś na ten temat. Ona nie jest specjalistką, Casey. Źle to wszystko zrozumiałem. Jean jest zwykłą opiekunką zastępczą, do której zwrócono się w nagłej sytuacji. Wujek praktycznie zostawił Sopię pod drzwiami opieki społecznej. Jean pewnie nie powinna dostać na pierwszy raz takiego dziecka jak Sophia. Ale też nikt nie wiedział o niej tego, co wiemy teraz. — Westchnął. — Jean teraz przyznaje się wreszcie, że Sophia była jednak powodem jej załamania. No cóż, przynajmniej mamy kolejny fakt. To ją po prostu przerosło.

— Ale co będzie teraz?

— No cóż, mogę cię zapewnić, że intensywnie szukamy nowego stałego miejsca dla Sophii, ale nie będę owijał w bawełnę, to może potrwać. A to znaczy, że ty i Mike będziecie ją mieli u siebie trochę dłużej. Ale powtarzam, najważniejsze to na razie nie mówić o tym Sophii.

— Nie, oczywiście, ale... Boże! Jak to na nią wpłynie, kiedy już się dowie? Ona jest bardzo przywiązana do Jean, dzwoniła do niej regularnie...

— I dlatego będziemy wdzięczni, jeśli pozwolisz im pozostać w kontakcie. Oczywiście tym razem oficjalnie. Jean bardzo na tym zależy, ona wciąż chce grać jakąś rolę w życiu Sophii, jeśli to wykonalne. I chyba nie ma w tym nic złego, co?

— Nie — przyznałam. — Chyba nie.

— No właśnie. Mała będzie miała większą grupę wsparcia.

Pomyślałam o tym, co powiedziałam Jean na pożegnanie i poczułam się winna. Owszem, sama mnie sprowokowała, i to w niewybaczalny sposób. Ale może powinnam czuć mniej gniewu, a więcej współczucia. Na pewno nie było jej łatwo i pewnie ma ogromne poczucie winy wobec Sophii.

— Zadzwoń do niej — powiedziałam Johnowi. — Jakoś to załagodzę. I zobaczę, co się da zorganizować w kwestii ich kontaktów.

— Dzięki za wyrozumiałość, Casey. Bardzo to doceniam. I przepraszam, że nie poinformowaliśmy cię o tym od razu. Ale prowadzący Jean był pewny, że ona jeszcze się zastanowi i zmieni zdanie. Ale słuchaj. — Jego ton poweselał. — Mam też dobre wieści, z którymi i tak miałem do ciebie dzwonić. Udało mi się dostać raport policyjny z wypadku Grace.

— Nareszcie. No i?

— I z pewnością rzuca światło na sporo spraw. Mam też psychiatryczną ewaluację, na którą będziesz mogła spojrzeć. Jak stoicie z czasem? Bo ja mam sporo wolnych terminów w drugiej połowie tygodnia.

— Im szybciej, tym lepiej, John.

Raport policyjny miał postać dużej, tekturowej teczki, na której czerwonymi literami wypisane było słowo „Poufne”. John podsunął ją mnie i Mike’owi na stole w jadalni.

— Ostrzegam cię, Casey — powiedział. — To dość ponura lektura. Czytałem to już dwa razy i jeśli Sophia naprawdę dusi w sobie coś takiego, to nic dziwnego, że ma problemy psychologiczne.

Otworzyłam teczkę. Wiedziałam przynajmniej tyle, że po poznaniu historii Justina — nie wspominając już o dzieciakach ze szkoły — potrzeba by wiele, żeby mną wstrząsnąć. I nie myliłam się. Historia Sophii była nie tyle wstrząsająca, ile tragiczna. Dziewczynka po prostu urodziła się nieodpowiedniej matce, w nieodpowiednim momencie.

Zaczęliśmy czytać z Mikiem. Na pierwszej stronie było mnóstwo żargonu, danych takiego i śmokiego funkcjonariusza, i kto co robił, a dalej była transkrypcja rozmowy telefonicznej Sophii z dyspozytornią służb ratunkowych.

Dyspozytor numeru 999: Policyjne Centrum Szybkiego Reagowania. W czym mogę pomóc?

Dziewczynka: Chodzi o moją mamę. Chyba nie żyje.

Dyspozytor: Możesz mi podać imię i adres, kochanie?

Dziewczynka: Tak, jestem Sophia, mieszkam przy [adres podany].

Dyspozytor: W porządku, kochanie. A ile masz lat?

Sophia: Prawie jedenaście.

Dyspozytor: Dziękuję, Sophio. Teraz posłuchaj, policjanci już jadą do twojego domu, więc nie rozłączaj się i rozmawiaj ze mną, dopóki do ciebie nie dotrą, okej? Potem musisz ich wypuścić. Dobrze, kochanie? Zrozumiałaś?

Sophia: Tak, dobrze. Ale ona nie żyje. Chyba... Na pewno. [Pauza] Spadła ze schodów, tak myślę, i widzę krew. Jest strasznie zimna.

Ten wyprany z emocji, pisany na maszynie raport sprawiał, że fakty wydawały się tym straszniejsze. Przeczytałam do końca rozmowę Sophii z dyspozytorem i spróbowałam sobie wyobrazić, jakie to uczucie, odebrać taki telefon.

Dalsza część raportu opisywała miejsce zdarzenia. Funkcjonariusze zastali na parterze domu dwie dziewczynki w szkolnych mundurkach. U stóp schodów znaleźli Grace Johnson, nieprzytomną, z raną głowy. Jej oddech był płytki, puls słaby i podejrzewano złamanie dwóch kończyn. Ratownicy medyczni zjawili się o ósmej trzydzieści i ofiara została zabrana do pobliskiego Szpitala St Luke. Na szafce przy łóżku pani Johnson znaleziono puste opakowanie po diazepamie.

Dalej było, że obie dziewczynki zostały przesłuchane. Sophia zeznała, że ostatni raz widziała matkę o dziewiętnastej trzydzieści poprzedniego wieczoru. Poszła do jej pokoju, by ucałować ją na dobranoc; wcześniej matka powiedziała jej, że źle się czuje i musi się położyć. Koleżanka, Caitlyn, stwierdziła, że w ogóle nie widziała pani Johnson, ani poprzedniego, ani tego dnia. Kiedy Sophię zapytano, czy cokolwiek słyszała — odgłos upadku w nocy — Sophia zaczęła płakać i wyznała funkcjonariuszce: „Ona mi powiedziała, że to zrobi”. O ósmej pięćdziesiąt zjawił się funkcjonariusz do spraw kontaktów z rodzinami i zabrał obie dziewczynki na komendę.

— Boże — powiedziałam do Johna, kiedy już skończyłam czytać. — Wyłożone w taki sposób... no cóż, raczej nie pozostawia złudzeń, co? W jakim stanie musiała być Sophia?

— To jeszcze nie wszystko — odparł John. — Kiedy odwrócisz kartkę, zobaczysz, że jest tego więcej. Grace naprawdę wzięła te pigułki jakiś czas przed upadkiem, a parę stron dalej napisano, że Sophia na wiadomość, że jej mama żyje, zachowała się bardzo dziwnie. Tylko wzruszyła ramionami i powiedziała: „Ale pewnie umrze, zgadza się?” Potem znów ją przesłuchali, bo podejrzewali, że wie coś więcej. Jednak przy kolejnym przesłuchaniu ona w ogóle się nie odezwała i w końcu uznali, że jest w szoku spowodowanym nieudaną próbą samobójczą matki.

— To jakiś obłąd — powiedział Mike. — Jakim cudem my nic o tym nie wiedzieliśmy? Jakim cudem nie wiedziała o tym opieka społeczna? Dla mnie jest jasne, że zdaniem policji cała ta sprawa była mocno podejrzana!

John przez długą chwilę przyglądał się Mike'owi.

— Wiesz, co ja myślę? — rzekł w końcu. — Co mi podpowiada instynkt? Czuję, że tak naprawdę nikt nie chciał w tym grzebać, więc nikt nie zadawał pytań. Próba samobójcza albo wypadek. Sprawa zamknięta. A dostanie tego w ręce nie sprawiło mi wielkiego kłopotu. Wystarczyły dwa telefony. Nic więcej. No i mamy tu wszystko. Czarno na białym.

— Ale to straszne — powiedziałam, po raz kolejny przymierzając się do myśli, że być może mamy w domu niedoszłą morderczynię.

— I co ty o tym myślisz, John? — spytał Mike z przekąsem. — Bo ja nie odnoszę wrażenia, żeby policja jakoś szczególnie się postarała? Tak po prostu przyjęli pierwsze wyjaśnienie, co? Że matka Sophii zrobiła to sobie sama? I na tym koniec?

— Wiem, Mike — odparł John. — Doskonale cię rozumiem. Owszem, sprawę zamknięto jako prawdopodobne usiłowanie samobójstwa. — Podsunął nam na stole jeszcze jedną teczkę. — Tutaj jest też ewaluacja psychiatryczna, którą może zechcecie przeczytać i z której wynika dość jednoznacznie, że Sophia nie próbowała zabić matki. Ale przeczytajcie to sami. Myślę, że dojdziecie do tego samego wniosku, co ja: że cokolwiek się stało czy nie stało, to dziecko nigdy nie powinno było trafić pod opiekę zastępczą bez właściwego psychologicznego wsparcia. W głowie się nie mieści, że została oddana nam, a właściwie wam, bez poinformowania zainteresowanych o wszystkich zaistniałych faktach.

— Tu masz rację — zgodził się Mike. Odwrócił się do mnie. — I dobrze wiedzieć chociaż to, że raczej nie pozabija nas w łóżkach, co, kochanie?

Uśmiechnął się. Ale w tym uśmiechu nie było cienia humoru.

John miał rację. Lektura raportu psychiatrycznego powiedziała nam bardzo wiele. I znów — było to niewiarygodne, że to dziecko mieszkało u nas już od dwóch miesięcy, a my dopiero teraz dostaliśmy te dokumenty do rąk.

Kiedy już stało się jasne, że matka ze swoimi urazami głowy najprawdopodobniej nie odzyska przytomności, Sophii zaproponowano terapię psychologiczną. W tym czasie mieszkała już z wujkiem i jego żoną i cała reszta rodziny też chodziła na sesje terapeutyczne. W rodzinie od początku istniał rozłam, jak John powiedział nam już wcześniej. Dziadkowie — rodzice Grace — wyparli się wnuczki. Ale zdaje się, nie tylko dlatego, że mierziło ich samo jej istnienie; oni naprawdę wierzyli, że gdyby nie Sophia, Grace nie próbowałyby się zabić. Nawet więcej — babcia wciąż nie była przekonana, że Sophia nie zepchnęła matki ze schodów. Wujek, o czym już wiedzieliśmy, stanowczo sprzeciwiał się takiemu podejściu, co doprowadziło do załamania stosunków w rodzinie; dziadkowie stwierdzili, że nie chcą mieć do czynienia z wnuczką, i zerwali kontakty z synem.

Z raportu wynikało, że sama Sophia niewiele wyniosła z sesji terapeutycznych. Na początku podobno przy dwóch różnych okazjach „przyznała się” do usiłowania zabójstwa, ale psychiatra był przekonany, że nie była to prawda. Problemy emocjonalne dziewczynki wyrastały z trudności w relacjach z matką i lekarz uważał, że te „wyznania” były tylko poszukiwaniem uwagi — wołaniem o pomoc — wynikającym z poczucia winy i z rozpacz. Sophia czuła się całkowicie odpowiedzialna za to, że jej matka chciała umrzeć, bo unieszczęśliwiał ją sam fakt istnienia córki. Raport kończył się konkluzją, że problem nie minie sam z siebie, gdyż sytuacja uniemożliwia naprawienie stosunków między matką i córką.

— Teraz już nigdy nie dowiemy się prawdy, co? — powiedziałam do Mike'a. — Właśnie w tym rzecz. Już nigdy się nie dowiemy, co myślała Grace. Co czuła do córki, czy w ogóle ją kochała. Och, to biedne dziecko. To takie smutne, Mike. A ci dziadkowie? Koszmar. Powinni się wstydzić.

Czytaliśmy niezależnie od siebie. Mike podawał mi kolejne strony, kiedy już skończył. Teraz trącił mnie łokciem.

— Hej, popatrz na to — rzucił. Podał mi następną kartkę. Wyglądała na jeszcze jeden policyjny dokument: osobny, ręcznie spisany raport dokumentujący oskarżenie o molestowanie. Ale to nie było to, czego się spodziewałam; nie miało nic wspólnego z partnerami matki. Było to oskarżenie pod adresem wujka Sophii.

Wynikało z tego, że Sophia zwierzyła się szkolnej koleżance, że wujek dotykał jej w niewłaściwy sposób, a koleżanka zaalarmowała nauczycielkę. Przeprowadzono śledztwo, ale sprawa została umorzona. Nie było żadnych dowodów, a wujek stanowczo wszystkiemu zaprzeczył. Spojrzałam na datę. Działo się to, kiedy Sophia mieszkała z nim już od dłuższego czasu — jakieś dwa miesiące zanim trafiła w ręce opieki społecznej. Nie było żadnej wzmianki, czy sama Sophia cokolwiek mówiła na ten temat. Ale czy to miało teraz jakieś znaczenie? Szkoda już się stała.

— Teraz rozumiem — powiedziałam do Mike'a. — Nie dziwię się, że jej nie zatrzymał.

— I to daje do myślenia, co? Jacy i my jesteśmy bezbronni. Co o tym wszystkim sądzisz, Case?

— Już sama nie wiem, co sądzić, kochanie. Przysięgam. Z jednej strony myślę o tym wszystkim, co powiedziała mi na temat partnerów matki, ale z drugiej strony... no wiesz, o tym, jak zachowywała się wobec ciebie, a przede wszystkim Kierona...

— Ja tam wiem, co myślę. Jest tak, jak sama mi kiedyś powiedziałaś. Dziewczyna jest w strasznym stanie. Nienawidzi samej siebie. Wścieka się na cały świat. Sama prosi się o kłopoty...

— I dostaje je. Mogła mieć szansę z wujkiem, prawda?

— Ale z drugiej strony, jeśli naprawdę jej dotykał...

— Wierzysz w to? Bo ja nie. — Wstałam. Bolały mnie plecy. — Potrzebuję kawy i papierosa. Ty też nie wierzysz, prawda? Ale wiesz co... tak naprawdę to nie robi żadnej różnicy. Nieważne, czy ona sama w to wierzy, czy nie; ja się nie dziwię, do cholery, że jest w tak fatalnym stanie. A jest. To nie jest przypadek rozpieszczonego bachora czy zbuntowanej nastolatki. To dość przerażające, nie sądzisz?

Mike też wstał.

— Jeszcze jak, kochanie. A my nie jesteśmy lekarzami. Naprawdę powinniśmy dalej się w to angażować? No wiesz, jeśli szukanie opiekuna dla niej ma potrwać, to czy chcemy mieć ją u siebie w międzyczasie? A poza tym... opiekuna dla niej? Niby kto się nią zajmie? Jeśli nie ty, to kto? Sam nie wiem, skarbie. Może tym razem powinniśmy się wycofać...

— Ależ nie możemy, Mike. Chyba nie zniósłabym mieć czegoś takiego na sumieniu. Jaką szkodę moglibyśmy jej wyrządzić, gdybyśmy i my ją odesłali?

— Kochanie, to naprawdę mocno wykracza poza nasze obowiązki. Mówię tylko, żebyś się nad tym zastanowiła. Żebyś pomyślała, jaki to będzie miało wpływ na nas wszystkich.

I pomyślałam. Myślałam o nas wszystkich, o tym, ile nas to kosztuje. Martwiłam się o Mike'a, a przede wszystkim martwiłam się o Kierona. Czy to było fair z mojej strony stawiać potrzeby tego skomplikowanego dziecka przed ich potrzebami?

Kładąc się wieczorem do łóżka, wciąż zmagalam się z poczuciem odpowiedzialności. Nie mogłam wiedzieć, że za mniej niż tydzień nasze dotychczasowe problemy będą nam się wydawać zupełnie nieistotne.

Rozdział 18

Sophia, kochanie. No już! Pora wstawać!

Był piątek rano, ostatni dzień szkoły przed Wielkanocą. Byłam w kuchni i nastawiałam jajka na śniadanie. Na górze panowała podejrzana cisza. Zawołałam jeszcze raz, tym razem idąc już po schodach.

— Sophia! Pobudka! Spóźnisz się, jeśli się nie pospieszysz!

I znów nie dostałam żadnej odpowiedzi.

Typowe, pomyślałam, wspinając się na piętro. Wczoraj wieczorem trochę się już kłóciłyśmy o szkołę; Sophia jęczała, że w ogóle musi iść.

— To ostatni dzień — powtarzała. — Nikt nie przychodzi do szkoły w ostatni dzień. Nie ma po co. Przecież w ogóle nic nie robimy.

Ale ja byłam nieugięta, tak samo jak zawsze z dwójką własnych dzieci.

— Nie obchodzi mnie, co robią inni — oznajmiłam stanowczo. — Idziesz do szkoły, koniec, kropka.

Nie miałam powodów sądzić, że nie pogodziła się z losem, kiedy mój budzik rozległ się o siódmej, a jej, jak zwykle, o siódmej piętnaście. To był mój sygnał do wstawania. Sophia szła pod prysznic, a ja schodziłam na dół i brałam się do śniadania. Kiedy ona się ubierała i szykowała do szkoły, ja wymykałam się do oranżerii na szybką kawkę i papierosa. Dziś było wyjątkowo ciepło, więc wyszłam sobie do ogrodu, by móc nacieszyć się spokojem i samotnością (tylko Bob dotrzymywał mi towarzystwa). Miałam pięć niezakłóconych minut tylko dla siebie. Był piękny wiosenny poranek, słońce już świeciło i przesiewało jasne cętki przez różowy baldachim kwitnącej jabłoni.

Ale tego ranka, kiedy wróciłam do kuchni, Sophii wciąż nie było. Dotarłam pod drzwi jej pokoju.

— Sophia — powiedziałam, pukając. — Nie śpisz, skarbie?

Znów nie dostałam odpowiedzi. Coraz bardziej zaniepokojona, że może to coś związanego z chorobą, przekreśliłam gałkę i otworzyłam drzwi. Sophia leżała w łóżku z kołdrą podciągniętą pod brodę, ale nie spała — o nie. Była całkiem przytomna. I patrzyła na wylot przeze mnie kamiennym wzrokiem.

— Sophia! — rzuciłam oburzona. — Co to ma znaczyć! Widziałas, która godzina? No już, skarbie. Wstajemy!

— Powiedziałam ci wczoraj — odparła ponurym tonem. — Nie wstanę, bo nie idę do szkoły.

O mało nie roześmiałam się na głos z jej bezczelności, z jej twardego przekonania w tej kwestii.

— A ja powiedziałam, młoda damo, że idziesz do szkoły. A teraz przestań się wyglupiać i sio pod prysznic. No już, bo się spóźnisz.

Sophia usiadła na łóżku, odrzuciła jasne włosy za plecy, po czym uniosła rękę i wycelowała we mnie palec.

— Nie mów mi, co mam robić — powiedziała. — Chyba wczoraj jasno się wyraziłam. Teraz wynoś się, mała kobietko, a następnym razem, jak będziesz chciała tu wejść, łaskawie poczekaj na zaproszenie, okej?

Nie wiem, czy winny był przymiotnik „mała”, czy sama ta oburzająca bezczelność, ale ogarnęła mnie furia, jakiej nie czułam od dawna. Trzynastolatka będzie mi rozkazywać takim tonem w moim własnym domu?

O nie, pomyślałam, również celując w nią palcem. Niezależnie od wszystkich jej wybuchów, emocjonalnego rozchwiania, obaw o jej zdrowie psychiczne, tym razem brzmiało to jak najzwyczajniejsza bezczelność rozwydrzonej, nadąsanej nastolatki.

— Nie waż się mówić do mnie w ten sposób! — napadłam na nią. — Za kogo ty się uważasz, do diabła? Jazda z łóżka, w tej chwili, zanim naprawdę stracę panowanie nad sobą. Dwie minuty! — Wymaszerowałam na korytarz i trzasnęłam drzwiami.

Kiedy już szłam na dół, dotarło do mnie, że muszę się uspokoić. Trzaskanie drzwiami to specjalność nastolatków, nie moja. Ale, Jezus! Ta dziewczyna wkurzyłaby nawet świętego!

W tej chwili, niemal jak na sygnał, usłyszałam trzaśnięcie drzwi; odwróciłam się i ujrzałam, że Sophia pędzi za mną po schodach, z wykrzywioną twarzą, dzikimi oczami, przerażająca w swoim gniewie.

— Ty pieprzona suko! — wrzasnęła na mnie. — Ty pieprzona, paskudna suko! Zabiję cię, kurwa, jak tylko cię dopadnę!

Byłam wstrząśnięta, ale w tej chwili zadziałał chyba jakiś instynkt; zamiast iść dalej na dół, odwróciłam się przodem do niej i przemówiłam wyraźnie i spokojnie:

— Sugeruję, żebyś się zatrzymała, Sophia. Zastanów się nad następnym ruchem i jakie mogą być jego konsekwencje. — Oblizałam wyschnięte wargi. — Chyba wiesz, że w tej chwili nie żartuję.

Nie cofnęłam się, ale wiedziałam, że to przerasta moje kompetencje. Nigdy nie miałam do czynienia z tak wściekłym wybuchem. Na przestrzeni lat wiele razy spotkałam się z przemocą i groźbami rzucanymi przez dzieci — Justin na początku groził mi nawet kuchennym nożem. Ale w Sophii było coś, co mówiło, że to zupełnie inna liga. Wiedziałam, że muszę postępować bardzo ostrożnie, tak dla własnego bezpieczeństwa, jak i dla jej zdrowia psychicznego.

Poczułam więc niezmierną ulgę, gdy zobaczyłam, że odwraca się i powoli rusza z powrotem na górę. Może to będzie koniec, pomyślałam z wdzięcznością.

Ale nie był.

— I tak nie idę do szkoły — oznajmiła już z podestu piętra. — Pierdol się, ty smętna krowo.

Boże kochany, pomyślałam, zbierając się w duchu, żeby na to zareagować. Wiedziałam, że mogę teraz odejść, i być może tak byłoby najlepiej, ale wiedziałam też, że jeśli to zrobię, ten scenariusz może się zrobić naprawdę paskudny — czułam, że Sophia jest w tej chwili zdolna do wszystkiego i że nie jest gotowa się poddać. Jeśli do tego dopuszczę, potwór, który w niej mieszka, wygra tę bitwę. A to tylko potwierdzi jej samej, że naprawdę jest potworem. Nie, łatwe wyjście nie było wyjściem. Musiałam umocnić swój autorytet. Przejąć kontrolę. Przecież nie miała czym mnie zaatakować.

Ruszyłam z powrotem na górę, nie odrywając od niej oczu. I w tej chwili dotarło do mnie, że moja pozycja jest dość niepewna. Byłam trzy stopnie niżej, Sophia dosłownie górowała nade mną.

— Sophio, skarbie — zaczęłam cicho. — Uspokójmy się i skończmy już tę głupią kłótnię, co? Przecież dobrze wiesz, że nie można tak mówić do dorosłych. No już, kochanie. Co cię tak rozgniewało?

Spojrzała na mnie z góry i się roześmiała. Ten śmiech przeszył mnie na wylot.

— Czy ty wiesz, jaką jesteś śmieszna, małą kobietką? — wysyczała. — Nie kumas, co? Jeśli nie chcesz czegoś zrobić, to co ty, kurwa, możesz na to poradzić?

Znów poczułam przyływ gniewu i stłumiłam go z trudem.

— Słuchaj — powiedziałam. — Mam tego dość. Ty jesteś dzieckiem, ja jestem dorosłą. — Zrobiłam pauzę, żeby zdążyła to przetrwać. — A teraz, do cholery, ubieraj się, bo inaczej sama cię ubiorę. Chyba mnie nie doceniasz, Sophio!

To, co stało się w następnej chwili, działo się z szybkością tornada, ale pozostanie mi w pamięci na zawsze. Bo widziałam to wszystko jak w zwolnionym tempie. W jednej sekundzie unosiłam nogę, by zrobić krok w jej stronę i odprowadzić ją do pokoju, a w następnej ujrzałam jej uśmiech — czy raczej wyszczerz pełen najczystszej złej woli — kiedy wyciągnęła rękę i pchnęła mnie w pierś.

Leciałam do tyłu, odruchowo usiłując złapać się czegokolwiek. Na oślep wymachując rękami, zdołałam chwycić poręcz, ale siła pchnięcia była tak wielka, że moje ciało wykręciło się gwałtownie. Nie poleciałam na dół, ale impet o mało nie wyłamał mi ręki i cisnął mną o ścianę.

Ze swojego miejsca mogłam tylko patrzeć ze zgrozą na Sophię, która zakryła usta ręką i wrzasnęła.

— O Boże! — krzyczała na mnie piskliwie. — O Boże, Casey, przepraszam! Przepraszam! Co ja zrobiłam? O Boże!

Popędziła do swojego pokoju, wciąż wykrzykując przeprosiny. Chwiejnie schodząc na dół, wciąż słyszałam jej konwulsyjny szloch.

W pierwszej chwili miałam w głowie potworny mętlik. Co zrobiłam nie tak? Co mogłam zrobić inaczej, żeby rozbroić tę sytuację? Jakie inne działania powinnam była podjąć, by to wszystko nie skończyło się takim dramatem? Aż za dobrze zdawałam sobie sprawę, co mogło się stać. Gdyby moje palce nie zahaczyły o poręcz, mogłam teraz leżeć na podłodze w przedpokoju, ciężko ranna.

Albo gorzej... Pomyślałam o Grace i przelknęłam ślinę. Dotarło do mnie, że się trzęsę, więc sięgnęłam po papierosy i zimną kawę i niemal na autopilocie wyszłam do ogrodu. Nie bardzo wiedziałam, co robić dalej. A raczej nie miałam bladego pojęcia. Miałam pustkę w głowie. Mogłam myśleć tylko o własnej bezużyteczności, o swoim kompletnym braku wyobraźni, kiedy ruszyłam z powrotem po tych schodach, o tym, że zapomniałam o demonach, które prześladowały Sophię w związku z wypadkiem matki, o tym, że ten jej nieopanowany wybuch — i jego konsekwencje — nadadzą teraz wszystkiemu zupełnie inny wydźwięk. Boże, myślałam. To był jakiś koszmar. Dlaczego tak strasznie zawodziłam w przypadku tej dziewczyny?

Zaczęłam płakać. Płakać nad kontrastem mojego słonecznego, ciepłego ogródka z tym, co się stało, w moim domu, ledwie kilka minut wcześniej. Uszczypnęłam się w policzki, próbując powstrzymać łzy; chciałam przekierować własne emocje na inne tory, przestać użalać się nad sobą. Ale czułam się koszmarnie. Co ze mnie za opiekunka, jeśli nie potrafię zapanować nad dziewczyną, która ledwie skończyła trzynaście lat?

Nie usłyszałam Sophii, kiedy przeszła przez oranżerię, ale gdy gniewnie tarłam policzki i z furią zaciągałam się papierosem, nagle stanęła przede mną, ubrana do szkoły.

— No dobra, to ja wychodzę — powiedziała, wciąż z twardą, gniewną miną. Nie byłam pewna, czy znów szuka konfliktu. Ja na pewno nie szukałam.

— Dobrze — odparłam. — Idź. Porozmawiamy o tym później.

Odwróciła się na pięcie i poszła z powrotem, trzaskając kolejno wszystkimi drzwiami, przez które przechodziła. Najpierw przeszklonymi drzwiami oranżerii, które niepokojąco zabrzęczały w futrynie, potem kuchennymi — łup — potem frontowymi: głośny łoskot. Dopiero kiedy usłyszałam ten ostatni, opuściłam swoją bezpieczną przystań. Potrzebowałam więcej kawy — bardzo wielkiego kubka kawy. Czułam się jak po pięciu rundach z Mikiem Tysonem.

Było jeszcze wcześniej — o wiele za wcześniej, żeby złapać Johna Fulshawa — ale musiałam z kimś porozmawiać. A właściwie z dwoma „kimsiami”. Najpierw zadzwoniłam do Riley, która, jak wiedziałam, wstała już z Levim, a potem do Mike’a, który zaczął dzień bardzo wcześniej i w tej chwili mógł mieć akurat przerwę w pracy. Oboje, co zrozumiałe, byli bardzo zaniepokojeni i wściekli, i oboje chcieli natychmiast przyjechać do domu, żeby sprawdzić, czy nic mi nie jest.

Ale powstrzymałam ich, wdzięczna, że mam taką rodzinę. Nie było sensu, żeby którekolwiek pędziło teraz do mnie. Burza już minęła. Jej sprawczyni poszła do szkoły, dom był pusty. Musiałam tylko komuś się wygadać, i tyle.

Tak naprawdę potrzebowałam Johna, żeby móc oficjalnie zgłosić ten incydent; wybrałam jego numer, jak tylko minęła dziewiąta. Na pewno jestem jego ulubioną rozmówczynią, dumałam ironicznie, słuchając sygnału w słuchawce. Ostatnio zawsze dzwoniłam do niego ze złymi wieściami. Nigdy nie miałam nic dobrego. A mimo to nie potrafiłam opanować irytacji, kiedy wreszcie zgłosiła się automatyczna sekretarka. Czyżby wiedział, że to ja? Nawet w najlepszych momentach nie cierpiałam rozmawiać z tymi przekłętymi maszynami. Zostawiłam wiadomość, która brzmiała chyba dość chaotycznie, i zakończyłam ją gorącą prośbą, żeby do mnie oddzwonił.

No, pomyślałam, kiedy to było już załatwione; teraz musisz się rozchmurzyć, Case. Pstryknęłam więc włącznikiem czajnika — w takich chwilach naprawdę nie da się przesadzić z kawą — i podkręciłam głośność w radiu na maksa. Potem ściszyłam odrobinę, żeby w razie czego

usłyszeć telefon, i zmusiłam się do śpiewania razem z Three Degrees.

Po jakichś piętnastu minutach telefon rzeczywiście zadzwonił. Zakładając, że to John, popędziłam odebrać.

Ale to nie był John. Była to Edith Thomas, szkolna pielęgniarka.

— Pani Watson? — powiedziała. — Przykro mi, że niepokoję, ale musi pani jak najszybciej przyjechać do szkoły.

Słuchałam jak rażona piorunem. Co się znowu stało? Głupie pytanie.

— Wezwaliśmy karetkę — mówiła Edith. — Ale bylibyśmy wdzięczni, gdyby pani zjawiała się jak najszybciej. Naszym zdaniem Sophia miała jakąś zapaść. Jest nieprzytomna...

— O Chryste — jęknęłam. — Już jadę. Ale macie w szkole zestaw do użycia w nagłych wypadkach, więc...

— Tak, wiemy — mówiła cierpliwie. — Ale nie ma tu nikogo, kto mógłby zrobić jej zastrzyk. To musi być albo pani, albo ratownik medyczny.

Dlaczego? — myślałam. Dlaczego? A gdybym tak była nieosiągalna? Siedzieliby po prostu i nie robili nic? Boże! Czy nie było protokołu postępowania w takich sytuacjach? Na pewno mogli podać ten zastrzyk! Ale opanowałam się i skupiłam na tym, co istotne. To nie był odpowiedni moment, żeby się z nią wyklócać. Karetka i tak będzie tam przede mną — przynajmniej taką miałam nadzieję.

— Okej — powiedziałam. — Dziesięć minut, okej?

Kiedy gnałam na górę, żeby się ubrać (bo przecież ciągle byłam w piżamie), nie potrafiłam pozbyć się dręczącego niepokoju, który załagał mi się w głowie. Ostatecznie po tym wszystkim Sophia tak łatwo się poddała. Owszem, ciągle była zła, ale poszła do szkoły. Czy był to tylko element strategii w rodzaju tej, o jakiej mówił Kieron? Czy chciała po prostu odciągnąć uwagę od tego, co zrobiła wcześniej?

Przerażała mnie myśl, że mam jej zrobić zastrzyk. Ostatnim razem mi się upiekło, ale czy znów będę miała szczęście? Czułam, że moje szczęście się wyczerpało. Nie byłam pielęgniarką, nie byłam lekarką i miałam straszną awersję do igieł, ale wiedziałam, że będę musiała to zrobić — tym razem nie ma przeprosić. Przez te wszystkie myśli czułam narastającą panikę. Która jeszcze bardziej przybrała na sile, kiedy wjechałam na szkolny parking i nie przywitał mnie uspokajający widok karetki. Błagam, przyjdźcie, zaklinałam ich w duchu, biegnąc korytarzem do gabinetu pielęgniarki i do Sophii. Błagam, błagam, przyjdźcie już.

Rozdział 19

Leżała na brzuchu na kozetce, z głową obróconą na bok i policzkiem przyciśniętym do materaca. Siedziała przy niej nieznana mi nauczycielka, która rytmicznie głaskała ją po włosach, odgarniając je z czoła. Sophia miała zamknięte oczy. Rzeczywiście, może i była nieprzytomna, ale równie dobrze mogła po prostu spać.

Nieopodal stała Edith, pielęgniarka, z podkładką do pisania i robiła jakieś notatki. Kiedy weszłam, uniosła głowę.

— A, Casey — powiedziała, posyłając mi blady, zatroskany uśmiech. — Przepraszam, że tak pani zrujnowałam ranek, ale wygląda na to, że będzie pani musiała wstrzyknąć Sophii lek. Leży tak już dobre dziesięć minut.

Dziesięć minut, które zajęło mi dotarcie tutaj. Przyjrzałam się Sophii uważniej. Byłam pewna, że jej usta drgnęły. Czyżby ślad uśmiechu? Jakoś nie mogłam się pozbyć wrażenia, że to wszystko to element wielkiego, dopracowanego przedstawienia. Czułam się jak marionetka pociągana za sznurki.

— O rety — westchnęłam, patrząc ze zmarszczonymi brwiami na Edith. — Miałam nadzieję, że pogotowie już tu będzie. Wie pani, nigdy nie robiłam czegoś takiego.

— Poradzi pani sobie — rzuciła uspokajającym tonem. — To nic trudnego, naprawdę.

To dlaczego ty nie możesz tego zrobić? — pomyślałam ze złością, chociaż znałam już odpowiedź. Zaczęłam szamotać się z saszetką z zastrzykiem i drżącymi palcami przygotowałam strzykawkę, jak mi pokazano. Jeszcze raz zerknęłam z nadzieją w otwarte drzwi gabinetu, zaklinając w duchu ratowników medycznych, żeby wpadli tu na syrenie i uratowali mnie. Ale nie zobaczyłam nic. Trudno, pomyślałam, próbując opanować dreszcze. Jesteś zdana na siebie.

Wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić. To naprawdę nie było skomplikowane. Musiałam tylko wbić igłę w jej udo i popchnąć tłoczek, aż wstrzyknę jej całą zawartość. Proste, przynajmniej w teorii. Ale w praktyce — zupełnie inna sprawa. Ledwie się powstrzymałam, żeby nie zamknąć oczu, kiedy wbiłam w nią igłę; wszystko we mnie burzyło się już na samą ideę celowego wbicia igły w drugą osobę, choć wiedziałam, że to głupie.

Krzywiąc się, wcisnęłam tłoczek, by dostarczyć jej niezbędny do życia hydrokortyzon, i westchnęłam, słysząc w korytarzu tupot butów. Typowe, pomyślałam. Teraz się zjawili. Wyciągnęłam igłę z uda Sophii w chwili, kiedy weszli do pokoju.

Sophia ocknęła się niemal natychmiast. Przekręciła się na bok, a potem usiadła. Ale osłupiałam na widok jej twarzy. Była maską gniewu.

— Pewnie miałaś z tego kurewską frajdę, co? — warknęła na mnie. — Nie mogłaś się doczekać, żeby mnie dziabnąć tą igłą. Suka!

Poczułam, że policzki mi płoną.

— Nie wygłupiaj się, Sophia — odpowiedziałam. — Zrobiłam to, co musiałam. Byłaś nieprzytomna.

Nagle zgłupiałam — zaraz, pomyślałam, skoro była nieprzytomna, to jakim cudem to poczuła? Byłam też zażenowana, bo czułam, jak zszokowani byli wszyscy obecni jej sposobem zwracania się do mnie. I, do diabła, dlaczego ja jej się tłumaczę? Pochyliłam się lekko w jej stronę. Nie zamierzałam tego znosić. Dość tego.

— A tak poza tym — powiedziałam zatroskanym, matczynym tonem, klepiąc ją po plecach — to jak się czujesz, kochanie? Już ci lepiej?

Jeden z ratowników wypytywał Edith o okoliczności i robił własne notatki. Drugi podszedł, żeby porozmawiać z Sophią, która siedziała na kozetce i uparcie mnie ignorowała.

— No dobrze, panienko — odezwał się, kucając przed nią. — Co to się stało?

Sophia powoli obejrzała go od stóp do głów, zanim odpowiedziała.

— Nie jest pan trochę za młody na ratownika? — spytała. — A ja miałam przełom nadnerczowy, słyszał pan o czymś takim, prawda?

— Owszem, słyszałem — odparł zupełnie niespieszony. — I widzę też, że mamy tu do czynienia z małą uparciuchą. Sophio, chyba oboje wiemy, że nie miałaś przełomu, bo gdybyś miała,

znalazłabyś się w Księdze Guinnessa za najszybsze ozdrowienie świata. Daj rękę — powiedział, wstając. — Zmierzymy ci ciśnienie.

Z ponurą miną podwinęła rękaw, żeby mógł jej założyć mankiet ciśnieniomierza; nie odezwała się słowem, kiedy go napompował i zmierzył wynik. Uśmiechnął się, pokręcił głową i spojrzął na mnie.

— Moim zdaniem chciałaś tylko przegonić mamę do szkoły — powiedział jej. — Twoje parametry życiowe są całkowicie w normie.

— To nie jest moja matka — szczerknęła do niego. — To tylko opiekunka. A ja panu mówię, że miałam przełom, okej? Znam własne ciało, dziękuję bardzo!

— Sophia! — przerwałam jej. — Dość już tego, to tobie już dziękujemy! Ten pan też wie, co robi!

Pielęgniarka, która obserwowała to wszystko, kiwnęła na mnie, więc wyszłam za nią i drugim ratownikiem za drzwi. Ratownik przedstawił się jako Phil i odprowadził nas kawałek dalej w korytarz.

— Mój kolega ma rację, pani Watson — stwierdził. — Nie zdarza się, żeby ktoś tak szybko doszedł do siebie. Więc tak dla pani informacji na przyszłość, potrzeba trochę czasu, żeby hydrokortyzon zadziałał. Zresztą, widziałyby pani, że coś jest nie tak. W tej chwili pędzilibyśmy z nią do szpitala i podłączali kroplówkę. Ale, jak pani widzi, nic jej nie jest. Wygląda na to, że nasza mała Sophia urządziła sobie zabawę.

Poczułam się dość głupio, ale byłam też rozgniewana. Jednak przecucia mnie nie myliły.

— Ale co ja mam robić? — spytałam. — Jak mam poznać, czy mnie oszukuje? Przecież nie mogę nie zrobić jej tego zastrzyku, prawda?

Pokręcił głową.

— Właśnie w tym problem. Nie może pani, obawiam się. To trudna sprawa. Zawsze może pani spróbować ją potrząsnąć i wywołać jakąś reakcję. Ale jeśli ona chce bawić się w udawanki... no cóż, rzeczywiście. Nie ma pani wyboru. Niepotrzebnie podany zastrzyk sterydowy nie zrobi jej wielkiej krzywdy na krótką metę, jeśli to będzie okazjonalna sprawa. Z kolei, jeśli to jest przełom nadnerczowy, konsekwencje niepodania zastrzyku są bardzo groźne.

— Tak się cieszę, że panowie tu jesteście — powiedziałam — i że wiecie, co robicie!

— Szczęśliwy traf — odparł. — To kolega jest ekspertem, nie ja. Wprowadził mnie w temat po drodze.

Więc jednak jest Bóg na niebie. Skinęłam głową.

— Chyba już go poznałam.

Ratownik kiwnął mi głową ze współczuciem; widocznie rozmawiał o mnie z Edith.

— Ma pani z nią niezły kłopot, co? Pod każdym względem...

I oczywiście na tym polegał problem. Każdy mijający dzień uświadamiał mi to coraz dobitniej. Byłam żałośnie nieprzygotowana, by pomóc Sophii. Słuchałam w milczeniu, kiedy drugi ratownik robił jej wykład, jak niebezpieczne jest wszczynanie fałszywych alarmów i jak nie w porządku jest korzystanie ze służb ratowniczych, które powinny jeździć do prawdziwych nagłych przypadków. Wiedziałam, że ta reprimenda jest ważna, ale słuchałam bez przekonania, pewna, że Sophia słyszała to już wiele razy i że nie bierze sobie do serca ani jednego słowa. Przypomniałam sobie też z lektury, że przełom nadnerczowy zdarza się niezwykle rzadko — więc jakie było prawdopodobieństwo, że miała już dwa w ciągu dwóch miesięcy? A gdyby tak się zdarzyło, byłaby bardzo chora. No i te wymioty. Dotarło do mnie, że poprzednim razem nikt nie potwierdził, że naprawdę wymiotowała. Mieliśmy na to tylko jej słowo.

Boże, to dziecko było tak poharatane, tak wypaczone przez koszmarnie życie, że gniew na cały świat brał u niej górę nad wszystkim, kazał jej atakować wszystkich i wszystko bez oglądania się na konsekwencje dla własnego zdrowia. Niemal jakby nie potrafiła sama sobie pozwolić na szczęście; każda chwila przyjemności musiała natychmiast zostać wymazana, wykorzeniona przez kary, które sama sobie wymierzała. Jak by naprawdę chciała, żeby wszyscy jej nienawidzili.

W milczeniu zawiozłam ją do domu. Nie odezwała się ani słowem. A mnie odpowiadał taki

obrót sprawy, bo sama byłam niebezpiecznie bliska łez. Musiałam zapakować ją do łóżka. Przełom nie przełom, nie zaszkodzi jej, jak się prześpi, a ja potrzebowałam na chwilę usunąć sobie sprzed oczu ją i jej demony, przynajmniej dopóki nie poczuję się dość silna, by stawić im czoło.

Chyba właśnie to poczucie, że wciąż wrze w niej tak niekontrolowany gniew, sprawiło, że byłam zupełnie nieprzygotowana na to, co stało się w następnej chwili.

Ledwie wyszłam z przedpokoju do salonu, kiedy nagle padła — dosłownie — do moich stóp. W jednej sekundzie stała, a w następnej leżała jak kupka nieszczęścia, chwytając mnie za kostki i szlochając bez opamiętania. W pierwszej chwili pomyślałam: cholera, teraz naprawdę dostała zapaści! Ale szybko stało się dla mnie jasne, że to nie był fizyczny problem.

— Och, Casey — szlochała, patrząc na mnie z podłogi. — Co się ze mną dzieje? Dlaczego przez cały czas się tak czuję? Nie mogę tego wytrzymać. Dlaczego?

Zszokowana i wstrząśnięta mogłam tylko przesunąć się odrobinę, żeby przysiąść na poręczu kanapy.

— Nie zniosę tego — szlochała. — Nienawidzę swojego życia. Nienawidzę. Chcę umrzeć. Przysięgam ci. Dlaczego nie mogę po prostu umrzeć?

Wydarzenia w szkole nagle nabrały nowego, mrozącego krew w żyłach wydźwięku. Ale w opozycji była moja już niemal odruchowa reakcja. Przecież udawała, pomyślałam, schylając się, by pogłaskać ją po głowie i spróbować uspokoić. Czy to było to samo? Teraz też udawała? Była świetną aktorką. Miałam na to aż nazbyt przekonujące dowody. A jednak... a jednak... tym razem nie miałam wrażenia, że to gra.

— Już dobrze — powiedziałam miękko. — Wszystko będzie dobrze.

Ale czy będzie? Szczerze mówiąc, wcale tak nie sądziłam. W tej chwili obie egzystowałyśmy jak na huśtawce, żadna z nas nie wiedziała, co będzie za moment. Sophia nie panowała nad sobą, a ja nie panowałam nad nią. I niby w jaki sposób to się miało zmienić?

Może się myliłam. Może Sophia doskonale wiedziała, co robi. Może nawet w tej chwili realizowała konkretny scenariusz. Ale czy to robiło jakąś różnicę? Jeśli tak, to sytuacja wyglądała tym gorzej. Byłam potwornie skolowana, ale jedno wiedziałam ponad wszelką wątpliwość: to dziecko — ta zdesperowana młoda dziewczyna — potrzebowało mnie.

Zsunęłam się na dół i dołączyłam do niej na podłodze salonu. Zapominając o wydarzeniach tego dnia, który już teraz wydawał się tak długi, położyłam się przy niej i wzięłam ją w ramiona. Huśtałam ją delikatnie, kiedy wypłakiwała swoje małe serce, i po moich policzkach też płynęły łzy, gdy wysłuchiwałam jej niekończących się przeprosin za to, na co naraziła mnie i Mike'a, i Kieron, i Riley, a potem powiedziała — a logika i spójność jej wypowiedzi przeraziła mnie — że chciałyby po prostu umrzeć, żeby nie musieć już cierpieć. Ale najsmutniejszy ze wszystkiego był rozpaczliwy, rozdzierający płacz za utraconą matką, bo w tej sprawie nikt nie był w stanie już jej pomóc.

Miałam wrażenie, że minęły godziny — tak naprawdę może jedna godzina, może odrobinę dłużej — zanim wreszcie przestała płakać, ale nawet wtedy jej pierś i barki wciąż drgały spazmatycznie. Minęło jeszcze więcej czasu, zanim zdołała podnieść się i usiąść obok mnie i zgodziła się z moją sugestią, że może dobrze zrobiłaby jej drzemka.

Zaprowadziłam ją na górę, do jej pokoju; położyła się do łóżka w ubraniu.

Sama z największą trudnością powstrzymałam się, by nie zrobić tuzina kroków do swojego pokoju i też nie wpełznąć pod kołdrę.

Kiedy Mike i Kieron wrócili do domu, wciąż czułam się jak zombie, i choć udało mi się porozmawiać z Johnem (zachowując spokój wyłącznie siłą woli; nie mogłam znieść myśli, że miałabym mu szlochać do słuchawki), nie udało mi się zdziałać nic w kwestii obiadu. Mike oczywiście wciąż był wściekły na to, co się stało rano, i emocjonalnie był zupełnie gdzie indziej niż ja. Podobnie jak Kieron, kiedy Mike wprowadził go w temat. Ze znużeniem zrelacjonowałam im wszystko, co działo się potem, zauważając przy tym, że gdyby ktoś potrzebował definicji terminu „huśtawka emocjonalna”, mógłby wziąć nasz dzień, od początku do końca.

Tak właśnie wyglądała rzeczywistość dzielenia życia z dziewczyną obarczoną tak ciężkim

bagażem. Wszystkie normalne emocje, które można by odczuwać w tej sytuacji — gniew, frustracja, drażliwość, zniecierpliwienie — musiały zostać wyjęte, strzepnięte, obejrzane i schowane z powrotem, jak zawartość szafy. Zasady znane do tej pory nie miały tu żadnego zastosowania. Łatwo było siedzieć w gabinecie psychiatry i intelektualnie akceptować fakt, że Sophia nie jest odpowiedzialna za swoje czyny, ale żyć z tym na co dzień... to była już zupełnie inna para kaloszy. Wiedziałam, że jutro będzie mnie bolała ręka, o mało nie wyszarpnięta ze stawu, ale prawdziwym problemem były te wiecznie zszarpane nerwy. Czułam się wyssana. Wyżęta.

— Kochanie, idź się połóż — poradził mi Mike, kiedy skończyłam opowiadać. — Jesteś wykończona. Idź. Ja tu coś upichcę dla siebie i Kierona. Wolę mieć byle jaki obiad niż żonę w takim stanie. Proszę cię, kochanie, pozwól sobie raz dla odmiany złożyć broń, okej?

Widząc zatroskane miny Mike'a i Kierona, poczułam się jeszcze gorzej. W oczach znów stanęły mi łzy, więc uciekłam z kuchni, zanim chłopcy cokolwiek zauważyli.

Spałam bez przerwy aż do sobotniego ranka.

Obudziły mnie śniadaniowe zapachy. Bekon. Pieczarki. I... hm. Te przepyszne ziołowe kielbaski? Przez chwilę nie byłam w stanie doliczyć się, jaki to dzień. Sobota, tak. Więc Mike powinien już być w pracy, nie? Czyżby Kieron robił śniadanie? O moim kochanym synu można było powiedzieć dużo, dużo dobrego, ale kucharzem to on nie był. Odwinęłam kołdrę, wstałam z łóżka i naciągnęłam na siebie szlafrok, dręczona poczuciem winy, że porzuciłam moich bliskich wczoraj wieczorem.

Ale to nie Kieron stał nad patelnią; był to Mike.

— Och, kochanie — powiedziałam, obejmując go od tyłu. — Trzeba było mnie obudzić. Ja bym to zrobiła. A poza tym, czy ty nie powinienesz być w pracy?

Pokręcił głową.

— Zadzwoniłem do biura. Wziąłem sobie cały weekend wolny.

Był to rzadki rarytas i byłam mu za to bardzo wdzięczna.

— Gdzie Kieron? — spytałam. — Nos jeszcze nie ściągnął go na dół? A Sophia... — Już samo wypowiedzenie na głos jej imienia zapaliło mi w duszy płomyk niepokoju. Jaka będzie następna odsłona tego nieprzewidywalnego dramatu?

Mike ruchem głowy wskazał okno.

— Popatrz.

Pobiegłam wzrokiem za jego spojrzeniem i ujrzałam oboje w ogrodzie, wcinających śniadanie i gawędzących w najlepsze. Zauważyłam, że mieli tam nawet odtwarzacz CD Kierona. Przez otwarte okno słyszałam brzęczenie muzyki.

Oślupiałam. Był taki rozgniewany o to, co się stało wczoraj. Czyżby postanowił uznać moje przekonanie, że ona nie jest odpowiedzialna za niektóre swoje czyny?

— No proszę... — zaczęłam.

— Kotku, nie analizuj, po prostu się tym ciesz — powiedział Mike z szerokim uśmiechem. — Chodź, siadaj. Śniadanie będzie lada chwila.

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać; parę minut później opychałam się już jak opętana; poszłam spać bez kolacji i wstałam wygłodniała jak wilk.

Właśnie pałaszowałam ostatnie kęsy, kiedy w kuchni zjawiała się Sophia, z chwiejną stertą talerzy i kubków przed sobą, wciąż chichocząca z czegoś, co pewnie powiedział Kieron. Uśmiechnęła się na mój widok.

— Cześć, Casey — rzuciła wesoło. — Rany, ale długo spałaś. Musiałaś być strasznie zmęczona. Mike powiedział ci o mojej spóźnionej kartce urodzinowej?

Byłam zbyt zajęta przetrawianiem pierwszej części wypowiedzi, żeby zauważyć drugą. Znowu to samo — czyżby wczorajszy dzień całkiem wyparował jej z pamięci? Wymazany jak stare nagranie?

Ale Mike kręcił głową.

— Jeszcze nie, skarbie. Otóż, Case, Sophia dostała dzisiaj pocztą spóźnioną kartkę urodzinową. Od dziadków.

— Naprawdę? — Mój umysł wreszcie zaskoczył. Może tak było najlepiej. Mocno trzymać się chwili obecnej. Wcisnąć „Kasuj”.

— No, powiedzmy od dziadka — sprostowała Sophia. — To on się podpisał. Napisał na kartce jej imię, ale tak naprawdę to od niego. I wiesz, co jeszcze?

— Co?

— Dołączył do kartki sto funtów.

Uniosłam brwi i spojrzałam na Mike’a.

— O rany — powiedziałam. — To mnóstwo pieniędzy! Co z nimi zrobisz?

Wzruszyła ramionami.

— Jeszcze nie wiem. Może kupię sobie nowy iPod czy coś. Na razie dałam pieniądze Mike’owi, dopóki się nie zdecyduje.

— Myślisz, że powinniśmy o tym powiedzieć opiece społecznej? — spytałam Mike’a, kiedy Sophia w podskokach wybiegła z powrotem do ogrodu. — To dość niespodziewany obrót sprawy.

— Niewątpliwie — odparł. — Ale John tak czy siak ma dzisiaj zadzwonić, zgadza się? Omów to z nim. Może w rodzinie dzieje się coś, o czym nie wiemy.

— No, to by była niezwykle miła odmiana — rzuciłam kwaśno.

John zadzwonił, tak jak obiecał, wczesnym popołudniem; Sophia była zajęta oglądaniem DVD w salonie, a Kieron i Mike poszli na mecz. Wzięłam sobie telefon do oranżerii, by móc spokojnie porozmawiać.

— Ciekawe, że o tym wspominasz — stwierdził, kiedy opowiedziałam mu o kartce — bo rzeczywiście w rodzinie zaszły pewne zmiany. Niestety niezbyt budujące. Syn i matka wciąż są w fatalnych stosunkach, a sprawie z pewnością nie pomógł fakt, że lekarz prowadzący Grace zasugerował wycofanie się z podtrzymania życia. Na tym etapie lekarze nie spodziewają się już żadnej poprawy i zdaje się, że dziadek i wujek zgadzają się z nimi, ale babcia.. no cóż, to jej córka. Krew z krwi, z woli Boga, i tak dalej. Nie chce się zgodzić.

— O Boże — westchnęłam ciężko. To wszystko było takie smutne i tragiczne. — A co z Sophią? Jak ona na to wszystko zareaguje?

I kiedy wreszcie OPPDM raczy ją obejrzeć? Pomyślałam to, ale nie powiedziałam głośno. Może zdążą, zanim zawali jej się cały świat. Byłoby miło.

— W tej chwili nie ma potrzeby czegokolwiek jej mówić — odparł pospiesznie John. — Nie zdecydowali jeszcze. Na tym etapie nie ma żadnych konkretów. A jeśli się zdecydują... no cóż, trzeba będzie najpierw zorganizować wizytę. Żeby Sophia mogła się pożegnać z mamą. I, spójrzmy prawdzie w oczy, to może być dla niej najlepsze. No wiesz. Pozwoli jej ruszyć naprzód.

Tak, John miał rację. Na dłuższą metę — zapewne. Ale i tak będzie musiała poradzić sobie z tym na bieżąco, rozmyślałam, odnosząc telefon do przedpokoju. To będzie potężne przeżycie. To będzie straszne przeżycie. Może całkowicie zburzyć resztki jej równowagi. I to my będziemy musieli wziąć na siebie falę uderzeniową.

— Boże, ani chwili spokoju! — westchnął Mike, kiedy powiedziałam mu o tym później. — Kiedy ta dziewczyna wreszcie odsapnie, co?

Jeszcze nie teraz, pomyślałam. Jakie były szanse, że będzie miała tyle szczęścia? To było prawdziwe życie. Nie mieliśmy żadnej magicznej różdżki.

Rozdział 20

Choć nowina o matce Sophii bardzo ciążyła mi na sercu, reszta weekendu upłynęła zaskakująco spokojnie. Byłam zdumiona tym nagłym gestem dziadka, ale było to miłe zaskoczenie. Może ta rodzina zdołałaby się jeszcze pojednać, nawet gdyby to pojednanie przybrało formę wspólnej żałoby, jeśli rzeczywiście zdecydują się odłączyć Grace od aparatury.

Ale na razie po prostu cieszyłam się z chwili spokoju i chciałam jak najlepiej ją wykorzystać. Szczególnie ujmujące dla mnie było podejście Kierona do tej całej sprawy. Mimo wszystkiego, co przeżył — a przeżył wiele, od kiedy Sophia zamieszkała z nami — postanowił chyba zrobić, co w jego mocy, żeby nawiązać z nią lepsze stosunki i puścić w niepamięć to wszystko, co działo się w przeszłości.

Nie miałam na to żadnych dowodów oprócz potulnego zachowania Sophii, ale w poniedziałek uznałam, że piątkowe wydarzenia stanowiły chyba przełom. Być może minęliśmy jakiś kamień milowy. Ta myśl była idiotyczna i teraz, patrząc wstecz, sędzę, że po prostu sobie to wmawiałam. Ale zaczęły się ferie wielkanocne, co oznaczało, że Sophia była w domu przez cały czas, i perspektywa przebywania w otoczeniu targanym takim napięciem — wystarczająco nieznośna w trakcie semestru szkolnego — stanowiła alternatywę, której po prostu nie mogłam brać pod uwagę.

Wraz z feriami przyszły bardziej słoneczne dni i wszystko nabrało radośniejszych barw. Szczególnie dla mnie, bo mogłam teraz więcej czasu spędzać w ogrodzie, z naszym rodzinnym maluchem — był to dla mnie powrót do prostych radości z czasów, kiedy moja dwójka była malutka.

— Chodź, napełnimy basenik — powiedziałam do Sophii w poniedziałek rano. Riley miała przyjść z Levim, a że dzień był piękny i ciepły, planowałyśmy spędzić większość dnia na leniuchowaniu w słońcu.

Sophia zapaliła się do pomysłu — wyglądało na to, że i ona zaraziła się wiosenną gorączką. Pomogła mi porozkładać koce na trawie, nadmuchać i napełnić basenik i wyjąć wszystkie zabawki z szafki w oranżerii. Levi już nie tylko siedział, ale i raczkował, więc wiedziałam, że na pewno ucieszy go nowa przestrzeń na dworze do eksploracji.

Kiedy zjawiała się Riley, ogród wyglądał już jak plac zabaw w żłobku, ale zamiast wybuchu śmiechu i okrzyku: „Och, mamó, ależ ty jesteś!”, jakiego się spodziewałam, ujrzałam ściągniętą, niespokojną twarz.

— Co się dzieje, kochanie? — spytałam ją, bo było oczywiste, że się dzieje.

— Och, mamó, spójrz na niego — powiedziała. — Popatrz na jego buzię! Ma ospę. Prawie nie zmrużyliśmy oka!

Nie musiałam mocno się przyglądać, żeby to potwierdzić. Niektóre dzieci przechodzą ospę łagodnie, inne nie mają tyle szczęścia. Oboje moich dzieci bardzo cierpiało — środek przeciw swędzeniu szedł jak woda. I wyglądało na to, że z małym Levim jest tak samo. Był gęsto obsypany małymi, różowymi pęcherzykami, miał je nawet na brzegach powiek.

— Och, mój mały biedaku! — Wyciągnęłam ręce, żeby wyjąć go z wózka. Ale Levi nawet nie chciał o tym słyszeć. Natychmiast zaczął wrzeszczeć i wierzgać, bym go odłożyła, a po policzkach popłynęły mu wielkie łzy, jeszcze bardziej podrażniając buzię. Riley odebrała go ode mnie i położyła z powrotem.

— Nic z tego, mamó. Marudził tak przez całą noc. Chyba po prostu chce, żeby dać mu spokój. Zupełnie jakby był na nas zły, że nie potrafimy mu pomóc.

— A z taką podrażnioną skórą to pewnie boli, kiedy ktoś go trzyma.

— Właśnie. Ale tu, w ogrodzie, od razu się lepiej poczuje. Na dworze zawsze jest spokojniejszy. — Posłała mi zmęczony uśmiech. — Mnie też przyda się trochę odpoczynku. Mam nadzieję, że wreszcie padnie spać w wózku, a my będziemy mogły się trochę poopalać i poplotkować, co, Sophio?

Wszystkie prace domowe miałam z głowy i już dawno wyprawiłam chłopaków do pracy i na uczelnię, więc teraz wyjęłam trzy leżaki, przygotowałam nam napoje i kanapki i wszystkie trzy

spędziłyśmy miłą godzinkę na opalaniu i gadaniu.

Dzień naprawdę był piękny, o wiele cieplejszy niż zwykle dni o tej porze roku, i taka chwila lenistwa była cudownie przyjemna. Plotkowałyśmy sobie o celebrytach i jednym uchem słuchałyśmy radia; Sophia włączyła je w oranżerii i przyniosła bliżej drzwi, żebyśmy mogły je słyszeć. Nawet Bob, zwykle tak żywiołowy, drzemał sobie z zadowoleniem z przymkniętymi oczami, i tylko ogon podskakiwał mu od czasu do czasu.

Powinnam była wiedzieć, że ta sielanka nie potrwa długo. Po jakiejś godzinie Levi, który wyspał się już wystarczająco, obudził się. Natychmiast przypomniał nam o swoim oplakanyim stanie i znów zaczął marudzić. Było to tym trudniejsze do zniesienia, że zawsze był radosnym zadowolonym dzieckiem. Po prostu nie byliśmy przyzwyczajone widzieć go i słyszeć takim nieszczęśliwym.

Sophia odłożyła gazetę.

— Riley, mam go trochę powozić po ogrodzie?

Rozczulił mnie ten jej gest. To było bardzo miłe z jej strony.

— Dzięki, kotku — powiedziała Riley. — Nie wiem, czy to w ogóle pomoże, ale czemu nie. Może zmiana scenerii przynajmniej zajmie go na chwilę.

Sophia zerwała się z leżaka i przez dziesięć minut jeździła z wózkiem wokół ogrodu, ale zgodnie z przewidywaniami Riley to nie pomagało. Chyba nawet wręcz przeciwnie — krzyki Leviego przybierały na sile i widziałam, że zaczyna to denerwować Sophię.

— Sophio, kochanie, przywieź go tutaj i usiądź sobie. On się po prostu źle czuje. Nic nie możemy na to poradzić. Ale nie martw się, będzie dobrze.

Sophia przyprowadziła wózek z powrotem. Riley wstała, wyjęła z torby butelkę paracetamolu w płynie i zaczęła nią lekko potrząsać. Wolną ręką podała Sophii smoczek Leviego.

— Proszę. Możesz to wziąć, skarbie? Kiedy podam Leviemu lekarstwo, wetknij mu to od razu do buzi, żeby nie próbował wypluć, okej?

— Okej — powiedziała Sophia, kiwając głową, zadowolona z tak odpowiedzialnego zadania. Uklękła przy wózku, gotowa do akcji. Ale kiedy wetknęła mu smoczek do ust, Levi nie był zadowolony; ze złością wypluł lekarstwo, natychmiast rzucił smoczek na trawnik i wymachując rączkami, niechętny zadrapał ją w nos.

Zrobiła oburzoną minę, ale nie tak oburzoną, jak my w następnej chwili, bo jej reakcja była tyleż szybka, co gwałtowna. Natychmiast uderzyła go w nogę, i to dosyć mocno.

Riley upuściła butelkę z lekarstwem i szarpnęła Sophię za ramię.

— Co ty robisz, do cholery! — krzyknęła jej w twarz, zdjęta matczynym gniewem. — Dzieci się nie bije! Co ty sobie wyobrażasz?

Ja też zerwałam się z leżaka.

— Sophia! Czyś ty zwariowała? — Wskazałam palcem Leviego, który teraz darł się już na całego; na jego małej nóżce wylaniał się czerwony ślad palców. — Patrz! — rzuciłam ostro. — Patrz, co zrobiłaś! Coś ty sobie myślała?

Nic nie myślała, zrozumiałam, jeszcze zanim dokończyłam zdanie. Po prostu to zrobiła. To był dla niej odruch, równie naturalny jak oddychanie. Uderzyć. Odpowiedzieć przemocą. Zadać ból.

Riley porwała Leviego z wózka. Widziałam, że niemal wychodzi z siebie ze złości. Spojrzała wprost na mnie, być może wyczuwając moje wahanie, w jaki sposób mam zareagować. Bo owszem, wahałam się. Jedyne, co było w tej chwili pewne, to to, że nasz miły, babski dzień w ogrodzie przeminął bezpowrotnie.

— Nie waż się, mamu. Nawet nie próbuj łagodzić sytuacji, okej? — Odwróciła się do Sophii. — Już. Zejdź mi z oczu! Nie mogę nawet na ciebie patrzeć!

Wyraz twarzy Sophii przemienił się z osłupienia w wyzwanie. A nawet gorzej — w tę twardą maskę, która patrzyła przez człowieka na wylot.

— Pieprz się! — wrzasnęła na Riley. — Pieprzcie się obie! Nienawidzicie mnie, kurwa!

— Sophia! — krzyknęłam równie głośno. — Do pokoju, w tej chwili! Nie waż się znowu zaczynać!

Czułam, że gniew narasta we mnie do nieopanowanego poziomu. W odróżnieniu od piątku, kiedy uleciała ze mnie cała chęć walki, dziś, tak jak Riley, czułam najczystsza matczyną furię. To byli moja córka i mój wnuk, i moim zadaniem było bronienie ich. Wiedziałam, że jeśli Sophia teraz mi się sprzeciwi, mogę nie odpowiadać za własne czyny. Musiałam uspokoić sytuację, i to szybko.

— Do pokoju! — krzyknęłam jeszcze raz. — Do pokoju!

I ku mojej uldze usłuchała mnie. Widocznie dostrzegła coś w wyrazie mojej twarzy.

— O, spokojnie — odparła. — Idę, byle dalej od was!

Wbiegła do domu, ale zanim puls zdążył mi zwolnić, znów stała w drzwiach oranżerii i wymachiwała przed sobą opakowaniami swoich pigułek i zastrzykiem sterydowym.

— I zamykam to ze sobą w pokoju! — zawołała do nas. — Lubisz tego bachora bardziej niż mnie, co, Casey? No to zobaczymy, jak się poczujesz, kiedy umrę!

Pognała do środka i nawet z ogrodu słyszałyśmy, jak tupocze po schodach. Spojrzałam na Riley, której twarz skamieniała z szoku. Nawet Levi przestał płakać i patrzył jak urzeczony. Nagle do mnie dotarło, i to z całą mocą. To była poważna sytuacja. Potencjalnie śmiertelna. Nie miałam pojęcia, co może jej zrobić przedawkowanie tych wszystkich leków, ale miałam dość wyobraźni, żeby się domyślić, i nie zamierzałam ryzykować.

— Boże święty... — rzuciłam, ruszając do akcji. Pognałam do środka za nią. Przeskakując po dwa stopnie naraz, błyskawicznie znalazłam się pod jej drzwiami. Zapukałam głośno. — Sophia! W tej chwili otwórz drzwi!

— Odpieprz się! — wrzasnęła tak głośno, że głos jej się załamał. Był niemal nierozpoznawalny. — Zabiję się tak samo jak moja matka, przysięgam ci! Zrobię to! A teraz odpieprz się i daj mi spokój!

Powoli wciągnęłam powietrze. Wciąż jeszcze byłam zmachana. Na czole czułam krople potu.

— Posłuchaj, Sophio — powiedziałam. — To, co zrobiłaś, było złe, i doskonale o tym wiesz. Ale to nie jest koniec świata! — Z trudem szukałam właściwych słów, mając przed oczami jej obraz, siedzącej na łóżku i łykającej tabletkę za tabletką... ile ich miała, na litość boską? Owszem, Riley mówiła mi, że mam nie łagodzić sytuacji, ale to była poważna sprawa. Nie chciałam mieć w domu martwego dziecka. Ani na sumieniu. O Boże... — Wyjdź, kochanie — spróbowałam. — Riley już się uspokoiła. Była po prostu oburzona. I miała prawo, ale wszystko będzie...

— Odpierdol się! — wrzasnęła znów, ale powoli przestawała kojarzyć. Powtarzała te słowa w kółko i w kółko, na przemian wrzeszcząc i śmiejąc się histerycznie. Jeden Bóg wiedział, co się działo w tym pokoju. Rozpaczliwie żałowałam, że nie ma tu Mike'a. On by wiedział, co robić. A przynajmniej byłby w stanie wyważyć te cholerne drzwi!

— Sophia! — zawołałam znów, próbując przebić się przez tę kakofonię. — Jeśli w tej chwili nie wyjdiesz, będę musiała wezwać pogotowie!

Wiedziałam, że dla niej to nie jest żadna groźba. Ale oni przynajmniej byliby w stanie wejść do pokoju. Musieli.

— Pogotowie! — odwrzasnęła do mnie. — Myślisz, że potrzebuję pieprzonego pogotowia? Proszę bardzo, a przy okazji zadzwoń też, kurwa, na policję! Bo przysięgam, że zamorduję was wszystkich! Jak będziecie sobie smacznie spać w łódeczkach, przekonasz się! Kurwa, zrobię to! Zrobiłam to już kiedyś, ty pieprzona suko, i zrobię jeszcze raz, słyszysz? Pierdol się!

— Mamo! — głos Riley. Stała u stóp schodów z Levim w ramionach i kiwała na mnie. — Mamo, chodź. Zejdź na dół. To jest bez sensu.

Widziałam, jak bardzo jest wstrząśnięta — najwyraźniej wszystko słyszała. Kiwnęła na mnie jeszcze raz, a ja zrozumiałam, że ma rację. To rzeczywiście było bez sensu. Zbiegłam po schodach i poszłam za nią do kuchni. Sophia wciąż klęła i wrzeszczała na górze, wiedziałam więc przynajmniej, że nie traci przytomności.

Riley podała mi słuchawkę.

— Masz. Dzwoń po to pogotowie.

Wzięłam od niej słuchawkę, czując zimny dreszcz na plecach. „Zrobiłam to już kiedyś i

zrobię jeszcze raz”, powiedziała. A do tego próby samobójcze. Miała już na koncie próby samobójcze. Nie wiedziałam już, w co i komu wierzyć.

Riley odłożyła Leviego do wózka — był tak osłupiały, że nie płakał — i zaparzyła kawę, a tymczasem ja zadzwoniłam pod 999 i podałam szczegóły. Zadzwoniłam też do Johna i zdałam mu krótką relację, co się dzieje; obiecałam zadzwonić jeszcze raz po wizycie ratowników.

W końcu poszliśmy do oranżerii i zapaliłam tak potrzebnego papierosa — chwila ciszy przed nieuniknioną burzą. Może to dziwne, ale hałas na piętrze uspokajał mnie. Dopóki Sophia hałasowała, wiedziałam, że jest przytomna. A skoro nie mogłam tam wejść, tyle miałam do roboty: siedzieć i czekać na wycie syreny.

— Boże, mamó — sapnęła Riley. — Nie miałam pojęcia, że to wygląda aż tak źle. To jest obłąd. Totalny obłąd. Jak ty sobie z tym wszystkim radzisz?

— Nie wiedziałam, więc nie potrafiłam odpowiedzieć. Wzruszyłam tylko ramionami.

— Jak tam Levi? Tak mi przykro, kochanie, naprawdę. To było okropne.

— Nic mu nie będzie — powiedziała. — Ma trochę czerwoną nogę, ale przeżyje. Tylko nie mogę uwierzyć, że ona to zrobiła, wiesz? Jak można w taki sposób uderzyć maleńkie, bezbronne dziecko?

Skinęłam głową, choć wiedziałam, że odpowiedź brzmi „aż za łatwo”. W prawdziwym świecie niektórzy ludzie biją dzieci. Był to tragiczny fakt.

Riley umilkła. Obie milczałyśmy. Siedziałyśmy w ciszy, a na górze nie milkły wrzaski, klątwy i łomoty. Jak powiedziała Riley, to wszystko był jakiś obłąd.

Ale na szczęście karetka zjawiła się po paru minutach i w progu stanęła dwójka kompetentnych ratowników, w tym Phil, którego poznałam w piątek w szkole. Bardzo się ucieszyłam.

— Więc znowu się widzimy! — stwierdził wesoło, co od razu mnie uspokoiło. On przynajmniej wiedział, z czym ma do czynienia. Do pewnego stopnia.

Jego koleżanka przedstawiła się jako Bev.

— No dobrze — powiedziała, kiedy Phil ruszył na górę. — Więc jak się zaczęła cała ta awantura?

Riley i ja spojrzaliśmy na siebie. Nawet nie wiedziałam, od czego zacząć.

Rozdział 21

Okazało się, że Sophia nie walczyła z Philem zbyt żąrcie. Kiedy tylko poszedł na górę, hałasy ucichły, po jego pukaniu do drzwi i chwili wymiany zdań dał się słyszeć cichy pomruk rozmowy, a wreszcie zapadła uspokajająca cisza. A ja siedziałam w kuchni, ciągle jeszcze roztrzęsiona, i zastanawiałam się, dlaczego jemu się udało, a mnie nie. W jego wykonaniu spacyfikowanie Sophii wydawało się niedorzecznie łatwe.

— Bardzo przepraszam, że znowu was wezwałam — zaczęłam się tłumaczyć, kiedy wrócił na dół, a ja wyprawiłam już do domu spokojną o mnie Riley. — Pewnie pan myśli, że jestem beznadziejna.

Pokręcił głową.

— Ależ skąd — zapewnił mnie, biorąc filiżankę herbaty od Bev. Jakimś cudem w całym tym zamieszaniu zaparzyła dzbanek dla nas wszystkich. Było to poniekąd wskazówką mojego stanu ducha, skoro i ja wypiałam filiżankę. Nie cierpię herbaty. — Postąpiła pani jak należy — powiedział Phil z przekonaniem. — Od tego jesteśmy.

Bev powiedziała to samo, kiedy streściłam jej przyczynę tego wybuchu, i przypomniała mi, że dzwonienie po pogotowie absolutnie nie jest głupie. Moim obowiązkiem było traktowanie wszelkich tego typu pogrózek poważnie. Sophia miała środki, którymi mogła się zabić, zapowiedziała swój zamiar i byłoby skrajną nieodpowiedzialnością z mojej strony, gdybym nie zadzwoniła pod 999.

— Tak czy inaczej, droga pani, na górze już jest spokój, więc proszę się nie martwić. Dałam jej łagodny środek uspokajający, nie miałem wyjścia, żeby ją spacyfikować i nakłonić do wzięcia leków. Upierała się, że już nigdy żadnych nie łyknie... oczywiście dopóki nie zorientowała się, że ja nie przyjmę odmowy.

— Więc nie łyknęła żadnych tabletek?

Phil pokręcił głową.

— Powiedziała, że nie, i ja jej wierzę. Proszę. — Rozłożył przede mną na stole cały komplet leków, łącznie ze sterydowym zastrzykiem. — Chyba że ma zachomikowany jakiś inny zapas.

Poczułam ogromną ulgę.

— Nie może mieć nic więcej. Na odnawianą receptę mogę kupić ograniczoną ilość tych leków i wygląda na to, że wszystko tu jest.

— A zresztą nie ma się czym przejmować. Oczywiście dobrze będzie porozmawiać z jej lekarzem o tej całej sytuacji — powiedział, krzywiąc się. — Ale przedawkowanie hydrokortyzonu nie zagraża życiu. W każdym razie na krótką metę. Jest bardzo szkodliwe, jeśli robi się to przez długi czas, jak pani zapewne wie, ale jak ktoś chce odjechać z tego świata, to nie tym pociągiem.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Ale ten uśmiech nie pozostał długo na mojej twarzy. Ona wciąż była tam, na górze. I wciąż była moim problemem. A współczująca mina Phila powiedziała mi, że mnie rozumie.

— Bardzo panu dziękuję — powiedziałam i naprawdę byłam wdzięczna. — Więc ona teraz śpi, tak?

— Jak dziecko. I wątpię, żeby obudziła się dzisiaj, więc i pani może trochę odetchnąć. Oczywiście proszę mieć na nią oko, ale niech się pani nie zdziwi, jeśli nie pokaże się do jutra. Po takiej awanturze i środku, który jej dałem, będzie spała do rana.

Spojrzałam na zegarek. Było dopiero wpół do czwartej po południu, a jednak ranek nagle wydał mi się strasznie odległy. Byłam potwornie zmęczona.

— Ja też chętnie wzięłabym coś takiego — zażartowałam, wypuszczając ich za drzwi. Ale uśmiech spłynął z moich warg, jak tylko odjechali. Pozostawiona sama z Sophią rozpoznałam w sobie nowe uczucie, które narastało we mnie i którego nie doświadczałam dotąd z taką mocą — a w każdym razie nie w związku ze sprawami zawodowymi. Był to strach. Bałam się jej. I tego, że jestem z nią sama w domu. Miałam nadzieję, że Phil się nie mylił. Miałam nadzieję, że Sophia naprawdę dziś się nie obudzi.

Na całe szczęście przez całe popołudnie miałam mnóstwo roboty. Najpierw musiałam zapisać wszystko w dzienniku i zrobiłam to, siedząc przy stole w jadalni, z dużym kubkiem kawy przy łokciu. Starannie zanotowałam każdy zapamiętany szczegół. Potem zadzwoniłam do Johna Fulshawa i zdałam mu relację z wizyty pogotowia; powtórzyłam mu to, co powiedział Phil na temat wizyty u lekarza rodzinnego, żeby omówić jej leczenie, i jeszcze raz powtórzyłam prośbę o jak najszybszą konsultację psychiatryczną.

John oczywiście zapewnił mnie, że robi, co może, ale nie miał nic nowego do powiedzenia. Tak, zgłosił sprawę do OPPDM, nie, nie ma żadnych wiadomości, tak, postara się jeszcze raz ich pogonić.

W końcu zadzwoniłam do Mike'a i najzwyczajniej w świecie wyrzyczałam się przed nim — ostatnia rzecz, jakiej potrzebował w środku dnia pracy. Słuchał cierpliwie i ze współczuciem, ale ja poczułam się fatalnie, kiedy wreszcie odłożyłam słuchawkę. Co ja wyprawiam? To nie w moim stylu tak go obarczać, a już na pewno nie w czasie pracy. Wszystko było nie tak.

Ale owszem, ulżyło mi. A skoro Sophia spała na górze, postanowiłam zakończyć dzień tak samo, jak go zaczęłam. Wykombinowałam na obiad jakąś zapiekankę z piersi z kurczaka i warzyw i wróciłam na dwór, by rozkoszować się resztką wiosennego słońca, w nadziei że wchłonę z niego trochę ciepła i siły.

Kontrast uderzył mnie jak obuchem w łeb. Radosny ogród z trawnikiem zasłanym zabawkami wydawał się zupełnym przeciwieństwem tego, co działo się w domu i w naszym życiu. Tutaj słońce migotało wesoło na krystalicznej wodzie w małym baseniku, a na górze spało dziecko tak strasznie poharatane psychicznie, z takim pędem do autodestrukcji. Czy ja naprawdę miałam nadzieję, że zawrócę ją z tej drogi? Zaczynałam w to wątpić.

Kiedy obudziłam się następnego ranka i przypomniały mi się wydarzenia poprzedniego dnia, ogarnął mnie ten sam lęk, który czułam wczoraj. Wyciągnęłam ręce na kołdrze, szukając Mike'a. Kieron spędził tę noc u Lauren i wziął ze sobą Boba, a ja poczułam niemal panikę na myśl, że Mike mógł już wyjść do pracy, zostawiając mnie samą w domu z Sophią.

Ale niepotrzebnie się martwiłam. Kiedy zaczęłam besztać się w duchu za głupotę, mój mąż stanął w otwartych drzwiach sypialni z kawą i tostami.

— Niespodzianka — powiedział z szerokim uśmiechem. — Dla pani domu. Skoro są ferie, pomyślałem sobie, że możesz trochę pospać. — Postawił tacę na nocnej szafce i schylił się, żeby pocałować mnie w czoło.

— Och, bardzo dziękuję, kochanie — szepnęłam, podsuwając się do pozycji siedzącej. — Która to godzina?

— Prawie ósma, więc ja naprawdę muszę już zmykać. Ale słuchaj, kochanie, wiesz, gdzie mnie szukać, gdybyś mnie potrzebowała. Więc gdybyś chciała zadzwonić, to niczym się nie przejmuj. Powiedziałem wszystkim, co jest grane, wiedzą, że mamy trochę problemów, więc...

— Dzisiaj nie, przy odrobinie szczęścia — stwierdziłam, zmuszając samą siebie, by w to uwierzyć. — Sądząc po poprzednich okazjach, po wielkim wybuchu zwykle mamy parę spokojnych dni, więc mam nadzieję, że dzisiaj będzie dobrze.

— I tak trzymać — powiedział. — A tak w ogóle to ona już wstała.

— Rozmawiałaś z nią?

Pokręcił głową.

— Nie, ale słyszałem, że krząta się po pokoju i mamrocze do siebie. Obstawiam, że jak będzie gotowa, zejdzie na dół cała skruszona.

Przytaknęłam ruchem głowy.

— Skruchą nie pogardzę. A później wpadnie Riley, żeby wesprzeć mnie moralnie. Nie martw się. Leć do pracy. Nic mi nie będzie.

Mike pocałował mnie na pożegnanie i wyszedł; w ciszy, która nastąpiła, usłyszałam Sophię w jej pokoju. Mimo moich optymistycznych słów wciąż czułam niepokój przed spotkaniem z nią. Ucieszyłam się, kiedy przypomniałam sobie, że Kieron ma wolne od uczelni. Fajnie będzie mieć go

w domu przez cały tydzień. Miałam nadzieję, że nie będzie siedział u Lauren zbyt długo, ale zabroniłam sobie dzwonić do niego i sprawdzać.

Stchórzyłam i nie zajrzałam od razu do Sophii. Zeszłam prosto do kuchni i natychmiast poweselałam, widząc, że Mike naparzył mi już dzbanek kawy. „Na dobry humor! ☺” głosiła żółta karteczka przyklejona do ekspresu. Nalałam sobie drugi kubek i zaczęłam porządkować kuchnię; cokolwiek, pomyślałam, wycierając czyste blaty, byle tylko odsunąć chwilę, kiedy będę musiała pójść na górę i stawić jej czoło.

A jednak będę musiała, rozumiałam, kiedy wskazówki zegara dawno minęły dziesiątą, a Sophia nie wyściubiła jeszcze nosa z pokoju. Owszem, nie było dziś szkoły, ale musiałam ją przynajmniej nakarmić i skłonić do wzięcia leków. Jeśli nie chciałam znów dzwonić po Phila.

Bierz się w garść, Casey! — skarciłam się w duchu, idąc na górę na ciężkich nogach. Takie ociąganie się w obliczu trudnej sytuacji było zupełnie nie w moim stylu. Branie byka za rogi to zawsze była moja specjalność — a wymiękanie, powiedziałam sobie, jest dla mięczaków. Sophia prawdopodobnie ukrywała się w swoim pokoju dokładnie z tego samego powodu, z jakiego ja ukrywałam się w kuchni na dole — pewnie obie nie byłyśmy w stanie spojrzeć sobie w oczy.

Ale się myliłam. Wyczułam to natychmiast, poznałam po włoskach jeżących się na karku, kiedy tylko otworzyłam drzwi na całą szerokość.

Zapukałam, wchodząc, bo nie chciałam jej przestraszyć. Siedziała bokiem do mnie, przy toalecie, i rytmicznie szczotkowała włosy.

— Sophio, skarbie — zaczęłam. — Już dawno po śniadaniu. Zejdiesz na dół?

Wpatrywała się w lustro. A raczej nie w lustro, a na wylot przez nie. Nie patrzyła na swoje odbicie. To było oczywiste. Gapiła się niewidzącym wzrokiem w dal. Nie odpowiedziała mi. Nawet nie drgnęła.

— Skarbie? — powtórzyłam, dręczona złym przecuciem. — Wszystko dobrze? Zejdź na dół, zrobię ci coś do jedzenia, hm? Na pewno jesteś strasznie głodna.

Wciąż się nie odezwała, ale owszem, wstała i, wciąż szczotkując włosy, ruszyła w moją stronę. W pierwszej chwili wyglądało to tak, jakby lunatykowała, nic nie widząc, ale nagle zrozumiałam, że ona robi, o co ją prosiłam, więc odwróciłam się i rzeczywiście, potulnie zeszła za mną do kuchni, usiadła na swoim zwykłym miejscu przy stole i znów zaczęła szczotkować włosy.

Coś tu jest nie tak, myślałam niespokojnie. To jest przerażające. Co się z nią dzieło, do diabła? Nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Wrzeszczącą, tak, szalejącą, tak, wyrzucającą zabawki z wózka — o tak. Ale ten dziwny kukłowaty stan był chyba bardziej przerażający. Czy był to początek prawdziwego kryzysu chorobowego, czy też wszystko dzieło się tylko w jej głowie? Proszę cię, Kieron, myślałam. Wracaj jak najszybciej.

— Sophia? — spróbowałam jeszcze raz, kładąc jej dłoń na ramieniu. — Sophio, kochanie. Nie wyglądasz najlepiej. Musisz wziąć leki i koniecznie coś zjeść. — Tym razem, ku mojej uldze, chyba zarejestrowała, że do niej mówię. Nie odpowiedziała, ale przynajmniej kiwnęła głową.

Odetchnęłam i podeszłam do szafki, by wyjąć leki, które Phil zniósł wczoraj na dół. Uspokoiliłam się jeszcze bardziej, widząc, że Sophia spokojnie wzięła obie pigułki. Zaczęłam krzątać się po kuchni i przygotowywać tosty. Sophia wciąż się nie odezwała — wróciła do czesania włosów — ale kiedy tosty się upiekły i posmarowałam je masłem, posłusznie zjadła oba kawałki, a nawet podsunęła mi pusty talerzyk, kiedy już skończyła. Przynajmniej o posiłek nie muszę się już martwić, myślałam, biorąc talerzyk. Ale sprawa wyglądała poważnie. Sophia była jak w jakimś transie, a ja nie miałam bladego pojęcia, co dalej robić. A właściwie wiedziałam. Potrzebowałam zadzwonić po pomoc.

Zostawiłam ją samą — była zajęta wyłącznie włosami i chyba nie zamierzała ruszyć się z kuchni — wzięłam sobie słuchawkę stacjonarnego telefonu i notes z numerami do ogrodu. Więc co robić? Dzwonić po karetkę? Do Johna? Co miało największy sens? W końcu jakiś instynkt doprowadził mnie do numeru jej lekarza, tego, z którym wydawała się tak blisko zaprzyjaźniona. Skoro już mam do kogoś dzwonić, to czemu nie do niego? Ze wszystkich moich pomysłów ten był chyba najbardziej logiczny. On ją znał, i to dobrze. Inni nie.

Zdumiałam się, że udało mi się dodzwonić natychmiast. Choć byłam zdeterminowana, żeby

dobiec się do niego, zdawałam sobie sprawę, że prawdopodobnie będę musiała się przedrzeć przez kolejne warstwy administracji, by uzyskać dostęp do samego eksperta.

Ucieszył się, że mnie słyszy. I był szczerze zatroskany. Szczególnie kiedy mu powiedziałam o samobójczych pogroźkach. Co sprawiło nagle, że stały się bardzo realne. Czytać o „usiłowaniach samobójstwa” w aktach opieki społecznej to jedna sprawa; zupełnie co innego jest mieć pod dachem dziecko, które w każdej chwili może spróbować, i być może skutecznie, odebrać sobie życie.

— Prawie jej się udało — stwierdził ponuro — i to parę razy. I nie mówię tylko o okresie, od kiedy jest pod opieką instytucjonalną. Prowadzę ją od dość wczesnego wieku, piątego czy szóstego roku życia, i wiem, że kilka razy próbowała samobójstwa, odmawiając przyjmowania leków, i w przynajmniej dwóch przypadkach o mało nie dopięła swego.

— Och, to świetnie! — powiedziałam; mój lęk zastąpił teraz gniew. — Więc mówi pan, że to nie jest nowa sprawa? A nie byłoby przypadkiem pomocne, gdybyśmy o tym wszystkim wiedzieli, kiedy zaczęliśmy się nią zajmować?

— To delikatna sprawa — odparł, nie dając mi się zahukać. — I o ile wiem, opieka społeczna ma dostęp do jej danych medycznych. Ale proszę zrozumieć, że muszę poważnie traktować prawo pacjenta do prywatności...

— Rozumiem to. Ale ja równie poważnie muszę traktować dobrostan dzieci, które oddano mi pod opiekę. A to jest możliwe tylko wtedy, kiedy mam pełny obraz! Wychodzi na to, że zajmowaliśmy się dzieckiem, które od dawna miało problemy psychologiczne, problemy, do leczenia których ani ja, ani mój mąż nie mamy kwalifikacji. Nie sądzi pan, że wyszłoby wszystkim na dobre, gdyby pan powiedział nam o tym przy naszej pierwszej wizycie?

I znów w głowie zabrzmiało mi znajome pytanie: gdybyśmy wiedzieli o tym wszystkim, to czy w ogóle zdecydowalibyśmy się wziąć ją do siebie? Nie, oczywiście że nie. Nie mieliśmy kwalifikacji... żaden opiekun zastępczy ich nie ma. Ale teraz było za późno, żeby o tym myśleć. I powiedziałam to. Było jasne, że Sophia trafiła w nieodpowiednie miejsce.

— Zgadza się — odparł jej lekarz. — I być może powinna to pani omówić z opieką społeczną. Ale w tej chwili priorytetem jest, żeby pani natychmiast skontaktowała się ze swoim lekarzem rodzinnym. Ja jestem za daleko, żeby być użyteczny na bieżąco, ale może pani lekarz zechce ją zbadać, a potem skonsultować się ze mną.

No tak, pomyślałam. Za daleko. Więc bezużyteczny. I choć wiedziałam, że mój lekarz domowy będzie pomocny i pełen zrozumienia, obstawiałam, że kartoteka medyczna Sophii jeszcze do niego nie dotarła. Choć jak wszyscy lekarze rodzinni miał obowiązek leczyć dzieci pod opieką zastępczą, to w praktyce, jak nam powiedziano, dokumenty dziecka często docierały na miejsce z dużym opóźnieniem. Oczywiście dostawałam od niego recepty na leki dla Sophii, ale jeśli chodzi o jej skomplikowaną przeszłość — cóż, nie będzie mądrzejszy ode mnie, prawda? Postanowiłam najpierw zadzwonić po radę do Johna.

Wkurzyłam się, kiedy dodzwoniłam się na jego sekretarkę i musiałam zostawić wiadomość. Powiedziałam mu jasno i wyraźnie, że Mike i ja, i jej lekarz uważamy, że Sophia ma jakieś załamanie nerwowe, i że umówię jej wizytę lekarza domowego. Jeśli to nie pomoże, będę musiała znów wezwać pogotowie. Właśnie kończyłam nagrywać wiadomość, kiedy usłyszałam zza pleców głos Sophii.

— Kurwa, kto to był? — spytała. Obróciłam się na siedzeniu i ujrzałam ją w drzwiach oranżerii. Nieobecny wyraz twarzy zastąpił znajomy grymas: ta okropna, wykrzywiona maska pełna wściekłości i nienawiści.

— Proszę cię, Sophio, nie przeklinaj — rzekłam, starając się twardo patrzeć jej w oczy. Wydawała się niemal oszalała z wściekłości. — A to była prywatna rozmowa — dodałam, zupełnie bezcelowo. Było jasne, że słyszała przynajmniej jej koniec. Słyszała swoje imię.

— Nieprawda. Rozmawiałaś o mnie — wycedziła, potwierdzając moje podejrzenia. — Pieprzona kłamczucha.

Zaschło mi w ustach, więc oblizawałam wargi.

— Przestań, powiedziałam! — nie ustępowałam. — I owszem, zgadza się, rozmawiałam o

tobie. Wszyscy bardzo się o ciebie martwimy. Jesteś...

Uderzyła pięścią w drzwi. To było tak nagłe, że aż podskoczyłam.

— Wal się! Nie będą tu przychodzili żadni lekarze, żeby znowu mnie kłuć. Rozumiesz? Załapałaś?

Wstałam, ale doskonale zdawałam sobie sprawę, że aby dostać się do domu, musiałabym przejść obok niej. Byłam tu uwięziona.

— Sophio, nie wyglupiaj się — zaczęłam. — Nikt nie będzie ci robił zastrzyków. Przecież wzięłaś leki, prawda? Więc po co ktoś miałby cię kłuć? Ale lekarz musi tu przyjść i cię zbadać. Musimy zrozumieć, dlaczego jesteś coraz bardziej chora.

— To przez ciebie jestem chora! — wrzasnęła na mnie. Zrobiła krok w moją stronę, a ja poczułam, że sztywnieję. — Nie możesz przestać wtykać tego swojego wielkiego nosa w nie swoje sprawy?

Nie było sensu tak stać. Musiałam coś zrobić. Ruszyłam w jej stronę, starając się udawać, że nie przejęłam się tym jej wybuchem. Położyłam dłoń na futrynie.

— No już, Sophio, zejdź mi z drogi — rzuciłam dosyć ostro. — Wejźmy do środka. Nastawimy czajnik i porozmawiamy.

Ale ona miała inny pomysł. Nawet nie drgnęła. Nie stała już po prostu w drzwiach oranżerii; teraz aktywnie blokowała mi przejście. Jeśli chciałam dokądkolwiek pójść, naprawdę musiałabym ją przesunąć, i w całej pełni dotarło do mnie, o ile jest ode mnie większa i silniejsza.

Ale w tej chwili usłyszałam trzaśnięcie drzwi wejściowych. Kieron! Och, Bogu dzięki, pomyślałam. Kieron. To musi być Kieron! Po sekundzie wszedł do oranżerii, wołając:

— Mamo! Mamo, jesteś tu?

Spojrzał na nas dwie — Sophia odwróciła głowę, kiedy go usłyszała — i zrobił skołowaną minę.

— Hejka, Sophia — powiedział. — Mamo, wszystko w porządku?

Sophia odwróciła się teraz całkowicie, dając mi okazję przeciśnięcia się obok niej.

Skorzystałam.

— Mamo, wszystko w porządku? — przedrzeźniła go. — Nie, Kieron — rzuciła jadownicę. — Nie jest, kurwa. Ta suka — wskazała mi palcem — uważa, że zabawnie jest dźgać mnie igłami, żeby mnie uśpić!

Patrzyłam, jak Kieronowi opadła szczeka, zanim odzyskał rezon.

— Hej — rzucił — nie waż się mówić w ten sposób do mojej matki! Do pokoju, już!

Gdzieś w środku tego wszystkiego jakiś kawałek mojego umysłu znalazł czas na refleksję, że to odsyłanie dzieci będących pod moją opieką do pokoju przez moje biologiczne dzieci stało się już poniekąd regularnym zjawiskiem.

— Rób, co mówi — wtrąciłam od siebie. — I owszem, porozmawiam z lekarzem. Sophia, nie jesteś sobą. Wiem, że taka nie jesteś. Możliwe, że to wina leków. Może trzeba ci znowu zmienić dawki.

A może, pomyślałam, przypominając sobie to, co czytałam o psychicznych efektach ubocznych, to po części jest wynik choroby.

— Rób, co mówi! — zmałpowwała tym razem mnie, ignorując polecenie. — Dzieci Casey zawsze mają rację. Pieprzona idealna Casey. Pieprzona idealna Casey i jej pieprzone idealne dzieciaki! — Była już w histerii, wypluwała słowa z jadem i furią, aż nagle rzuciła się na Kierona, który ledwie zdążył uskoczyć jej z drogi. Oboje byliśmy w szoku.

Znów na niego skoczyła.

— Okej, zobaczymy, jak to ci się spodoba, pieprzony panie idealny! — Ale tym razem, kiedy Kieron zrobił unik, przemknęła koło niego i pognęła na górę z maniackim śmiechem.

— Jezu, co jej się stało? — spytał mnie Kieron osłupiały.

— Och, kochanie — powiedziałam. — Nawet nie wiem, od czego zacząć. Muszę zadzwonić po lekarza. I to w tej chwili. — Wybiegłam z powrotem na dwór po słuchawkę i przyniosłam ją do domu. Było przedpołudnie. Liczyłam, że przy odrobinie szczęścia uda mi się zamówić wizytę domową. A jeśli nie, cóż, po prostu znowu wezwę pogotowie. To absolutnie, z całą

pewnością nie mogło trwać dłużej.

Weszłam do kuchni i drżącymi palcami wybrałam numer przychodni. Oczywiście trzy razy usłyszałam sygnał „zajęte”, zanim w końcu odezwało się automatyczne menu. „Wizyty, wybierz jeden. Recepty, wybierz dwa. Wizyty domowe, wybierz trzy...”

Wcisnęłam trójkę i spróbowałam siłą woli zmusić serce, żeby przestało łomotać tak mocno. Trzymając kciuki, wyjaśniłam recepcjonistce, kim jestem i dlaczego niepokoi mnie obecny stan Sophii. Na szczęście udało jej się znaleźć dla mnie wolny termin po południu, ale kiedy się rozłączyłam, wciąż nie wiedziałam, czy postępuję właściwie. Czy nie powinnam mimo wszystko wezwać karetki? Nie, pomyślałam, to idiotyczne. Nie mieliśmy tu niczego, z czym nie poradziłby sobie lekarz domowy. Przecież nie mogłam sobie tak gwizdać na pogotowie, kiedy mi się zachciało.

Ale Sophia jeszcze nie doświadczyła nas wystarczająco. Odkładając słuchawkę, usłyszałam, że Kieron woła psa.

— Mamo — powiedział, wchodząc do kuchni. — Nie widziałaś, czy Bob wychodził do ogrodu? Zginął mi gdzieś...

Pokręciłam głową.

— Zginął? Jak mógł zginąć? Zaglądałeś do swojego pokoju?

— Mamo, dopiero wróciłem z nim od Lauren. Jest głodny jak wilk. Mój pokój to ostatnie miejsce, do którego by poszedł. Na pewno chce śniadanie.

— Nie — odparłam nieuważnie, zajęta myślami o czym innym. — Chyba nie. Nie przechodził koło mnie. Przecież gdzieś musi być. Szukaj dalej. W tej chwili mam trochę inne zmartwienia...

— Ale gdzie on może być, mamo? Przecież nie rozplynął się w powietrzu!

Zdaje się, że oboje pomyśleliśmy o tym samym dokładnie w tej samej chwili. „Zobaczmy, jak to ci się spodoba, pieprzony panie idealny...” O Boże, pomyślałam. Bob. Na pewno ona go ma. Żadne z nas nie odezwało się słowem. Po prostu odwróciliśmy się oboje i popędziliśmy na górę.

Kieron wyprzedził mnie i wpadł do pokoju Sophii. Pusty. Wyszedł i przemaszerował przez piętro, do drzwi łazienki, które zwykle stały uchylone. Tym razem nie. Szarpnęła za gałkę. Zamknięte na klucz. Załomotał w nie wściekle.

— Sophia! — krzyknął. — Masz tam mojego psa, zgadza się? Wiem, że tak! Wypuść go! Wypuść go w tej chwili!

— Pierdol się! — odwrzasnęła, kiedy dotarłam na miejsce. — Ten pies cię nienawidzi! A jeśli ja zdechnę, pies zdechnie ze mną!

Kieron miał już łzy w oczach; dostrzegłam je, kiedy spytał mnie błagalnym tonem:

— Co ona mu robi, mamo? Co ona miała na myśli? Mamo, wydostań go! Musisz go wydostać! Błagam cię, wydostań Boba! — W jego głosie też zaczynała pobrzmiwać histeria.

Załomotałam w drzwi z całej siły.

— Sophia, masz dziesięć sekund. Dziesięć sekund, słyszysz? Możesz się tam zamknąć choćby na zawsze, jeśli masz ochotę, ale pies wychodzi, zrozumiałaś? Pies wychodzi w tej chwili!

Cisza. Przyłożyłam ucho do drzwi, nasłuchując, zrozpaczona. Po prostu nie wiedziałam, do czego ona jest zdolna. Naprawdę. I byłam przerażona. Te wszystkie cholerne, bezużyteczne słowa! Wszystko na nic! I nagle usłyszałam huk — solidne łup — po którym nastąpił głośny skowyt. Kieron też to usłyszał i obojgu nam stanął przed oczami obraz naszego ukochanego psa ciśniętego o ścianę.

— Sophia! — wrzasnął Kieron. — Zaraz wyłamię te cholerne drzwi!

Uniósł pięści, żeby naprawdę to zrobić, kiedy wreszcie się otworzyły. Tylko odrobinę, na tyle, by biedny Bob mógł przecisnąć się przez szparę, i znów zatrzasnęły się z hukiem, o mało nie przycinając mu ogona. Ale moja ulga na jego widok nie trwała długo. Bob przemknął obok nas na drżących nogach, popędził, ślizgając się, przez podest piętra i na wpół zbiegł, na wpół sturlał się po schodach; wreszcie padł odpocząć, skomląc i dygocząc, na wykładzinie w przedpokoju.

Kieron krzyknął z rozpaczą i natychmiast popędził za nim; kiedy ja dotarłam na dół, on trzymał już Boba w ramionach i ze łzami ciekącymi po policzkach patrzył, jak jego ukochany

piesek wzdryga się ze strachu. Chyba od dziesięciu lat nie widziałam, żeby mój syn płakał, i serce mi pękło na ten widok. Kochany Boże, modliłam się w duchu. Niech biedny Bob będzie cały i zdrowy.

Rozdział 22

Patrząc na pełną bólu twarz Kieron, czułam się koszmarnie.

— Boże, mamo, popatrz na niego! Myślisz, że coś sobie złamał? O Boże! — Ostrożnie, drżącymi dłońmi obmacałam kończyny Boba i przekonałam się z ulgą, że chyba wszystko jest okej. Ani razu nie szarpnął się i nie zaskomlał; był tylko przerażony. Z Bobem wszystko w porządku.

Ale ze mną nie. Boże, ależ byłam wściekła. Już to przerabialiśmy — w zeszłym roku z Justinem, który podczas szczególnie trudnego okresu potraktował naszego biednego psa z bezdusznym okrucieństwem. To było nie fair. To było nie do przyjęcia. Tak nie mogło być.

— Zdaje się, że jest cały, kochanie — uspokoilałam Kieron. — Z całą pewnością kopnęła go, uderzyła albo nim rzuciła, ale to mały twardziel. Moim zdaniem nic mu nie jest.

Mimo to, pomyślałam, pocieszając zrozpaczonego syna, będę musiała uważnie go obserwować. Jeśli nim rzuciła — a ten straszny dźwięk sugerował, że tak było — to pies może mieć obrażenia wewnętrzne, których nie widać na pierwszy rzut oka. Ale na razie się uspokoilałam. Bob był z każdą sekundą weselszy.

— Może go nakarm? — zasugerowałam Kieronowi. — Niech się wreszcie naje, biedaczek.

Kieron w milczeniu skinął głową i zabrał Boba do kuchni, gdzie ten uspokoilał nas ostatecznie, że błyskawicznie dochodzi do siebie, bo wciął pełną miskę psiej karmy.

— Zabiorę go do Lauren — powiedział Kieron, kiedy Bob skończył jeść. — I nie przyprowadzę z powrotem, dopóki nie zrobisz z nią porządku.

Rzeczona „ona” wróciła tymczasem do swojego pokoju — oboje usłyszeliśmy huk zatrzaskiwanych drzwi. Ja osobiście nie miałam nic przeciwko. Zamiast znów stawiać jej czoło, wykorzystałam chwilę spokoju, żeby pozbierać myśli. Lekarz rodzinny miał się zjawić za niecałe pół godziny. Wykorzystałam ten czas na uzupełnienie dziennika. Niczego nie pominęłam; opisałam każdy szczegół, jaki mi przyszedł do głowy. Darowałam sobie tylko jedno zdanie, które brzmiało mi w głowie, kiedy zatykałam długopis: „Żyjemy dosłownie w domu wariatów...”

Nasz lekarz rodzinny, doktor Shackleton, leczył nas już od jakichś piętnastu lat. Znał całą rodzinę i był wesołym, rzeczowym człowiekiem. Podczas długich lat praktyki widział już wszystko, łącznie z chorobą Addisona, więc byłam pewna, że powie mi coś mądrego.

Kiedy zabrałam go na górę, zastaliśmy Sopię leżącą grzecznie na łóżku i czytającą gazetę. Bez żadnych sprzeciwów (choć prawie się nie odzywała, tylko kiwała głową) poddała się dokładnemu badaniu. Doktor obejrzał jej źrenice, zmierzył ciśnienie, sprawdził odruchy i puls, i parę rzeczy, które dla mnie nie były oczywiste — wzrok i równowagę, zdaje się, nie wiem, dokładnie — obmacał jej brzuch i opukał klatkę piersiową. Wypytał ją, jak się czuje i jak się czuła wcześniej, a jej odpowiedzi — ku mojemu osłupieniu — były potulne i grzeczne. Nie pamiętała nic z wydarzeń poranka i była szczerze zawstydzona, kiedy delikatnie spytał ją, czy nie użyła przypadkiem przemocy wobec psa.

W końcu, po zakończeniu badania, doktor zasugerował, żeby odpoczęła, i znów zgodziła się, potulna jak owieczka. Przykryła się nawet kocem, by pokazać, że naprawdę idzie spać, a kiedy wychodziliśmy z pokoju, miała już zamknięte oczy.

— I co pan myśli? — spytałam go, kiedy zeszliśmy z powrotem do kuchni. Z nawyku mówiłam cicho, zamknęłam też za nami drzwi. Nie potrafiłam wyzbyć się lęku, że Sophia może pojawić się nagle i znów zacząć na nas wrzeszczeć.

— Wydaje mi się, że jest w dość kiepskim stanie — powiedział. — I być może ma to związek z chorobą. Ale może i nie. Wygląda na to, że miewa epizody psychotyczne. I z tego, co pani mówi, chyba się nasilają, i to jest bardzo niepokojące.

Wyjaśniłam mu, że czekamy na konsultację OPPDM, gdzie ocenią jak należy jej stan psychiczny.

— Ale ma pan rację — powiedziałam. — Rzeczywiście to się nasila i zdarza coraz częściej. Zaczynam się autentycznie bać, co ona może zrobić następnym razem. Szczególnie biorąc pod uwagę jej historię prób samobójczych i wszystkie traumy i ciężkie przeżycia, które przeszła w ciągu

ostatniego roku. Szczerze mówiąc, czuję się, jakbym mieszkała z bombą zegarową — wyznałam. — I... no cóż, przyznam się panu, że jestem u kresu wytrzymałości.

Uśmiechnął się, by dodać mi otuchy.

— Ja się tym zajmę — powiedział. I ku mojej niezmiernej uldze w tej chwili, z mojego domu, zadzwonił do szpitala, by załatwić Sophii wizytę w trybie pilnym. I choć wszystko musiało się trochę opóźnić przez wolne dni w Wielkanoc, obiecano nam wizytę w przyszłym tygodniu. — Ale powtarzam pani, jak zapewne wszyscy — powiedział, kiedy odprowadzałam go do drzwi — proszę nie myśleć, że musi pani radzić sobie z tym sama, Casey. Jeśli pani się martwi albo boi, proszę dzwonić pod 999. Bo oni...

— ...właśnie od tego są — dokończyłam za niego. — Wiem — odparłam, uśmiechając się smutno. — Na pewno zadzwonię.

Zaraz po wyjściu doktora poszłam na górę, by zajrzeć do Sophii i sprawdzić, czy naprawdę śpi; chciałam wreszcie zabrać się do domowych zajęć, na które do tej pory nie miałam czasu. Gdzie się podział dzień? Miałam wrażenie, że ktoś mi go ukradł. A razem z nim moje kochane, uspokajające poczucie ładu.

Sophia nie spała. Wciąż leżała, tak jak ją zostawiliśmy, pod kocem. Ale oczy miała szeroko otwarte i wbite w sufit. Kiedy weszłam, odwróciła głowę i po raz pierwszy od długiego czasu — a przynajmniej takie miałam wrażenie — jej twarz wyglądała normalnie. Zniknęło szkliste spojrzenie, zniknęła wykrzywiona maska gniewu — po prostu zauważyła, że weszłam do pokoju.

— Jestem chora, Casey, prawda? — powiedziała cicho.

Kiwnęłam głową.

— Tak, kochanie. Chyba tak. — Nie mogłam jej okłamywać. I nie powinnam. — Ale doktor ci pomoże, okej? Od tego jest. Umówiliśmy ci wizytę. Na przyszły tydzień. A tymczasem będziemy się przejmować tylko bieżącym dniem, dobrze?

Skinęła głową.

— Mam ci może coś przynieść? Biorę się do przygotowania podwieczorku. Ale może chcesz coś do picia i jakąś słoną przekąskę, żeby za bardzo nie zgłodnieć?

— Chętnie bym się napiła. Sok pomarańczowy?

Przytaknęłam z uśmiechem.

— Sok pomarańczowy. Już się robi.

Odwrociłam się i chciałam wyjść z pokoju, ale kiedy miałam już nogę za progiem, zawołała za mną:

— Casey, Bob jest cały?

— Nic mu nie jest — zapewniłam ją. — Jest cały i zdrowy.

— Nie myślałam, że mogę mu zrobić krzywdę. Przysięgam, Casey, nie wiedziałam.

Przepraszę Kierona. Tak strasznie, strasznie mi przykro. Czuję się okropnie. Po prostu nie wiem, dlaczego to zrobiłam... to nie byłam ja... przysięgam, Casey. Zupełnie jakby to był ktoś inny... Boże, tak strasznie mi przykro.

Zawahałam się przez chwilę, nie wiedząc, czy nie zawrócić i nie przytulić jej. Ale coś mnie powstrzymało. Po prostu nie potrafiłam się na to zdobyć. Jeszcze nie. Cierpienie mojego własnego syna wciąż było zbyt świeże w mojej pamięci. Uśmiechnęłam się tylko.

— Skarbie, nic mu nie jest. I jest po sprawie. Było, minęło. Oboje wiemy, że tego nie chciałaś. Okej?

Potulnie skinęła głową.

— Okej — odparła cicho.

Właśnie w tym rzecz, dumalam, wracając na dół. Besztanie czy dyscyplinowanie tego dziecka zupełnie nie miało sensu. Jej jakby nie było na miejscu, kiedy zachowywała się tak okropnie. Jakby jej życie było coraz bardziej podarte, coraz bardziej dziurawe. Wpadała w taką dziurę, miotała się, robiła i mówiła straszne rzeczy, a potem jakimś cudem odnajdowała drogę do rzeczywistości i traciła świadomość tego, co się działo.

Żałowałam, że nie znam się lepiej na psychologii, że nie rozumiem więcej. Nie miałam pojęcia, co się dzieje, ale jedno było dla mnie jasne: te dziury robiły się coraz większe. Ile Sophia

ma czasu, zanim wpadnie w którąś, tak ogromną i głęboką, że nie zdoła się z niej wydobyć?

Ja sama chyba funkcjonowałam w jakiejś takiej dziurze. Albo przynajmniej tak to musiało wyglądać z zewnątrz. Kieron i Bob wrócili parę dni później, Sophia zgodnie z obietnicą przeprosiła i wielkanocny weekend upłynął bez incydentów. Ale ja zauważyłam, że moja rodzina dziwnie gorliwie zaczęła sprawdzać, co u mnie słychać; Riley dzwoniła i wpadała częściej niż zwykle, Mike dzwonił z pracy pod byle pretekstem, a nawet David, chłopak Riley, zaczął do mnie dzwonić o dziwnych porach dnia, bo albo podrzucił Riley, albo odbierał Riley i przy okazji pytał: „Nie potrzebujesz czegoś przypadkiem, Casey?”

Dziwne, uznałam. Bardzo nietypowe. Moi bliscy byli fantastyczni i zawsze dzielnie mnie wspierali, ale to było coś nowego. I chociaż podejrzewałam, że to wszystko ma mi poprawić samopoczucie, niestety miało wręcz odwrotny skutek. Choć bardzo ich za to kochałam, nie mogłam znieść poczucia, że myślą, że ja tonę w tym całym chaosie. A może tonęłam? Jeśli odbierali ode mnie takie vibracje, to musiałam wziąć się w garść i przestać je wysyłać.

Ale wszyscy do pewnego stopnia wstrzymywaliśmy oddech. John oddzwonił do mnie — odbyliśmy kolejną długą rozmowę, niewnoszącą niczego. Zadzwoiła też policja w sprawie incydentu, kiedy Sophia groziła samobójstwem. Autentycznie osłupiałam, kiedy się odezwali, bo zupełnie się tego nie spodziewałam. Dodałam dwa do dwóch, dopiero kiedy sobie przypomniałam, że Bev (a może Phil — wszystko mi się już zlewało) mówiła mi, że taka jest procedura. Zapewniłam ich, że wszystko już jest dobrze i że organizujemy jej pomoc lekarską, i pożegnałam się, osłupiała, z nową „ciekawostką” do zapisania w dzienniku.

I jakimś cudem przetrwaliśmy tydzień i dotarliśmy do niedzieli przed letnim semestrem bez żadnych nowych wydarzeń, złych czy dobrych. Nie licząc sterty rzeczy do prasowania, która trochę wymknęła się spod kontroli, więc wczesnym wieczorem zabrałam się do niej w oranżerii. Nie wiedziałam, czy uda mi się skończyć, ale musiałam przynajmniej zrobić w niej wyłom. Sophia potrzebowała szkolnego mundurka, Mike koszul, a Kieron swojej zbieraniny koszulek z zespołami — trzeba było to wszystko ogarnąć chociaż z grubsza.

Nie zdziwił mnie widok Sophii w drzwiach. Lubiła oranżerię prawie tak samo jak ja. Była już przebrana do snu, choć była dopiero ósma, i ścisnęła w dłoniach książkę na temat porad modowych jakiejś stylistki celebrytów, którą moi rodzice kupili jej na Wielkanoc. Byłam wzruszona — mówiłam im, że żadne słodczyce nie wchodzi w grę z powodu sterydów i ta książka była bardzo przemyślanym prezentem.

Sophia padła na swój ulubiony fotel, podwinęła pod siebie nogi i wyszczerzyła się do mnie radośnie.

— Wiesz co, Casey, ty chyba kochasz prasować, skoro zgromadziłaś sobie taką stertę!

— Ba! — odparłam, uśmiechając się z jej docinka. — Chciałabym! Ale prawda jest taka, że serdecznie tego nie cierpię.

Roześmiała się.

— Przecież wiem. Żartuję. Chcesz, żebym ja trochę poprasowała?

Zdumiała mnie ta propozycja, ale postarałam się tego nie okazać. I oczywiście nie musiała mnie prosić dwa razy.

— Bierz i prasuj, kochana! — ucieszyłam się, odkładając żelazko i zapraszając ją gestem. — Będiesz moją przyjaciółką do końca życia, jeśli choć trochę napoczniesz tę przeklętą kupę. — Wysłałam zza deski i wzięłam papierosy. — Więc proszę bardzo!

Nie zostawiłam jej samej pocącej się nad deską do prasowania. Skorzystałam z okazji, żeby stanąć w drzwiach do ogrodu i nacieszyć się niespodziewanym papierosem. Kiedy patrzyłam na nią, na jej staranne i przemyślane ruchy, boleśnie ścisnęło mi się serce. Tak trudno było pogodzić się z faktem, że w tej dziewczynie siedzą dwie kompletnie różne osoby. Znów pożałowałam, że nie mam głębszej wiedzy na temat działania ludzkiego umysłu — tak bardzo chciałabym to wszystko zrozumieć. Ktoś, kto jej nie znał, patrząc na nią teraz, pomyślałby, że to całkiem normalna nastolatka — miła dziewczyna wykonująca typową, dziewczyńską robotę. Była w wieku tuż przed dramataми nastoletniego buntu, kiedy dziewczynki zwykle lubią robić takie mamusiowe rzeczy, jak

pomaganie przy prasowaniu czy nauka gotowania. Cóż za tragedia, że jej mama nie mogła tego zobaczyć.

Ale w jej wnętrzu czaiła się ta druga osobowość. I nie było w niej nic typowego, a w każdym razie nic, z czym ja miałam do czynienia. Podejrzewałam, że to po prostu zlepek wszystkich koszmarów, które przeżyła w swoim krótkim życiu.

Ale co ja robię? — zastanowiłam się, gasząc papierosa. To głupie zawracać sobie głowę zabawą w psychiatrę. Lepiej po prostu cieszyć się tą spokojną chwilą.

— No dobrze — powiedziałam, usadawiając się wygodnie w moim ulubionym fotelu. — Co ta twoja książka zaleca dla niewysokiej czterdziestoparolatki z czarnymi, kręconymi włosami?

Tego wieczoru, kładąc się do łóżka z Mikiem, czułam się dziwnie pełna optymizmu. Minął już prawie tydzień od ostatniego wybuchu Sophii. Nie wiedziałam, czy to świadomość, że pomoc jest w drodze, czy tylko efekt ferii, czy może zbieg okoliczności był odpowiedzialny za ten relatywnie spokojny okres. Ale miałam głębokie poczucie, że lekarze będą w stanie jej pomóc. Że naprawdę może być lepiej. Że znajdziemy drogę wyjścia z tej matni.

— Rzeczywiście, wydaje się spokojniejsza — zgodził się ze mną Mike. — I bardziej pozytywnie nastawiona. Jakby pogodziła się z faktem, że ludzie naprawdę chcą jej pomóc.

— Miejmy nadzieję, że to nie jest chwilowe — powiedziałam. — Bo to chyba będzie klucz do całego procesu leczenia. Utrzymać ją w na tyle stabilnym stanie, żeby przyjęła pomoc. — Przytuliłam się do niego. — Wiesz co — szepnęłam — coś mi przyszło dzisiaj do głowy. To szalona myśl, wiem, ale mam wrażenie, że opieka zastępcza jest całym naszym życiem.

— Trudno myśleć inaczej. Na pewno jest całym twoim życiem...

— Nie, mnie nie chodzi o ilość godzin, którą temu poświęcamy. Chodzi mi o to, że nie pamiętam niczego innego. Nie pamiętam, jak to było przedtem. Nasze dawne życie wydaje mi się odległe o milion kilometrów. Czuję, że jesteśmy teraz całkiem innymi ludźmi, wiesz?

Roześmiał się.

— Z całą pewnością. Dzieciaki! Zapomnieliśmy już, jak radykalnie zmieniają nam życie!

— Święta prawda — odparłam. — I to na lepsze, nie sądzisz? Wiem, że jak na razie to był koszmar, pod wieloma względami. Ale kiedy wyjdziemy po drugiej stronie... to będzie jak z Justinem, prawda? I to jest bez wątpienia najwspanialsze uczucie na świecie...

W odpowiedzi usłyszałam niewyraźne „Mmm...” Mike już zasypiał.

Bo rzeczywiście było późno. Zgasiłam nocną lampkę i poszłam w jego ślady, a moje ostatnie myśli były pozytywne i optymistyczne. Nie mogłam wiedzieć, że między nami a „drugą stroną” leży jeszcze największa i najbardziej mroczna dolina.

Rozdział 23

Casey — mówi Alan Barker. — Bardzo mi przykro, że muszę to robić, naprawdę, ale obawiam się, że znów zepsuję pani dzień.

Poniedziałek. Pierwszy dzień letniego semestru i zaczął się tak sympatycznie.

Pozytywny nastrój z minionego weekendu nie minął. Obudziłam się z nim, towarzyszył mi przy śniadaniu i pod prysznicem, był ze mną, kiedy wyprawiałam Sopię i Kierona do szkoły i na uczelnię, i nie opuścił mnie w trakcie najdokładniejszego i najdłużej odkładanego wiosennego sprzątanego, jakie udało mi się wcisnąć w swoje codzienne zajęcia od wielu, wielu tygodni. Dom lśnił od dachu po piwnicę, a ja byłam przyjemnie zmęczona.

Ale teraz to. Spojrzałam na zegarek. Była trzecia po południu. Niemal pora powrotu Sopię ze szkoły, a do mnie dzwonił przełożony jej rocznika. Znowu. Wymknęło mi się westchnienie. Co tym razem?

— Słucham, Alan — powiedziałam. — Proszę, tylko niech pan będzie dla mnie łagodny.

— Cóż, to trochę niezręczna sytuacja... — zaczął.

— Niezręczna? W jakim sensie niezręczna?

— Mogę przekazać tylko to, co mi powiedziano — przerwał. — I celowo czekałem, aż skończą się lekcje. — Co było miłe z jego strony. — Ale, krótko mówiąc, Sopię była dziś absolutnie koszmarna.

Westchnęłam jeszcze głębiej.

— Słucham.

— Po lunchu wszyscy uczniowie byli na boiskach, jak zwykle. Pani Cronin, wuefistka, nadzorowała mecz bejsbolowy, kiedy nagle zauważyła grupkę chłopców stojących kręgiem kawałek dalej, na trawie. Natychmiast zorientowała się, że dzieje się coś niewłaściwego, bo jeden z chłopców trzymał straż.

Milczałam, kiedy umilkł na chwilę. Bałam się, co będzie dalej.

— Tak więc — ciągnął — pani Cronin poszła zbadać sprawę i zobaczyła Sopię. Była jedyną dziewczyną w kręgu sześciu chłopców i obawiam się, że była... no cóż, niekompletnie ubrana, nazwijmy to, i wykonywała coś w rodzaju... ehm... erotycznego tańca.

— Och, na litość boską! — wybuchnęłam.

— Wiem. I przepraszam, że muszę pani przekazywać takie mało budujące nowiny, proszę mi wierzyć. No więc pani Cronin przerwała to, oczywiście, i natychmiast odesłała Sopię do mojego gabinetu, a potem spędziła chłopców na przesłuchanie. I z tego, co wiem, wszyscy mówią to samo: że Sopię zaprosiła ich, żeby obejrzeliby jej numer, ehem, „gimnastyczny”... No i cóż, to są nastoletni chłopcy, droga pani. Raczej nie mieli nic przeciwko.

— Nie wiem, co panu powieźć, Alan, naprawdę. Co ja mam z nią zrobić, na litość boską? Nie mam pojęcia, dlaczego ona robi takie rzeczy. — Co nie do końca było prawdą. Miałam parę teorii na ten temat, popartych dość niesprawdzalnymi dowodami.

— Proszę posłuchać — powiedział pan Barker. — Ja nie sugeruję, żeby pani cokolwiek robiła, szczerze mówiąc. Nie zawiesimy jej za to. Nawet nie zamierzamy jej dyscyplinować. Ostatecznie to tylko grupka dwunasto- i trzynastoletnich dzieci. Chciałem tylko, żeby pani o tym wiedziała. I może, jeśli nadarzy się okazja, będzie pani mogła porozmawiać z nią, na jakie niebezpieczeństwo się naraża, jeśli nie przestanie inicjować takich głupich zabaw.

Ulżyło mi. Przynajmniej jeden stres z głowy.

— Oczywiście, że z nią porozmawiam — zapewniłam go. — I dzięki, że jest pan tak wyrozumiały.

— Nie ma za co — odparł. — Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że ma pani z nią niezłe urwanie głowy.

Święta prawda, pomyślałam. Święta prawda.

Byłam przebiegła. Oczywiście nie zamierzałam tak zostawić tej sprawy, ale postanowiłam poczekać do wieczora, kiedy Sopię łyknie już ostatnią porcję leków. Dzięki temu, kombinowałam,

jeśli będą jakieś reperkusje, to przynajmniej nie będzie to przełom nadnerczowy. A tymczasem, gotując obiad, jedząc obiad, zmywając po obiedzie, trzymałam się swojej decyzji. Choć zapisałam wszystko w dzienniku i wspomniałam Mike'owi, że trochę „wyglupiała się” w szkole, postanowiłam, że podam mu szczegóły, tylko jeśli będę musiała. Nie było sensu, żebyśmy oboje się stresowali. Zamiast tego sama nadwyręzałam sobie umysł, próbując zrozumieć coś, czego nie dało się zrozumieć, i w końcu osiągnęłam tę samą konkluzję, co zwykle: Sophia miała najróżniejsze problemy psychologiczne, do tego dochodziła jej choroba, więc próby doszukania się logiki w jej czynach były skazane na porażkę. Dawkowanie jej leków było jak balansowanie na linie, choroba wypaczyła jej osobowość, niemal z pewnością była ofiarą bardzo nieodpowiedzialnego podejścia rodzicielskiego, miała problemy z przywiązywaniem się i — jak podpowiadał mi instynkt — niemal na pewno była molestowana. Jak, do diabła, miała się w tym wszystkim odnaleźć?

Wspomniałam o incydencie na boisku, kiedy byliśmy razem w kuchni. Parzyłam kawę. Sophia była już w piżamie i wszyscy powoli wyciszyliśmy się przed snem. Mike i ja mieliśmy sobie pooglądać jakiś ogłupiacz w telewizji, Sophia wybierała się już spać.

Ale to wyciszenie nie miało potrwać długo — nagle zrobiło się bardzo głośno.

— Co takiego? — pisnęła oburzona. — To bezczelne kłamstwo!

W tej chwili Mike wrócił do kuchni z salonu.

— Sophio — zaczęłam. — Ja wiem, co zrobiłaś. Nauczycielka cię widziała. Przecież...

— Ja nic nie zrobiłam! — wrzeszczała. — Nic, kurwa, okej?!

— Sophio — rzucił ostro Mike. — Dość!

Obróciła się na pięcie.

— Ty też się możesz zamknąć! — powiedziała z coraz czerwieńszą, coraz bardziej wykrzywioną twarzą. — Jesteś tylko gównem na mojej podeszwie! Ty żałosna podróbko faceta!

To był taki szok — zarówno słowa, jak i sposób, w jaki wyrzuciła je z siebie — że oboje na chwilę zapomnieliśmy języka w gębie.

Ale ja nie zamierzałam znosić tego jeszcze raz.

— Sophia! — huknęłam, w nadziei, że zwyczajnie ją zakrzyczę. — Nie będziemy tego przerabiać od początku, słyszysz mnie? Nie będziemy dzisiaj wysłuchiwać twojego plugawego języka! Idź do pokoju i kładź się spać!

Spojrzałam na Mike'a, którego twarz skamieniała w wyrazie osłupienia. Oczywiście słyszał już od niej niejedną docinek, ale ten kompletnie go zaskoczył. Niemal spodziewałam się, że zaraz spyta: „Co ja ci zrobiłem?” Ale nie spytał. Nie był w stanie. Dosłownie go ogłuszyło.

Ale mnie nie.

— Ruchy! — krzyknęłam na nią znów.

I ruszyła się, ku mojej niezmiernej uldze. Szła po schodach, tupiąc wściekle i wykrzykując wszystkie obelgi, jakie przysły jej do głowy, ale tym razem przynajmniej do niej dotarło. Przynajmniej sobie poszła.

— Dobrze się czujesz, kochanie? — spytałam Mike'a.

— Kurwa, o co jej chodziło?

O mało nie skarciłam go za przeklinanie, ale dotarło do mnie, że przecież nikt tego nie słyszy, więc co mi to przeszkadzało? Wzruszyłam ramionami.

— A o co jej zwykle chodzi, skarbie?

— Ale dlaczego ja? Skąd tyle jadu? Co ja jej zrobiłem? Dlaczego ja?

Tego wieczoru już nawet nie pisnęła. Huragan minął. Tornado ucichło. Lecz Mike przez cały wieczór kręcił głową i powtarzał: „Dlaczego ja?”

Tym sposobem mój pozytywny nastrój nie dotrwał do wtorkowego ranka. Choć ten wybuch nie był tak gwałtowny jak poprzednie, po tym wściekłym ataku na swoją osobę Mike zaczął się martwić o moje bezpieczeństwo. Przez co z kolei i ja zaczęłam mieć lekkiego stracha. Bo miał trochę racji.

— Słuchaj, kochanie — powiedział, przynosząc mi kawę do łóżka. — Chcesz, żebym ją za ciebie obudził, zanim wyjdę do pracy? Kieron już nie ma — ustaliliśmy, że Kieronowi nie

powiemy ani słowa — więc, no wiesz, może wybadam grunt?

Spojrzałam na zegarek. Była dopiero siódma.

— Nie, nie martw się, kochanie — odparłam, kręcąc głową. — Idź do pracy. Dam jej pospać dziesięć minut dłużej, więc jeśli będzie w złym nastroju, będę musiała to znosić tylko przez dwadzieścia minut, zanim wyjdzie.

To było niesamowite, dumalam, całując go na pożegnanie, w jaki sposób zaczęliśmy oswajać tak niewiarygodne i nieprzewidywalne zachowanie. Ale przecież to było normalne, taka była ludzka natura. Agresję i język, jakie moim dzieciom nie uszłyby na sucho, zaczęliśmy nazywać „złym nastrojem”, „humorami”, „fochami”. A kiedy miała atak, kiedy wpadała w ten swój trans z mówieniem do siebie, to było „dziwne”, „trochę nienormalne” albo „niesamowite”.

Ale powtarzałam sobie, że pomoc jest już w drodze. Niedługo mamy wizytę w szpitalu. A na razie — cóż, jakie mieliśmy inne wyjście? Musieliśmy z tym żyć.

Dałam jej obiecaną ekstra pięć minut i zesłam do kuchni na drugą kawę. Bob, który na szczęście nie wykazywał żadnych trwałych skutków swoich ciężkich przeżyć, strasznie chciał już wyjść do ogrodu, więc otworzyłam mu drzwi, a kiedy miałam to z głowy, była już pora wołać Sopię na śniadanie.

— Sophia?! — krzyknęłam w górę schodów. — Pora wstawać!

Żadnej odpowiedzi. Zawołałam jeszcze raz. I znów cisza. Powlokłam się na piętro.

— Sophia!

Teraz dostałam odpowiedź.

— Odpieprz się!

O Boże, pomyślałam. Znowu to samo. Otworzyłam drzwi i zajrzałam do pokoju.

— No chodź. Nie jestem w nastroju na twoje gierki ani twoje przekleństwa. Więc proszę cię, wstawaj. No już. Ja nie żartuję!

I wyglądało na to, że tego ranka ona też nie żartowała.

W jednej sekundzie zrzuciła z siebie kołdrę i zerwała się, klękając na łóżku. Zaczęła szczeleć — wydawać z siebie straszne, przerażające dźwięki — a potem porwała misia i cisnęła nim w twarz. Może i nie był to najgroźniejszy pocisk świata, ale zaskoczył mnie, no i został rzucony ze sporą siłą. Trudno było o coś bardziej prowokującego do odwetu. Ale coś mi powiedziało, że może tu zadziałać inna taktyka. Więc zamiast znów na nią nawrzeszczeć, odrzuciłam głowę do tyłu i roześmiałam się na całe gardło. Miałam nadzieję, że to ją zdezorientuje i również każe zmienić jej taktykę.

— O rany — powiedziała wesoło, podnosząc nieszczęsnego misia. — Teraz biedny miś będzie musiał pójść do doktora. Ale dość tego — dokończyłam. — Ciach, ciach. Pora się szykować. Pięć minut! I nie każ mi tu wracać...

Bardzo spokojnie wyszłam za drzwi i zesłam na dół.

Ale byłam wstrząśnięta. Głęboko wstrząśnięta. Sophia wyglądała jak osaczone zwierzę, gotowe do ataku. Niemal toczyła pianę z ust. I znów przyszło mi na myśl słowo „oswajanie”. W tym nie było nic ludzkiego. Czułam, że stoimy na skraju przepaści. Jej zachowania stawały się coraz bardziej nieprzewidywalne. Wyszłam na dwór i zapaliłam papierosa, po czym wróciłam do kuchni, nasypałam płatków do miski i jeszcze raz zawołałam ją na dół.

— Pierdol się, suko! — usłyszałam w odpowiedzi. Boże święty.

Znów pobiegłam na górę. Musiałam przejąć kontrolę nad sytuacją.

— W tej chwili wylaż z łóżka! — krzyknęłam, wmaszerowując do pokoju. — Wstawaj i ubieraj się albo sama cię ubiorę!

Roześmiała się obłąkańczo.

— Ty głupia pieprzona mała pierdolona kurwo! Myślałam, że ostatnim razem już ci dałam nauczkę!

Ona ma trzynaście lat, powtarzałam sobie. Ona ma tylko trzynaście lat. To jest dziecko. Podeszłam do łóżka i stanęłam nad nią. Ale zanim zdążyłam się odezwać, zanim w ogóle wymyśliłam, co powiedzieć, uderzyła mnie pięścią w skroń. I to mocno. Próbowałam chwycić ją za rękę, ale ona, wciąż klęcząc, rzuciła się na mnie i zaatakowała na całego — tłukła mnie pięściami,

ciągnęła za włosy, gryzła i waliła głową, i szybko zdałam sobie sprawę, że ograniczenie się wyłącznie do samoobrony nic mi nie da. W ogóle nie byłam w stanie się obronić. Nie byłam w stanie logicznie myśleć; wiedziałam tylko, że muszę ją unieruchomić. Ale jak?

Uczono nas, jak radzić sobie w najróżniejszych sytuacjach, kiedy dzieci uciekają się do przemocy, ale teraz przyszło mi do głowy coś, czego uczył mnie w dzieciństwie mój tata. Za młodu był bokserem i nauczył wszystkie swoje dzieci, że broniąc się przed kimś, trzeba patrzeć mu w oczy, bo w oczach jest wszystko.

— Obserwujcie oczy przeciwnika — mawiał — bo wtedy będziecie wiedzieli, skąd padnie kolejny cios.

Co za bzdura, pomyślałam teraz. Ja nawet nie widziałam jej oczu. Ciosy padały gęsto i szybko i widziałam przed sobą tylko zamazany kłęb włosów i kończyn, ale przypomniało mi się jeszcze coś, co mówił ojciec. Chwycić i skrzyżować ręce. Musiałam chwycić ją za ręce i skrzyżować je. Byłam o wiele mniejsza, więc musiałam użyć impetu całego ciała, jeśli w ogóle miałam mieć szansę na pokonanie jej.

I udało mi się. Złapałam ją za nadgarstki i szybko szarpnęłam je na boki, na krzyż, jednocześnie przygniatając ją całym ciężarem. Padłyśmy na łóżko; leżałam na niej w tak niezręcznej pozycji, że chyba bardziej się nie dało, podrzucana w górę i w dół przez jej szamoczące się wściekle ciało.

— Złaż ze mnie, ty jebana kurwo! — wrzasnęła.

A ja mogłam tylko wrzeszczeć na nią w odpowiedzi.

— Mam zejść? Nie jestem jakąś głupią dziunią, którą możesz pomiatać, słyszysz? Niby co mi możesz zrobić? Co?

— Kurwa, dziwka, sucz! — pluła mi w twarz, wijąc się.

— Puszczę cię, jak się zamkniesz! — odwrzasnęłam.

Nagle usłyszałam jakieś zamieszanie na dole; obie umilkłyśmy, osłupiałe.

— Pani Watson? — Mężczyzna wołał tak głośno przez szparę na listy, że wyraźnie usłyszałam swoje nazwisko. — Tu policja! Wszystko w porządku?

Och, Bogu dzięki, pomyślałam. Widocznie sąsiad usłyszał hałas i wezwał patrol! Zerwałam się z Sophii. Teraz byłam bezpieczna, nawet gdyby za mną pogoniła. I owszem, zdołała mnie jeszcze kopnąć, dość mocno. Pognałam na schody i o mało się z nich nie stoczyłam, tak spieszyło mi się do drzwi.

— Dzięki Bogu, że się zjawiliście! — powiedziałam, otwierając szarpnięciem drzwi, za którymi stali dwaj rośli policjanci. — Całe szczęście, że ktoś was wezwał!

Młodszy z dwójki wszedł do środka, kręcąc głową.

— Nikt nas nie wezwał. To rutynowa wizyta po otrzymaniu raportu z incydentu. Ale zdaje się, że pani ma tu incydent w tej chwili!

Kiwnęłam głową i wyjaśniłam, co się dzieje, zdumiona i zachwycona tym szczęśliwym przypadkiem. W międzyczasie usiłowałam przyglądać potargane włosy, a gdy przeciągnęłam dłonią po twarzy, poczułam pieczenie zadrapania. Kiedy policjant przedstawił siebie i kolegę — posterunkowy Jamieson i posterunkowy Turner — nagle, ni z tego, ni z owego, wybuchnęłam płaczem.

Posterunkowy Turner ruszył w stronę schodów, a posterunkowy Jamieson, ten wyższy, zaprowadził mnie do salonu.

— Pani Watson — rzekł spokojnie, wyciągając mały, czarny notes — jest jasne, że została pani pobita. Ma pani prawo wnieść skargę. Chce pani to zrobić?

Pokręciłam głową, pociągając nosem.

— Nie, skąd. Widzi pan, ona jest chora. Cierpi na przewlekłą chorobę i ma problemy psychologiczne... Ale już się tym zajęliśmy... Ona...

Ale urwałam w pół zdania, słysząc głos dobiegający z przedpokoju.

— Dzień dobry, chłopcy! — Była to Sophia, która zeszała w pizamie do połowy schodów. — O, widzę, że ta wiedźma pierwsza do was dotarła. — Zrobiła do mnie minę. — Oj, buhuu! Biedna Casey płacze? — Tyle że wymówiła to „płacz” i wykrzywiła twarz w teatralny, smętny

grymas.

Potem zwróciła się do dwóch policjantów. Posterunkowy Jamieson wstał z kanapy.

— Ja pieprzę — stwierdziła. — Widzę, że gliniarze robią się coraz młodszy!

Posterunkowy Turner huknął tak głośno, że o mało nie wystrzelił z kanapy:

— Zamknij się, dziewczyno, i zjedź tu w tej chwili!

— To nie ja — powiedziała. — To ona! — Wycelowała palec w moim kierunku. — To ona przyszła na górę i napadła mnie w moim pieprzonym łóżku!

Posterunkowy Turner wbiegł po schodach, a kiedy ją dopadł, zręcznie wykręcił jej rękę za plecami. Po czym poprowadził ją z powrotem na górę. U szczytu schodów zwrócił się do mnie:

— Pani Watson, Sophia ubierze się teraz do szkoły, ale gdyby nie chciała, rozumiem, że mam pani pozwolenie na to, żeby zawieźć ją tam w piżamie? I nie myśl, że tego nie zrobię — warknął do niej. — Przeparaduję z tobą przez całe boisko, jeśli będę musiał. Zrozumiałaś?

Ogłuszona tak dziwnym obrotem sprawy zdołałam tylko kiwnąć mu głową. Ale nagle coś mi się przypomniało.

— Tylko niech najpierw łyknie swoje tabletki.

Dziesięć minut później, ubrana i z pigułkami w żołądku, Sophia pojechała radiowozem do szkoły.

Rozdział 24

Kiedy wreszcie zostałam sama w domu, znów wybuchnęłam płaczem. Byłam tym wszystkim koszmarnie zmęczona, a sprawę pogarszał jeszcze fakt, że nie wiedziałam, jak sprawić, żeby było lepiej. Spojrzałam na jaskrawe zadrapanie biegnące w dół po moim lewym policzku i nowe łzy popłynęły mi z oczu. Wiedziałam, że jutro do tej szramy dołączą równie wyraźne sińce. Czułam się do niczego — kompletnie do niczego. Niegodna swojej posady. Jak to możliwe, że trzynastolatka doprowadziła do czegoś takiego?

Zaczęłam chodzić w tę i z powrotem, by się uspokoić. Wiedziałam, że policjanci wrócą niedługo, by spisać zeznanie, po które w ogóle do mnie przyjechali. Nie chciałam, żeby zobaczyli mnie w takim proszku. Nie czułam się też jeszcze na siłach dzwonić do Johna Fulshawa. Byłam pewna, że się załamie i zacznę wyć do słuchawki. W tej chwili nie byłam w stanie nawet spisać dokładnej, beznamiętnej relacji w dzienniku.

Wyszłam do ogrodu z papierosami, ale zamiast się uspokoić, tylko wściekłam się na siebie. Byłam za słaba nawet na to, żeby rzucić palenie! Obiecałam Mike'owi, że ograniczę, i ostatnio już tak dobrze mi szło — dzielnie żułam obrzydliwą nikotynową gumę i naprawdę nie ustawałam w wysiłkach. Ale przy pierwszym lepszym stresie po co sięgałam? Po fajki. Byłam beznadziejna. Beznadziejna.

Ale mijały minuty, świeciło słoneczko i czułam, że jestem coraz spokojniejsza. Zaczęłam spokojnie analizować poranne wydarzenia. Racjonalnie rzecz biorąc, wiedziałam, że nie mogłam rozegrać tego inaczej. Kiedy Sophia chciała walki, to musiała do niej doprowadzić, i tyle. Nawet John Lennon i Yoko Ono nie zdołaliby jej spacyfikować. Ale drżałam na wspomnienie spojrzenia, które posłała mi, wychodząc do szkoły. Gdyby spojrzenia mogły zabijać... wreszcie zrozumiałam, co znaczy to powiedzenie. Sophia odplynęła, odplynęła na całego i to ja byłam przedmiotem jej nienawiści. Nie dało się uciec od tego faktu.

— Na pewno nic ci nie jest, Casey? Na pewno?

Minęła godzina; policjanci przyszedli i poszli, a ja wreszcie poczułam się na siłach zadzwonić do Johna i zdać mu sprawę.

— Teraz już jest dobrze — powiedziałam. — Ciągle jeszcze się trochę trzęsę, ale przeżyję. Nie pierwszy raz szamotałam się z nastolatkiem. — Tak naprawdę był to pierwszy raz, kiedy robiłam to sama we własnym domu, nie czując za plecami wsparcia całej szkoły. Ale nie było sensu tego mówić. Czułam się przez to tylko jeszcze bardziej niekompetentna.

John westchnął.

— Posłuchaj, Casey — powiedział. — Wiem, że złe wiadomości to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebujesz, ale niestety nie mam żadnych dobrych.

— Mów — odparłam. — Po dzisiejszym ranku chyba już nic mnie nie zdenerwuje.

— Okej... Dziś rano o dziewiątej odłączono Grace od aparatury podtrzymującej życie. Zmarła o dziewiątej dwadzieścia.

— Jasna cholera! Kiedy to zostało uzgodnione? Myślałam, że poczekają, aż Sophia się z nią pożegna.

— Ja też tak myślałam. Ale z tego co wiem, babcia kazała to zrobić. Byli przy tym tylko ona i dziadek. Wujek jest wściekły.

— Boże, John. I niby jak ja to powiem Sophii?

— Nie powiesz. W każdym razie nie dzisiaj. Najpierw dowiem się, kiedy i gdzie zaplanowano pogrzeb. Biorąc pod uwagę to, co się działo dziś rano, chyba powinniśmy poczekać ze dwa dni. I słuchaj, na pewno nie chcesz, żebym przyszedł, czy coś?

— Nie, John — odparłam. — W tej chwili chcę tylko jednego: usłyszeć, że poczyniłeś jakieś postępy w załatwianiu pomocy dla Sophii. My po prostu już sobie nie radzimy.

— Są postępy, przyrzekam ci. Mamy obiecaną naradę z Panelem, jak tylko Sophia zostanie zbadana przez psychiatrę. Oni wiedzą, że to jest pilne, Casey. Dałem im to bardzo jasno do zrozumienia.

Ulżyło mi trochę, kiedy to usłyszałam. Ciało w obrębie opieki społecznej, zwane Panelem, to zespół specjalistów, którego głównym zadaniem jest decydowanie, jakiego rodzaju opieki zastępczej potrzebuje dziecko, a przede wszystkim ile funduszy zostanie przeznaczonych na ten cel. Spotkanie z Panelem, na którym na nowo zostaną oszacowane o wiele bardziej złożone potrzeby Sophii, oznaczało, że wreszcie coś zostanie zrobione — to był koniec wiecznego spychania sprawy na później. Łatwo się mówiło „robimy to”, „robimy tamto”, „niedługo to załatwimy”, ale — pomyślałam, ostrożnie dotykając strupa na policzku — w prawdziwym świecie „pilne” oznaczało „teraz”.

Jak tylko pożegnałam się z Johnem, zadzwoniłam do Riley. Nie żeby opowiedzieć jej o swoim poranku — postanowiłam jej tym nie obciążać — ale by spytać, czy nie ma ochoty przyjechać z Levim do miasta na wspólny lunch i małe babskie zakupy. Levi miał już za sobą najgorszy okres ospy; był całkiem zadowolony z życia, nawet jeśli jeszcze pokryty garścią strupków. Miło byłoby go zobaczyć i bardzo potrzebowałam być uściskana przez córkę.

Myśl o Grace, która teraz była już naprawdę martwa, mocno mi ciążyła. Czy to będzie kropla, która przepelni czarę nieszczęścia i ostatecznie złamie Sophię? Wiedziałam doskonale, że dzięki temu będzie mogła należycie oplakać matkę i ruszyć dalej, ale spróbowałam postawić się w jej sytuacji i było to koszmarnie doświadczenie. Już i tak była niestabilna, pełna gniewu, bólu, a ja — choć było to pewnie egoistyczne z mojej strony — zgrzytałam zębami na myśl, że znów będzie próbowała samobójstwa pod moim dachem. Owszem, przysięgałam, że jej pomogę, ale to było takie trudne. Jedna sprawa tłumaczyć sobie racjonalnie, że ta dzika przemoc to nie jej wina, a inna sprawa akceptować tę przemoc, kiedy jest skierowana wprost w ciebie.

Ale wiedziałam, że Riley i Levi będą antidotum na moje smutki, i się nie myliłam. Po uroczym lunchu i zakupie kolejnej torebki poczułam, że wraca mi siła ducha. A torebka była plażowa, bo w czasie wypadu z Riley przysięgałam sobie jeszcze jedno: wakacje. Że polecimy w jakieś odległe, słoneczne miejsce, daleko od tego wszystkiego, jak tylko pozwolą na to okoliczności. A tymczasem zbliżyła się pora powrotu Sophii ze szkoły, więc musiałam wracać do domu i brać się do podwieczorku.

Ale to Kieron pierwszy zjawił się w domu.

— Nie zgadniesz! — powiedział niemal w tej samej sekundzie, kiedy wszedł za próg. — Zostałem zaproszony na wakacje przez Lauren i jej rodziców! Do Kornwalii! Supersprawa, nie sądzisz?

Uśmiechnęłam się, wiedząc, że mój dwudziestoletni syn tak naprawdę właśnie poprosił mnie o pozwolenie — chciał mojej aprobaty. Nie cierpiał podejmować decyzji i stresowały go zmiany, więc potrzebował, żebym mu powiedziała, że to dobry pomysł, bo bez tego nie miał dość pewności siebie, żeby jechać.

— Fantastycznie! — rzuciłam z entuzjazmem. — Będziesz zachwycony Kornwalią! I dobrze ci zrobi, jak wyrwiesz się na trochę z tego wariatkowa.

— Szczerze mówiąc — powiedział — tak à propos... Chyba poproszę Riley, żeby zajęła się Bobem. Nie masz nic przeciwko? Wiem, że będziesz za nim tęsknić, mammo, ale nie zniósłbym, gdyby... no wiesz. Po prostu będę spokojniejszy, wiedząc, że jest u Riley.

Skinęłam głową.

— Oczywiście, skarbie. Doskonale cię rozumiem. I jestem pewna, że Riley chętnie go przechowa.

— A poza tym ty masz wystarczająco dużo kłopotów, co? — dodał z żalem.

— Ano mam — przyznałam i podałam mu tę samą ocenioną wersję relacji z dzisiejszego poranka, jaką sprzedałam jego siostrze.

— No więc — zaczął zdecydowanie — wiem, że nie powinienem tego mówić, ale serio, mammo, ucieszę się, kiedy ona zniknie.

Wiedziałam, że Sophia nie mogła tego słyszeć, bo zjawiła się w domu dobrych pięć minut później. Ale kiedy weszła, zachowywała się niemal tak, jakby usłyszała — z miejsca zauważyłam jej chmurną twarz.

— Proszę, oddaję! — rzuciła jadłowicie, wyjmując pudełko z lunchem z torby i ciskając je przez blat. — Nie zjadłam ani kęsa tego twojego gówna!

Nic mnie już ostatnio nie zaskakiwało, więc i teraz się nie dziwiłam. Nawet kiedy spopielila wzrokiem frytki, które właśnie kroilaam.

— I tego gówna też nie tknę!

— Sophia, przestań już — odezwałam się bardziej ze smutkiem niż ze złością. — Wiesz co, zaczynam być tym naprawdę zmęczona.

— To się przyzwyczajaj — warknęła. — Bo ogłaszam strajk głodowy.

Poczułam jeszcze większy ciężar w sercu. Czy jej manipulacjom nie było końca?

— Nie wygłupiaj się — powiedziałam, zdejmując wieczko z pudełka na lunch; rzeczywiście nie zjadła nic. Metodycznie wyjęłam zawartość i wyrzuciłam do kosza. Strajk głodowy. Cudownie. Jeszcze tego było mi potrzeba. I niby co ja miałam teraz zrobić? Związać ją i karmić siłą? — Sophio — powtórzyłam. — Nie bądź niemądra. Przecież wiesz, że musisz jeść, bo zaburzysz sobie metabolizm...

Ale ona wyszła już wściekłym krokiem z kuchni.

Wzięłam długi, powolny, głęboki oddech i skończyłam kroić frytki. Przynajmniej Mike się z nich ucieszy, pomyślałam cierpko, płuczac je nad zlewem. Mięśny placek, frytki i purée z groszku z mnóstwem sosu, jego ulubiony obiad. Do rozwiązania tylko małuiki problem z trzynastolatką, która ogłosiła strajk głodowy, i wszyscy będziemy mogli się rozkoszować miłym rodzinnym wieczorem.

Stwierdziłam, że muszę znów zadzwonić po lekarza domowego. Uzyskać jakąś poradę, co mam robić. I chociaż doktor Shackleton nie odkrył żadnej Ameryki — radził zostawić w jej pokoju jakąś kuszącą słońą przekąskę i zaufać, że głód w końcu zrobi swoje — poczułam się lepiej po rozmowie z nim. Zapewnił mnie też, że chętnie wpadnie, jeśli będzie potrzebny, więc czułam przynajmniej, że mam profesjonalne wsparcie.

— Ale co z jej lekami? — spytał Kieron, kiedy już się rozłączyłam. — Jak ją zmusisz, żeby je łyknęła?

— Nie mam pojęcia — odparłam mu szczerze. — Zajmę się tym, jak przyjdzie pora.

— Możesz też zadzwonić do agencji — stwierdził. — Po prostu powiedz im, że masz dość. Każ im po nią przyjechać.

Uśmiechnęłam się blado, słysząc to „proste” rozwiązanie Kierona. Miał trochę racji. To naprawdę było takie proste. I Bóg mi świadkiem, nikt nie miałby mi tego za złe. Opieka zastępcza miała być pracą, zawodem. Nie karą za grzechy.

Ale każda komórka we mnie buntowała się przeciwko temu, by się poddać. Rezygnacja z Sophii kłóciłaby się ze wszystkim, czego się podjęłam. Nieważne, jak pełna nienawiści, okrutna, jak okropna była dla mnie — ja nie mogłam z niej zrezygnować. Ona nic nie mogła na to poradzić. Musiałam przez cały czas mieć to w pamięci. Była chora. Wołała o pomoc. Nic nie mogła na to poradzić. Wiedziałam też, że tylko ja — razem z Mikiem i moimi biednymi, nękanymi dziećmi — stałam między nią a zakładem zamkniętym dla nieletnich. Z jej historią i chorobą nie było mowy o domu dziecka. Nie, Sophia trafiłaby prosto pod klucz. A wiedziałam, że to byłby dla niej początek końca. Wystarczyło spojrzeć na statystyki, by wiedzieć, jak straszny byłby najbardziej prawdopodobny rezultat, gdyby to się stało. Dzieciaki z takich miejsc niemal nigdy nie wracały do normalnego życia.

Jako że Sophia po swoim oświadczeniu na dobre wyniosła się z salonu, postanowiłam, że sama zaniosę jej talerz, kiedy nałożyłam już obiad. Kłóciło się to z moimi zasadami dotyczącymi jądania przy stole, ale liczyłam na to, że zapach mięsnego sosu trochę ją zmiękczy, a nie widząc nas, siedzących w jadalni, może się złamie. Wprowadziłam już w sytuację Mike’a, który westchnął i wzruszył ramionami, jakby pytał do wtóru Kieronowi: „Dlaczego ciągle się z nią męczymy?”

Kiedy weszłam, Sophia uniosła głowę. I znów wyraz jej twarzy był brutalnie wrogi, i znów musiałam powtórzyć sobie w duchu: Ona nic na to nie może poradzić. Potrzebuje cię.

— Nie rozumiesz, co? — warknęła. — Ja nie jem. Koniec pieśni.

Kiedy tak stałam z parującym obiadem w garści, olśniło mnie.

— Okej — powiedziałam, stawiając talerz na stoliku i kładąc obok niego sztućce. — To nie jedz. Zostawiam talerz i sama zdecydujesz. Ale powinnaś wiedzieć, że dzwoniłam już do lekarza i powiedział, że jeśli nie będziesz jadła i zażywała sterydów, z całą pewnością zafundujesz sobie pełnoobjawowy przełom nadnerczowy. A kiedy to się stanie, będę musiała działać. Natychmiast zadzwonię po karetkę, która zawiezie cię do szpitala, gdzie będziesz karmiona i faszzerowana lekami dożylnie tak długo, jak będzie trzeba. Więc to wszystko jest bezcelowe. Tak dla twojej informacji.

Ale ona nie była tym zainteresowana.

— Dobra — odparła spokojnie. — Rób co chcesz. Mnie jest wszystko jedno. Po prostu zrobię to jeszcze raz. Ciało bez hormonów stresu nie wytrzyma zbyt wiele. W końcu mi się uda i umrę. — Odwróciła się z powrotem do telewizora. — Koniec rozmowy.

Przez sekundę czy dwie stałam tylko i gapiłam się na nią. Jak można zareagować na coś takiego? Co można powiedzieć? Żadna podręcznikowa odpowiedź nie wydawała mi się adekwatna. Powinnam podbiec do niej, chwycić ją w objęcia i błagać? Nie mów tak! Nie myśl tak! Co ty wygadujesz? Kochamy cię! Troszczymy się o ciebie! Wszystko będzie dobrze!

Ale jak mogłam to zrobić, skoro nic z tego nie było prawdą? Chciałabym móc powiedzieć, że moje serce otworzyło się na nią w tej chwili. Że w tym momencie poczułam jej ból. Ale to było niemożliwe. Była tak lodowato zimna, tak wyrachowana. Nie wyobrażaj sobie ani przez chwilę, mówiła, że zdołasz mnie powstrzymać. Nie wyobrażaj sobie, że myślę, że naprawdę ci zależy.

Wróciłam do jadalni i zjadłam własny obiad — czy raczej parę kęsów. Mój apetyt zniknął, i nic dziwnego. Kiedy skończyłam, za namową Mike'a jeszcze raz zadzwoniłam do doktora, który obiecał zjawić się u nas w ciągu dwóch godzin. Co mnie trochę uspokoiło. Nawet gdyby nie udało mi się jej nakarmić, wiedziałam, że on skłoni ją przynajmniej do zażycia leków — poda jej siłę, jeśli to będzie konieczne. Kiedy kończyłam rozmowę, Sophia weszła do kuchni i zgarnęła swój nietknięty obiad do kosza.

— Naprawdę sądzisz, że ktoś mnie powstrzyma? — spytała, po czym dumnym krokiem wyszła z kuchni i wróciła do siebie.

Cała nasza trójka — plus Bob — przeniosła się do salonu. Mieliśmy wrażenie, jakbyśmy byli w stanie oblężenia. A Kieron coraz bardziej uparcie obstawał przy swoim.

— Tato — zaczął — powiedziałem mamie, że musi z tego zrezygnować. Nie z opieki zastępczej, tylko z tego. — Kiwnął głową w stronę schodów. — To jest jakiś oblęd. Ona jest obląkana.

Mike przytaknął.

— Wiem, synu. I powiem ci szczerze, Casey, że moim zdaniem, im dłużej ona u nas jest, tym bardziej jej się pogarsza. Ty tak nie myślisz? To chyba nie jest dobrze, kochanie, co?

Pokręciłam głową.

— Nie. Może powinniśmy usiąść z doktorem Shackletonem i pogadać. Obaj macie rację. Nie możemy tak żyć.

— Nie — przyznał stanowczo Mike. — Nie możemy.

Ale okazało się, że nie będziemy musieli. Bo pięć minut później Sophia wróciła do salonu i zdjęła nam z głowy wszystkie decyzje dotyczące jej osoby. Może jednak wysłuchała mojego małego przemówienia sprzed pół godziny. Może dotarło do niej, że odmowa jedzenia nic jej nie da. A może po prostu doszła do wniosku, że ma dość wszystkiego, tak samo jak ja, i postanowiła trochę przyspieszyć sprawę.

Tak czy inaczej, stała przed nami, w drzwiach salonu, z popielatą twarzą i rękami bezwładnie zwisającymi u boków. Byłam tak zahipnotyzowana wyrazem jej twarzy, że przez chwilę w ogóle nie zauważyłam, co się dzieje. To Mike wszczął alarm, zrywając się z kanapy i krzycząc:

— Jezu Chryste, Case! Jezu! O Boże! Dzwon po karetkę! Kieron, znajdź jakieś bandażę! Cokolwiek! Znajdź mi coś!

W tej chwili zauważyłam krew. Całe mnóstwo krwi. Lała się z jej nadgarstków, ściekała po palcach, tworząc dwie rosnące kałuże na wykładzinie.

Kiedy zerwałam się, osłupiała, spojrzała mi w oczy.

— Przepraszam, mamusiu — szepnęła. — Strasznie cię przepraszam.

Rozdział 25

Mike był niesamowity. Kiedy ja stałam ogłuszona, sparaliżowana zgrozą, on porwał krwawiącą Sophię na ręce i ostrożnie ułożył ją na kanapie.

— Karetka, Case — powtórzył. — Zadzwoń po karetkę. — Jego słowa wreszcie do mnie dotarły i ruszyłam do akcji, kiedy on, z niesamowitym wyczuciem i spokojem, uniósł jej ręce, by przyhamować krwawienie. Była śmiertelnie blada, wręcz szara, i chyba traciła przytomność. Bóg jeden wiedział, ile krwi już straciła.

Porwałam słuchawkę z aparatu w przedpokoju i wybrałam 999; Kieron, który wybiegł z salonu, teraz przemknął z powrotem obok mnie, zielonkawy na twarzy. Bałam się, że lada chwila zwymiotuje. Wyglądał, jakby był o włos.

Choć miałam wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, prawdopodobnie minęło ledwie parę minut, zanim podałam dyspozytorowi nasz adres i wróciłam do salonu, znów przerażona widokiem koszmarnych plam krwi, ciemniejących na podłodze.

Kiedy weszłam, Sophia spojrzała na mnie spod ciężkich powiek; jej ciało zaczęło drgać, wstrząsane szlochem.

— Przepraszam, mamusiu — powiedziała znów. — Strasznie przepraszam. Tak mi przykro.

Mike klęczał przy niej i próbował delikatnie owinąć bandażem jej pocięte nadgarstki — znaleziona przez Kierona rolka była żałośnie cienka i krew bez trudu przesiąkała przez opatrunek.

Ja też osunęłam się na kolana przy głowie Sophii i zaczęłam głaskać ją po włosach, mówiąc:

— Ćśś, Sophio, ćśś, skarbie. Wszystko będzie dobrze, nie martw się.

— Przepraszam, mamusiu — powtórzyła. — Przepraszam.

Spojrzałam na Mike'a, który bezradnie wzruszył ramionami. Było jasne, że Sophia majaczy.

— Już dobrze, Sophio — mówiłam. — Ćśś, już dobrze.

— Nazywaj mnie Sophie — powiedziała. — Dlaczego już nie nazywasz mnie Sophie, mamusiu? Jak wtedy, kiedy byłam mała. Proszę cię, nazywaj mnie Sophie. Jestem taka zmęczona. Jestem taka zmęczona...

Łzy płynęły mi po policzkach. Serce pękało mi z bólu. Jakim cudem to sobie zrobiła? Czego użyła, do diabła? Poczułam na ramieniu ciężar ręki Kierona. Uściskał mnie.

— Nie płacz, mamu — szepnął. — Proszę cię, nie płacz. Nie zadręczaj się. To nie jest twoja wina.

Słowa Kierona sprawiły, że rozplakałam się jeszcze mocniej.

Kiedy dziesięć minut później przyjechała karetka, wyjąc syreną, wydawało się, że wszystko — w odróżnieniu od zwolnionego tempa sprzed chwili — zaczęło się dziać z niewiarygodną prędkością. Zanim zdążyłam jako tako dojść do siebie, Sophia była już zbadana, podłączona do kroplówki i leżała na noszach w karetce, a Mike popychał mnie do drzwi i wciskał mi torebkę w drżące dłonie.

— Idź — mówił. — Chce, żebyś jechała z nią karetką. No idź, czekają na ciebie. Kieron i ja pojedziemy za wami samochodem.

Zrobiłam, co mi kazał, na wpół ślepa wdrapałam się po schodkach na tył karetki i przysiadłam na małym, rozkładanym siedzisku, a tymczasem ratownicy układali Sophię wygodniej, przypinali pasami, w kółko sprawdzali jej parametry życiowe — błyskawicznie i sprawnie, aż kuliłam się na swoim małym krzeselku, czując się bezużyteczna.

Sophia z każdą chwilą była mniej przytomna i bardziej senna.

— Jesteś z nami, skarbie? — spytała ratowniczką, młoda kobieta emanująca kompetencją i spokojem. — Jesteś z nami jeszcze, Sophio?

— Jestem Sophie — wymamrotała Sophia. — Sophie... gdzie moja mamusia?

Skąd to się wzięło? Pamiętałam, jak Sophia zaraz po przybyciu do nas ofuknęła Riley za

nazwanie jej Sophie; Boże, miałam wrażenie, że to było wieki temu. Ciekawe, czy ten gniew na ludzi nazywających ją Sophie był jakimś mechanizmem obronnym, mającym związek z jej mamą. Każdy ma własne wersje imion swoich dzieci — prywatne, pieszczotliwe przydomki. Ją widocznie mama nazywała Sophie. Przygryzłam wargę, żeby znów się nie rozpląkać.

— Może pani tu przyjąć? — Zauważyłam, że ratowniczką kiwa na mnie. — Proszę przy niej usiąść. Proszę nie dać jej zasnąć, to ważne.

— Oczywiście. — Wstałam, zatoczyłam się, bo karetka ruszyła, i znalazłam sobie miejsce, gdzie mogłam kucnąć, przy głowie Sophii. Wzięłam ją za rękę. Była taka zimna. — Już dobrze, skarbie, jestem tutaj.

Powieki jej zatrzępotały i poczułam uspokajający uścisk na palcach.

— Nic jej nie będzie, prawda? — szepnęłam do ratowniczkii. W tej chwili syrena znów zawyła.

— Oczywiście! — odparła stanowczo kobieta, przekrzykując hałas. — Sophie, kochanie, wszystko będzie dobrze. Hej, jesteś z nami?

Sophia odpowiedziała kolejnym uściskiem dłoni. Ale kiedy spojrzałam na ratowniczkę, przekonałam się, że wyraz jej twarzy zadawał kłam jej rezolutnej odpowiedzi.

Mike i Kieron, tak jak obiecali, przez całą drogę byli tuż za nami, a kiedy wysiedliśmy z karetki i Sophia została przewieziona na oddział, całą naszą trójkę zaprowadzono do małej poczekalni. Byłam kompletnie wypompowana, jakbym spinała wszystkie mięśnie ciała i teraz nagle je rozluźniła. Nie byłam w stanie stać. Kieron poszedł szukać automatu z kawą, a ja oparłam się o Mike'a, ale nie miałam dość energii, by się do niego choćby odezwać. Oczywiście widziałam w życiu różne rzeczy, ale wiedziałam, że widok tej krwi zostanie ze mną na długo. Mike był nią cały schlapany — zaschła mu nawet, brązowa i lepka, pod paznokciami, więc po kilku minutach siedzenia ze mną, podpierania mnie i obejmowania, kiedy wrócił Kieron, wyszedł poszukać jakiejś łazienki, żeby się umyć.

Twarz Kieroną wciąż była ponura, ale przynajmniej wrócił jej normalny kolor.

— Dobrze się czujesz, mamó? — spytał, podając mi mały, plastikowy kubek z kawą. Czarną, taką jak lubiłam. Była piekielnie gorąca.

Kiwnęłam głową, odbierając od niego kubek i ostrożnie trzymając go za brzeg.

— Nic mi nie będzie, kochanie — odparłam. — Jestem tylko trochę roztrzęsiona. Pewnie wszyscy jesteście.

— Myślisz, że ona umrze? — spytał wprost, jak to zwykle on. Kieron nigdy nie bawił się w eufemizmy.

Automatycznie pokręciłam głową, chociaż wcale tego nie wiedziałam. Kiedy przyjechaliśmy do szpitala, wciąż była przytomna — choć ledwie. Nie bardzo znałam się na kwestiach medycznych, ale czy to nie dobry znak? Byłam pewna, że zachowanie przytomności było kluczowe.

Podobnie jak fakt, że zeszła na dół, kiedy już się pocięła. Może nie była w pełni władz umysłowych, ale jednak zeszła do nas szukać pomocy. Gdyby chciała umrzeć — tak naprawdę — nie zrobiłaby tego. Zostałaby u siebie. Przed oczami stanął mi obraz, potworny obraz. Jak idę do jej pokoju, gotowa znów gniewać się na nią, że nie je i że nie wzięła pigułki z hydrokortyzonem, i znajduję ją martwą na podłodze. Zadrżałam. Jak daleko byliśmy od tego scenariusza? Pół godziny? Gdyby krwawienie nie zostało zatamowane, nie potrzeba by było więcej czasu, zgadza się?

Więc nie chciała umrzeć. Chciała, byśmy pomogli jej żyć. To było jasne jak kryształ. Sophia chciała pomocy. Chciała żyć.

Pokonałam nową falę łez, kiedy nagle dotarło do mnie: przecież ona nawet nie wie jeszcze, że jej mama nie żyje. Ten cios miał dopiero na nią spaść. A może będzie to uwolnienie od bólu? Nie wiedziałam. Nie wiedziałam, co mam myśleć o tym wszystkim — tylko tyle, że przepełniało mnie to taką nawałą emocji, że ledwie się powstrzymywałam, by nie krzyknąć na głos.

Ale nagle mogłam zaprzętnąć uwagę czymś innym — młodym lekarzem, który przyszedł i powiedział nam, że Sophia naprawdę z tego wyjdzie. Że zrobili jej transfuzję i dożylnie podają jej

sterydy, i że na całe szczęście pomogliśmy jej w samą porę. Owszem, będzie słaba, ale nie było powodu, by nie miała całkowicie dojść do siebie.

Przynajmniej fizycznie. Co do jej kondycji psychicznej, najwyraźniej trzeba nad nią intensywnie popracować. Wiem! — chciałam krzyżeć. Powtarzam to od dawna!

Ale milczałam.

— Więc gdybym uzyskał od państwa jakąś historię choroby — powiedział — byłoby to bardzo pomocne. Pani mąż powiedział mi — spojrzał na Mike'a, z którym widocznie już rozmawiał — że czekacie państwo na konsultację psychiatryczną?

Spędziliśmy z lekarzem dyżurnym pół godziny, wyjaśniając wszystkie okoliczności, podając szczegóły na temat jej przeszłości i przekazując opinie doktora Shackletona. Wyjęłam też paczkę z zastrzykiem sterydowym, który przytomnie porwałam, wychodząc z domu.

— Będziecie tego potrzebować? — spytałam. — Pomyślałam, że lepiej to wezmę, na wszelki wypadek... — Ale głos mi się załamał i znów się rozplakałam.

Doktor spojrzał na mnie ze współczuciem.

— Wszystko jest pod kontrolą — oznajmił spokojnie.

Nie byliśmy w stanie spać tej nocy, choć wszyscy byliśmy wykończeni, i kiedy obudziłam się następnego ranka, czułam się jak zombie. A mimo to, jakimś cudem, wokół mnie zaczęło się toczyć normalne życie. Kieron poszedł na uczelnię, Mike do pracy, i nim wybiła ósma, dom, nagle dziwnie pusty, stał się tak nieznośny, że miałam ochotę z niego wyjść.

Więc kiedy chwilę przed dziewiątą zadzwonił John Fulshaw, dźwięk jego głosu ucieszył mnie wręcz niedorzecznie. Oczywiście zamierzałam zadzwonić do niego, jak tylko zaczną się godziny urzędowania, a tymczasem sprzątałam jak maniaczka, usiłując przywrócić w domu jakiś taki ład. Bo w tej chwili bardziej przypominał miejsce zbrodni. Kiedy zadzwonił telefon, szorowałam akurat wykładzinę w salonie — makabryczna robota — więc musiałam zdjąć gumową rękawicę, zanim mogłam podnieść słuchawkę.

— A, więc jesteś! — rzucił wesoło. Tak wesoło, że poczułam wręcz wyrzuty sumienia, że muszę zepsuć mu nastrój.

Zrelacjonowanie wszystkiego zajęło mi piętnaście minut, po których John rzeczywiście nie był już taki wesolutki.

— Przyjedź — powiedział. — Casey, przyjedź do biura. Jeśli i tak jedziesz do szpitala, to nie nadłóżysz za bardzo drogi. Proszę cię, przyjedź i pogadajmy. To nie jest dobry dzień, żeby szamotać się ze wszystkim samotnie.

— No nie wiem, John...

— To może ja mam przyjechać do ciebie? Mogę w tej chwili wskoczyć w samochód, jeśli tak wolisz.

— Nie, nie, to bez sensu. Jak mówisz, i tak jadę do szpitala. Ale najpierw wpadnę do ciebie. To bardziej logiczne, skoro i tak jadę... No to dobrze. Do zobaczenia za jakąś godzinę.

Nie wiem, dlaczego tak wzdragałam się przed spotkaniem z Johnem w biurach agencji. Był kimś o wiele więcej niż naszym prowadzącym i mentorem. Stał się bliskim przyjacielem. Ale nie byłam pewna, czy zdołam mu spojrzeć w oczy. Komukolwiek z nich. Czułam się tak rozdygotana, jakby moje ciało funkcjonowało wyłącznie dzięki adrenalinie. Permanentnie czułam się na granicy załamania i najchętniej schowałabym się w jakąś dziurę i poszła spać.

Oczywiście kiedy tylko dotarłam na miejsce, stało się jasne, dlaczego tak nie chciałam tam jechać. W momencie, kiedy John zerwał się z krzesła i rzucił: „No dobra! To ja parzę kawę!”, rozsypałam się kompletnie. Rozpadłam na kawałki. Wybuchnęłam żarliwym, sfrustrowanym płaczem.

Ale John był wspaniały. Po prostu wyciągnął krzesło i posadził mnie na nim.

— Wyrzuć to z siebie, Case. Ja się zajmę czajnikiem — oznajmił. — A ty pozwól sobie płakać.

I pozwoliłam sobie. Siedziałam i płakałam przez pełne piętnaście minut, trzęsąc się, zachłystując, niepokieszona, bo wydarzenia ostatnich paru godzin — nie wspominając o tygodniach

i miesiącach — wreszcie skumulowały się i wyrwały ze mnie.

— Przepraszam, John — rzuciłam, pociągając nosem, kiedy spazmatyczny szloch ucichł. — Wiedziałam, że jest jakiś powód, dlaczego nie chciałam tu dzisiaj przyjechać. Teraz już wiem, co to było. — Uśmiechnęłam się blado, kiedy podsunął mi na biurku kubek z kawą. Wystygła już, ale nie przeszkadzało mi to. I tak miałam obolałe gardło. — Boże — powiedziałam, odstawiając kubek i wyciągając chusteczkę z pudełka na biurku. — Czuję się jak ostatnia idiotka! Pewnie myślisz, że jestem jakąś beksą! Przyjechałam taki kawał tylko po to, żeby siedzieć tu i ryczeć.

Ale on nie chciał tego słuchać.

— Nie bądź głupia — rzekł. — Dopiero co przeżyłaś straszny szok, Casey! W ogóle straszny okres, powiedzmy sobie szczerze. I teraz, kiedy zaczynam mieć pełny obraz, jestem zdumiony, że wytrzymałaś tak długo. I czuję się odpowiedzialny. Powinnaś była mieć większe wsparcie.

— Robiłeś, co w twojej mocy, John — powiedziałam. — Przecież się starałeś. I to wszystko to nie jest twoja wina. — Wypiłam więcej kawy. — Tak działa ten cholerny system i tyle. I nie wiem, jak ty, ale ja nie mam dzisiaj siły nawet myśleć o tym, co można zrobić w tej sprawie.

— Ale to ma swoją dobrą stronę — zauważył.

— Naprawdę?

— No, w pewnym sensie. Jeśli przyznawanie się do takich myśli nie jest zbyt makabryczne. Z równania zniknęło przynajmniej słowo „wybór”. Nie będzie już czekania na Panel ani OPPDM. Sophia znalazła się tam, gdzie powinna się znaleźć, i to obligatoryjnie.

— Chwilowo...

Uniósł rękę.

— Nie, Casey. Aż do odwołania. I cokolwiek się wydarzy, nie wróci już do was.

— Nie?

Pokręcił głową.

— Teraz, kiedy już jest w systemie opieki zdrowotnej, pozostanie w nim. Po tym wszystkim, co się stało... no cóż, myślenie o opiece zastępczej dla tej dziewczyny w ogóle nie wchodzi w grę. W każdym razie w przewidywalnej przyszłości, więc możesz odetchnąć. Nie musisz się martwić. To już nie jest twoja odpowiedzialność.

Po tych słowach powinnam się poczuć, jakby ktoś zdjął mi z barków ogromny ciężar. Ale się nie poczułam. Tylko na nowo wybuchnęłam płaczem.

John w obliczu kryzysu był oazą spokoju. Kiedy nowa fala łez uniemożliwiła mi mówienie, on po prostu zaparzył mi kolejny kubek kawy. A kiedy uspokoiłam się już wystarczająco, by mu powiedzieć, dlaczego płaczę, pokiwał głową, mówiąc, że rozumie mnie doskonale.

— Po prostu nie mogę tego znieść — wymamrotałam. — Nie podjęłam się tego, żeby zawieść. A czuję, że ją zawiodłam. I że ją porzuciłam, John. Nie mogę znieść myśli, że ona będzie przekonana, że ją porzuciłam. Jak to na nią wpłynie? To wszystko jest nie tak.

— Ty jej nie porzucasz, Casey. Ty ją wspierasz. I zanim zapytasz, rozmawiałem już z odpowiednimi osobami. Sophia zostanie w szpitalu przez kilka dni, dopóki nie podleczą jej ran, a potem, po konsultacji psychiatrycznej, najprawdopodobniej zostanie przeniesiona na specjalistyczny oddział psychiatryczny dla młodzieży, gdzie będzie miała zapewnione leczenie, którego tak bardzo potrzebuje.

Nie miałam zbyt wielkiego doświadczenia z takimi miejscami, choć z czasów, kiedy prowadziłam „oddział” w szkole, pamiętałam pewną dziewczynę — tragiczny przypadek ciężkiej anoreksji — która z tego wyszła. Wyzdrowiała. Wróciła do nas. Wyciągnęłam kolejną chusteczkę i wydmuchałam nos, który pewnie był już fioletowy.

— I uważają, że wyzdrowieje?

— Pewnie za wcześnie, żeby to ocenić. Ale z rozmów, które przeprowadziłem, wynika, że nie jest to nieprawdopodobna prognoza przy odpowiednim wsparciu...

— Ale co jej jest? Czy to w ogóle ma nazwę? To ma coś wspólnego z chorobą Addisona? Chciałabym się lepiej znać na tym wszystkim.

— Casey, nie można znać się na wszystkim.

— Ale to jest choroba psychiczna? Czy coś innego? Schizofrenia? Psychoza? — Rzucałam słowa na oślep i wiedziałam o tym. To prawdopodobnie była bardziej skomplikowana sprawa.

— A ja niby kto jestem? — rzucił John. — Cholerny doktor Kildare?! — Jego mina złagodniała. — Posłuchaj — powiedział w końcu, kiedy dopiłam kawę i stwierdziłam, że muszę się zbierać. — Nie zdręczaj się tym, okej? Jakakolwiek będzie diagnoza, a mam przecucie, że to będzie mieszkanka przeróżnych problemów, zawsze możesz wspierać Sophie. Odwiedzaj ją nawet codziennie, jeśli chcesz. Tylko wyświadczyć mi jedną przysługę, dobrze?

— Jaką?

— Nie obwiniaj się. Nie wmawiaj sobie, że ją zawiodłaś. Nie myśl, że w jakikolwiek sposób zawiniłaś. Ty i Mike jesteście moimi gwiazdami i nie mogę dopuścić, żebyście zwątpili w siebie, okej? A któregoś dnia, i serio, postawiłbym na to pieniądze, sama Sophia też to zrozumie i będzie wam wdzięczna. Okej?

— Okej — odparłam. Nagle poczułam się o wiele lepiej. — Ale wiesz co, John. Może i nie jesteś cholernym doktorem Kildare'em. Ale genialnie czytasz w myślach. David Copperfield do pięt ci nie dorasta.

Wysłałam uśmiechnięta, ale John miał całkowitą rację. Po troszeczkę, przez ostatnie miesiące, traciłam całą swoją wiarę we własne kompetencje. Wsiadłam do samochodu kompletnie wykończona. I choć uznawałam to, co mi powiedział, mimo wszystko nie byłam pewna, czy w ogóle udało mi się zrobić coś dobrego. Wyjęłam komórkę, żeby zadzwonić do Mike'a — chciałam go po prostu usłyszeć — ale w tej chwili uznałam, że muszę porozmawiać z kimś innym. Z kimś, kto w tamtym czasie na całe szczęście nie mieszkał zbyt daleko.

Sprawdziłam godzinę. Było tuż po wpół do pierwszej. Idealnie.

Zadzwoniłam do Justina i odebrał natychmiast.

— Cześć, Casey! — powiedział. — Jak leci?

— Od razu lepiej, kiedy z tobą rozmawiam — odparłam. — Masz ochotę na lunch w McDonalddie?

Głupie pytanie, pomyślałam. A czy papież jest katolikiem?

W niecałe dziesięć minut dojechałam spod biura Johna do miejsca, gdzie Justin mieszkał teraz ze swoją nową rodziną zastępczą, i zjawiłam się w chwili, kiedy akurat wyłonił się zza rogu. Zawsze przychodził do domu na lunch; kiedy już skontaktowałam się i dostałam pozwolenie od jego zastępczej mamy, Glynis, zawiozłam nas oboje do najbliższej McDonaldowni.

Minęło już sporo czasu, od kiedy Justin nas opuścił, i choć dzwoniliśmy do siebie dość regularnie, celowo nie kontaktowałam się z nim przesadnie często, bo było ważne, żeby żył się z nową rodziną.

Ale tak cudownie było go zobaczyć. To było jak lekarstwo.

Wyszczupłał i urósł całkiem sporo, od kiedy widziałam go ostatni raz — miał już trzynaście lat i był o dobrą głowę wyższy ode mnie. Wyglądał dobrze i, co najważniejsze, chyba był szczęśliwy. Z dumą wysłuchałam, że należy do szkolnej drużyny piłkarskiej — bo bardzo staraliśmy się przekonać go do futbolu, ale tego prawdziwego, kopanego, a nie na PlayStation, w który gra się palcami. Rozpromieniłam się też, kiedy mi powiedział, jak bardzo się cieszy, że mnie widzi.

— I wyglądasz całkiem tak samo, Casey! Ani trochę się nie postarzałaś, przysięgam.

— Och, ty pochlebco — zażartowałam. — Ćwiczysz podrywanie dziewczyn?

Z zachwytem słuchałam opowieści o jego małej siostrzyczce — dziecku, które jego mama urodziła, kiedy mieszkał z nami, i którego przyjdzie na świat, po tym, w jak okrutny sposób on sam został porzucony, przysporzyło mu mnóstwo bólu w jego i tak niełatwym życiu. Widział ją niedawno i wyglądała na to, że jest w regularnym kontakcie z rodziną. Modliłam się, żeby tak zostało.

Kiedy podrzuciłam go z powrotem do szkoły i zobaczyłam, że jakiś chłopiec pomachał do niego i podbiegł, żeby wejść razem z nim do budynku, przepełniła mnie nadzieja na przyszłość.

— A właściwie dlaczego chciałaś się spotkać? — spytał Justin, otwierając drzwiczki

samochoду.

Uśmiechnęłam się.

— Tak szczerze? Potrzebowałam, żebyś mnie porządnie uściskał.

Patrzył na mnie przez chwilę, przetwarzając to proste stwierdzenie. A w końcu pochylił się ku mnie i objął mnie silnymi, nastoletnimi ramionami, zupełnie nieskrępowany, choć patrzył na nas jego kolega.

— No to mamy umowę — powiedział, puszcżając mnie i szczerząc się od ucha do ucha. — Ja cię ściskam, a ty mi kupujesz big maca. Wpadnij niedługo znowu!

I poszedł. A ja pomyślałam, że chyba znowu się rozplaczę, ale nagle poczułam przypływ ogromnej siły, który przegnał łzy. Justin był najlepszym dowodem, że jednak potrafię zrobić coś pozytecznego. Z sercem tak lekkim, jakiego nie miałam od miesięcy, zawróciłam na południe i pojechałam odwiedzić Sophię.

Rozdział 26

Kiedy zobaczyłam ją śpiącą w szpitalnym łóżku, wyglądała pięknie. Naprawdę pięknie, jak jej matka. I tak spokojnie. Co za koszmar, nie mogłam nie pomyśleć — znajdować spokój ducha tylko we śnie.

Powiedziano mi, że wciąż dość mętnie pamięta, co sobie zrobiła. Wyjaśniono jej, że musi zostać w szpitalu przez dwa tygodnie, i pogodziła się z tym dość potulnie. Ale pielęgniarka, która mnie przywitała, jednego była pewna: Sophia wie, że jest chora i że potrzebuje pomocy.

Nie chciałam jej budzić, więc usiadłam w pobliżu, na wypadek, gdyby się ocknęła, i powtarzałam sobie w duchu zapewnienia Johna. Nie zawiodłam jej. A nawet jeśli można było tak pomyśleć, to przecież wciąż byłam przy niej, gotowa wspierać ją tak długo, jak będzie potrzebowała. Jeśli tylko będzie chciała, może na mnie liczyć.

— Biedaczka — powiedziała młoda pielęgniarka ściszym głosem, mijając mnie. — Taka młoda i śliczna. Dlaczego oni tego nie widzą, co? Tyle jest przed nimi do przeżycia, a nie widzą tego. — Oderwała wzrok od Sophii i spojrzała na mnie. — Przepraszam, pani jest jej mamą?

Pokręciłam głową.

— Zastępczą mamą.

Wyraz twarzy pielęgniarki zmienił się, kiedy skomplikowana sytuacja Sophii stała się dla niej bardziej zrozumiała. Nietrudno było połączyć fakty. Jeśli dziecko miało zastępczą mamę, to znaczy, że miało problemy w domu. O ile w ogóle miało dom. Jakikolwiek był powód, nie było ze swoją prawdziwą rodziną. Ale nie wypytywała dalej, westchnęła tylko ze zrozumieniem. Ona pewnie też widziała już wiele.

Nie spodziewałam się, że Sophia się obudzi, bo powiedziano mi już, że dostała środek uspokajający. Będzie miała jeszcze dość czasu, rozmyślałam, spojrzeć w twarz ponurej rzeczywistości, kiedy już ucichnie emocjonalna burza po wydarzeniach zeszłego wieczoru i kiedy choroba Addisona znów zostanie wzięta w rzyby przez lekarzy.

Ale kiedy wstałam po jakiejś półgodzinie siedzenia przy niej, uniosła powieki, i kiedy zobaczyła, kto ją odwiedził, posłała mi dziwny, mizerny uśmiech. W tej chwili uderzyło mnie, jak młoda i bezbronna jest tak naprawdę, bez całego tego makijażu, bez tej sztucznej maski.

Położyłam dłoń na jej dłoni.

— Hej — powiedziałam. — Jak się miewasz, skarbie?

Zamrugnęła.

— Hm, właściwie nie wiem — odparła sennym głosem. — Chyba dobrze. — Zastanawiała się przez chwilę. — I jestem głodna.

W tym z całą pewnością mogłam jej pomóc.

— To może pójde poszukać kogoś, kto będzie mógł podać ci jakieś jedzenie, okej?

Skinęła głową.

— Byłoby świetnie.

Podeszłam do pielęgniarki, która rozmawiała ze mną wcześniej; siedziała teraz w dyżurce nieopodal i robiła jakieś notatki.

— Wiem, że minęła już pora lunchu — powiedziałam — ale może udałoby się dostać coś do jedzenia dla Sophii? Oczywiście jeśli jej wolno. Może jakiegoś tosta, czy coś? Z marmitem, jeśli macie. Ona uwielbia słone rzeczy — dodałam. — Przez tę swoją chorobę.

Pielęgniarka skinęła głową.

— A, tak. Na pewno jej wolno. — Zajrzała w dokumenty. — Nie jest na żadnej diecie. A tosta zawsze możemy zrobić — zaoferowała, uśmiechając się do Sophii. Lekko podniosła głos. — Chcesz tosta, skarbie? Oddział ósmy słynie ze swoich tostów.

Nie wątpiłam w to. Był to oddział dla młodych osób, pełen nastolatków. Wilcze apetyty były zapewne na porządku dziennym. W każdym razie u tych zdrowiejących.

— No i już — powiedziałam, wracając do łóżka Sophii. — Załatwione. Ale niestety, chyba cię zostawię z tym tostem. Muszę wracać do domu i brać się do podwieczorku dla Mike'a i Kieron. Mam przyjechać jutro?

— A mogłabyś? — Chyba szczerze się ucieszyła na tę propozycję.

— Oczywiście — potwierdziłam. — To do zobaczenia jutro. O tej samej porze, na tym samym kanale. — Zawahałam się chwilę, nie wiedząc, czy zrobić to, co nagle wydało mi się najbardziej naturalne na świecie. Ale i tak to zrobiłam. Pochyliłam się i ucałowałam ją w czoło. — To do jutra, Sophio — powiedziałam.

— To do jutra — odparła. Ale nagle, kiedy miałam już odejść, chwyciła mnie za rękę. — Sophie — powiedziała. — Pamiętasz? — Oczywiście jej załśniły. — Obiecałaś, że będziesz mnie nazywać Sophie.

Była całkowicie przytomna. Wiedziałam to. Widziałam to. Poczułam ściskanie w gardle.

— Oczywiście — odparłam.

Sophia ostatecznie nie dotarła na pogrzeb swojej matki. Odbył się trzy dni później, ale w świetle wszystkiego, co się stało, zdecydowano się jej nie mówić. Wciąż była słaba i niestabilna emocjonalnie, więc specjaliści uznali, że wyjazd ze szpitala i udział w pogrzebie, szczególnie przy tak napiętych stosunkach rodzinnych, byłby zbyt ryzykowny — mógłby znacznie pogorszyć jej stan psychiczny.

Chyba dopiero wtedy dotarło do mnie na dobre, jak poważnie jest chora i jaką długą drogę do wyzdrowienia ma przed sobą.

— To całe potpourri problemów — opisał mi to doktor Shackleton. Miała kliniczną postać depresji, miewała ostre epizody psychotyczne, a wszystko to, pierwotnie uznawane za symptomatyczne dla łagodnej socjopatii, ostatecznie przypisano ekstremalnej reakcji na stres; nie była to dobra wiadomość, ale też i nie zaskakująca, biorąc pod uwagę traumy, jakie przeżyła i nieustanne poczucie winy z powodu „śmierci” matki.

Ostatecznie, mimo mojego pragnienia zrozumienia, co się dzieje w głowie Sophii, tak naprawdę liczyło się tylko jedno: specjaliści jednogłośnie i optymistycznie twierdzili, że przy odpowiednim leczeniu — lekach psychotropowych, terapii kognitywnej i czymś tam jeszcze — Sophia może dojść do siebie.

Ale tymczasem po dziesięciu dniach w szpitalu, podczas których, zgodnie obietnicą, odwiedzałam ją codziennie, zdecydowano, że najbliższe miesiące spędzi na oddziale psychiatrycznym dla nastolatków, jakąś godzinę jazdy od naszego domu.

— A co z tymi obrazami? — spytał mnie Mike, kiedy pakowaliśmy jej rzeczy. Wziął sobie parę dni wolnego, żeby mnie wesprzeć i byłam mu niezmiernie wdzięczna. Spontaniczne, niezapowiedziane wybuchy płaczu stały się moim nowym hobby, i to było tak nie w moim stylu, że wspomniałam o tym nawet doktorowi Shackletonowi, kiedy wpadłam do jego przychodni, by oddać mu niepotrzebny mi już zestaw do zastrzyku z hydrokortyzonem. Jego odpowiedź była jasna. A czego się spodziewałam? Przypomniał mi, jak to jest, kiedy człowiekowi urodzi się dziecko: emocjonalna zawierucha, niewyspanie, niepokój o przyszłość... Musiałabym nie mieć serca, powiedział mi, żeby nie płakać po tym, co przesłałam.

Spojrzałam na dwa płótna, które Mike unosił w rękach, by mi pokazać — dwa z obrazów od Jean, które Sophia wybrała do powieszenia na ścianach swojego pokoju. Jean przysłała nawet kartkę, która, wiedziałam, bardzo ucieszy Sophie.

— Ten niebieski — zdecydowałam. — Drugi schowaj do pudła.

Byliśmy zaangażowani w cały proces, a że niemal cały ziemski majątek Sophii był w naszym domu, musieliśmy zdecydować za nią — na co zgodziła się z radością — które z jej rzeczy pojedą na oddział, a które trafią na przechowanie na nasz strych.

— Zabawne — powiedział Mike. — Ja bym wybrał wręcz odwrotnie. Ale przecież to w tobie najbardziej kocham, słońce. Zawsze jesteś przekorna...

— Chcesz powiedzieć, tajemnicza i nieprzewidywalna, prawda?

— Nie — odparł z szerokim uśmiechem. — Po prostu przekorna.

Cała rodzina zjawiała się w dniu przeprowadzki Sophii i byłam im za to wdzięczna. Nie tylko dlatego, że przypomniało mi to, jak drodzy są dla mnie moi bliscy, ale i dlatego, że Sophia dostała jasny komunikat, że choć jest praktycznie sama na świecie (gdybyście chciały patrzeć na jej

biologiczną rodzinę), to zawsze może liczyć na klan Watsonów.

Lauren zrobiła dla niej obrazek — kolaż zdjęć z przyjęcia urodzinowego — a Riley dała jej śliczną, ręcznie malowaną kartkę od siebie i Davida, w której były też wykonane plakatówką odciski dłoni i stópki Leviego. A zainspirowany tym Kieron — któremu chyba najbardziej ulżyło, że Sophia już z nami nie mieszka — zrobił coś podobnego z łapami Boba. A fakt, że niebieskie odciski łap na całej podłodze w kuchni nawet mnie nie zirytowały, niech mówi sam za siebie. Tylko uśmiechnęłam się na ich widok.

Sam szpital, kiedy go obejrzelśmy, przepełnił mnie nadzieją i radością. Był mały, położony w uroczym ogrodzie i panowała w nim atmosfera optymizmu. Zupełnie nie przypominał moich wyobrażeń na temat takich przybytków: pozamykane kraty i niewyraźne postacie, zagubione i żałosne.

Nie, myślałam, kiedy wyładowywaliśmy z samochodu przywiezione rzeczy; przynajmniej to nie musiało mi spędzać snu z powiek.

Sophii powiedziano już o matce. Trochę bałam się spotkania z nią, kiedy już się dowiedziałam, ale niepotrzebnie się martwiłam. Była tak zamknięta we własnych problemach, że chyba ledwie to zarejestrowała. Z tego, co mówił John, wiadomość przekazał jej wujek, który odwiedził ją w szpitalu, i oprócz jednego komentarza pod adresem siostry oddziałowej, który brzmiał: „Mamusia wreszcie śpi”, nie okazała żadnych emocji. To jeszcze do niej nie dotarło, pomyślałam. Ale jak mogło, skoro była pod wpływem środków uspokajających i tak bardzo chora?

O ironio, kiedy wyjeżdżaliśmy z domu, zauważyłam w naszym kalendarzu zaznaczoną datę kolejnej wizyty u Grace. Ile wody upłynęło pod naszym mostem od dnia, kiedy to zapisałam? Mnóstwo, i to burzliwe. Ale teraz wszędzie panował spokój — nawet jeśli wywołany chemicznie, jak w przypadku Sophii — i kiedy we dwójkę z Mikiem pomagaliśmy jej układać rzeczy w pokoju, miałam wrażenie, że to nic niezwykłego; ot, pierwszy dzień w internacie nowej szkoły. Tyle że z lepszym pokojem. Był na pierwszym piętrze i miał widok na otaczający zielony krajobraz. Ten szpital spokojnie mógłby udawać wiejski pensjonat.

— To trochę przerażające — przyznała mi się, znów wystraszona i niepewna jak dziewczynka w jej wieku. — Ci wszyscy obcy ludzie, te wszystkie pytania.

— Szybko się przyzwyczaisz — odparłam. — A Mike i ja odwiedzimy cię w przyszły weekend. I założę się, że do tej pory będziesz już miała nowych przyjaciół.

Ściszyła głos.

— Tylko że tu są sami wariaci — stwierdziła. Po czym kompletnie mnie zaskoczyła, dając mi sójkę w bok i wybuchając głośnym, radosnym śmiechem.

— I co myślisz o jej samopoczuciu? — spytałam Mike'a, kiedy wyszliśmy pół godziny później, obiecawszy jej, że wrócimy w przyszłą sobotę. — Wygląda na to, że podchodzi do tego z poczuciem humoru.

— Ciężko stwierdzić — odparł zadumany. — Jest trochę dziwna, trochę jakby nieobecna. Ale pewnie należy się tego spodziewać przy takiej ilości leków.

— Ja myślę, że doskonale się tu odnajdzie — powiedziała, biorąc go pod rękę w drodze na dół. — I to nie są tylko słowa. Ja naprawdę tak myślę.

I myślałam sobie w najlepsze, kiedy zatrzymało nas czyjeś wołanie.

— Państwo Watsonowie? — Był to męski głos. Odwróciliśmy się. — Casey, prawda? — spytał wysoki mężczyzna, stając przed nami. — Jestem James Johnson. Wujek Sophii. Od razu panią poznałem — ciągnął, wskazując swoją głowę. Uśmiechnął się blado, widząc, że nic nie rozumiem. — Sophia mi o państwie opowiadała — wyjaśnił. — I pokazywała zdjęcia z pudełka wspomnień. — Teraz wskazał moją głowę. — Rozpoznałbym panią wszędzie po tych czarnych włosach.

I po mizernym wzroście, dodałam w duchu, ale nie powiedziałam na głos. Przyjrzałam mu się uważniej. Z całą pewnością było widać podobieństwo. Wyglądał na dobrze sytuowanego. I raczej nie pracował fizycznie. Miał drogi garnitur. Przypomniałam sobie, co słyszałam o zamożności rodziny.

Ale był trochę spięty, trochę zażenowany.

— Chciałem tylko podziękować. Wiem, że nie rozmawialiśmy, ale cóż, jesteśmy państwu bardzo wdzięczni.

Zastanowiła mnie ta liczba mnoga. „My”, czyli kto?

— Po prostu wykonywaliśmy swoją pracę — odparł szorstko Mike. Zdaje się, że żadne z nas nie wiedziało, jak go potraktować. Ale on pokręcił głową.

— Nie, zrobiliście państwo o wiele więcej. — Rozłożył ręce. — Posłuchajcie państwo, to wszystko był jakiś koszmar. To w dalszym ciągu jest koszmar. Ale chcę, żebyście państwo wiedzieli, że jesteśmy... że ja jestem ogromnie wdzięczny. Wiecie, jak to wszystko wyglądało. Od a do zet, pewnie więcej niż ja. Ale chciałem powiedzieć, że wszyscy wiemy, że Sophie zawdzięcza wam życie. Ona sama kiedyś to zrozumie, oczywiście, jeśli Bóg zechce... ale po prostu chciałem państwu podziękować. W mojej rodzinie działy się różne rzeczy, to prawda, ale dla mnie to ogromnie ważne, że spuścizną po mojej siostrze nie jest tylko kolejna bezsensowna śmierć.

Żadne z nas nie miało na to odpowiedzi, kiedy umilkł, więc minęło kilka ładnych sekund, zanim cokolwiek wymyśliliśmy. W końcu ja odezwałam się pierwsza.

— Dziękuję — zaczęłam. — Tak jak mówi Mike, opieka nad Sophią to była tylko nasza praca. Ale dziękuję za to, co pan powiedział. Mam nadzieję, że wszystko się wam jakoś ułoży.

— Ja też — odparł. Naprawdę wyglądał na normalnego, miłego człowieka. Może jednak coś z niego będzie. Może dorośnie do zadania, jak to mówią. A może już dorósł. Był tutaj. To było najważniejsze. Przyjął na siebie część odpowiedzialności. I bardzo dobrze. Teraz przyszłość malowała się trochę jaśniej.

— Od a do zet — szepnęłam do Mike'a, kiedy pożegnaliśmy się i ruszyliśmy do samochodu. — To musimy następnym razem powiedzieć Johnowi Fulshawowi. Że nawet nie kiwniemy palcem, dopóki nie dowiemy się wszystkiego od a do zet.

— No to powodzenia — wyszczerzył się, wsiadając do auta.

— Tu jest napisane „kurczak na maśle” — powtórzyłam. — Popatrz, to się po prostu rozmazało!

— Z całą pewnością kurczak masala, mamo. Daj mi to, otworzę, i tyle.

— Proszę bardzo — powiedziałam do Kieron. — Ale zakładam się o funta, że mam rację!

Była kolejna sobota, wieczór, i mieliśmy za sobą wyjątkowo udany dzień. Mike i ja odwiedziliśmy Sophię i spędziliśmy z nią bardzo przyjemną godzinkę na słońcu, a potem poszliśmy do jej pokoju, który wyglądał teraz bardziej domowo. Wzruszyłam się na widok trzech rzeczy na jej nocnej szafce. Zdjęcia nas wszystkich, kartki z życzeniami zdrowia od dziadka, a przede wszystkim ślicznego zdjęcia matki w srebrnej ramce.

Nie wiem dlaczego, ale ta mała kolekcja dała mi nadzieję, że kiedyś wszystko będzie dobrze. A przynajmniej że Sophia ma szansę — nie byłam aż tak naiwna, w życiu nic nie jest pewne — ale miałam przynajmniej pewność, że jeszcze ma o co walczyć.

Kiedy wróciłam do domu, czekała mnie niespodzianka, którą Mike trzymał w tajemnicy przede mną już od paru dni. Z tajemniczą miną uruchomił laptop i drukarkę Kieron, która, po paru kliknięciach myszką, wypuła dwa bilety. W sekrecie wykupił dla nas tydzień na Korfu i wyjeżdżaliśmy za niecałe czterdzieści osiem godzin.

A teraz siedzieliśmy wszyscy razem przy rodzinnej watsonowskiej kolacji na wynos. My troje i Lauren (ona i Kieron rano wyjeżdżali do Kornwalii), plus Riley, David i mały Levi, któremu nieszczęśliwie zależało na curry, ale bardzo polubił chlebki poppadom; teraz siedział sobie w swoim wysokim krzeselku i mamlął kawałek.

— Ja mam w nosie, które curry jest czyje — oznajmiła Riley. — Ja mam swoją jagnięcinę pasanda i nic mi już nie trzeba do szczęścia.

— Czekaj no, kotku — powiedział David. — Nie zamawiałaś przypadkiem dodatkowego naan?

Spojrzeli po sobie.

— To ma być ten najlepszy moment? — spytała Riley bezgłośnie, uśmiechając się szeroko. David skinął głową.

— O, myślę, że tak.

Przestaliśmy się kłócić nad plastikowymi tackami i spojrzeliśmy na nich.

— Najlepszy moment na co? — spytałam. — Mówcie dalej.

— Nie, to ty mów dalej, mamó. Powinnaś zapytać: „Dlaczego potrzebowałaś zamówić dodatkowe naan?”

— Nie jesteś! — rzucił Mike, który skojarzył trochę szybciej niż ja. Choć trzeba mi oddać sprawiedliwość, że miałam ostatnio sporo na głowie.

— Jestem — odparła wesoło.

— Do licha — zawtórował im Kieron. — Chyba rzeczywiście jest!

Wreszcie mi zaświtało.

— Jesz za dwoje? — spytałam, wciąż nie do końca wierząc.

— No i co?! — wykrzyknął Kieron, kiedy oczy zaczęły zachodzić mi łzami. — Funta poproszę. Wiedziałem, że to mój kurczak masala!

Epilog

W ciągu czterech lat Sophia poczyniła zdumiewająco duże postępy. Po długim pobycie w szpitalu, a potem na specjalistycznym oddziale dla młodzieży, gdzie przeszła kognitywną terapię behawioralną, nadeszła dobra wiadomość, że jej wujek i ciocia z radością przyjmą ją z powrotem do rodziny. Tym sposobem, po stopniowych przenosinach, zamieszkała z nimi na stałe w wieku piętnastu lat. Mogła wreszcie na nowo podjąć naukę; po ukończeniu szkoły średniej planuje pójść do college'u i studiować kosmetologię.

Panowanie nad chorobą Addisona wciąż jest trudne, ale przy wsparciu wujka i cioci bardziej odpowiedzialnie podchodzi do swojego zdrowia, zmotywowana między innymi — a przynajmniej tak twierdzi wujek — przyjaźnią ze swoim małym kuzynem, który ją uwielbia. I choć nigdy nie odbudowała relacji z babcią (teraz już, niestety, nieżyjącą), to dziadek regularnie ją odwiedza i nigdy nie zapomina o jej urodzinach.

Co do mnie i mojej rodziny, nie da się zaprzeczyć, że opieka nad tak skomplikowanym dzieckiem jak Sophia była i pozostanie jednym z najtrudniejszych zadań, jakich się podjęliśmy, i jeszcze długo po jej odejściu kwestionowałam własną zdolność do wykonywania tej pracy, tak z osobistego punktu widzenia, jak i w kontekście dobrostanu moich najbliższych. Czy miałam prawo narażać rodzinę na taki stres? Ale w końcu wszyscy zgodziliśmy się, że to była dobra rzecz. Byliśmy przy niej w czasie, kiedy nie miała nikogo, kto by jej pomógł, a i sami mnóstwo się nauczyliśmy i staliśmy lepszymi ludźmi.

I być może doświadczenie pod tytułem Sophia dało i mnie, i mojej rodzinie narzędzia, których potrzebowaliśmy do podjęcia następnego wyzwania. Rodzeństwa, które musiało jak najszybciej wyrwać się z toksycznego i niebezpiecznego domu. W ciągu paru tygodni wakacje na Korfu miały się stać mglistym wspomnieniem...

By dowiedzieć się więcej na temat choroby Addisona, odwiedźcie www.addisons.org.uk

Podziękowania

Chciałabym podziękować całemu zespołowi w wydawnictwie HarperCollins, uroczemu Andrew Lowniemu i mojej przyjaciółce i mentorce Lynne. Chciałabym też złożyć ukłon wszystkim pracownikom systemu opieki zastępczej.

Przypis

¹ Barker (ang.) dosłownie szczekacz (przyp. red.).

